

ks. Marek Jedraszewski

*Obrutki
& Przew*

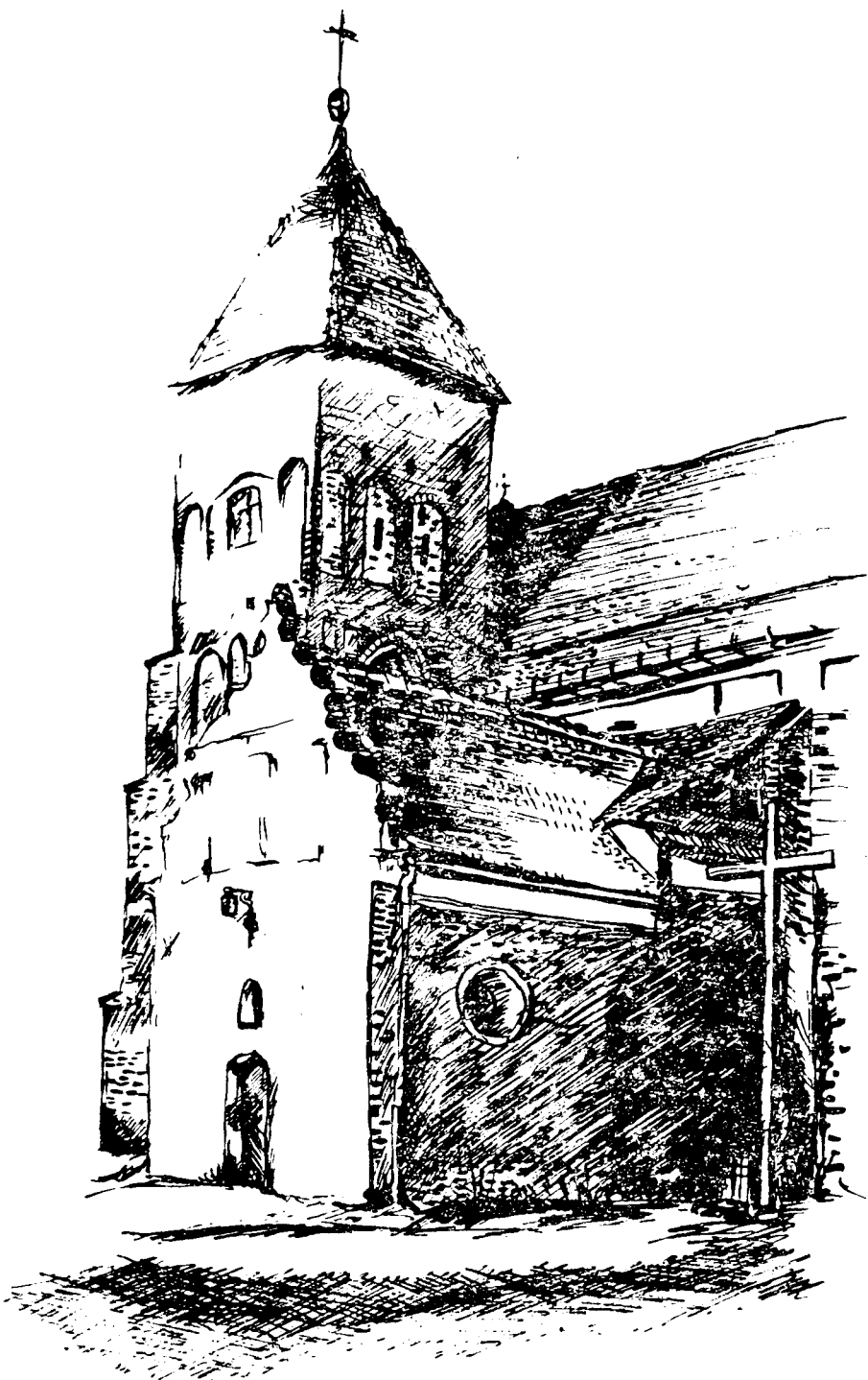
Polottinum - Poznań 1992

Pniewy

Z Poznania do Pniew jest nie więcej niż pięćdziesiąt kilometrów. Aby przebyć tę trasę, wystarczy niecała godzina jazdy samochodem międzynarodową drogą A2. Za to pociąg jedzie dwukrotnie dłużej — a przecież niegdyś było to najbardziej dogodne połączenie, od kiedy w roku 1888 Pniewy znalazły się na kolejowym szlaku między Poznaniem a Międzyzichodem. Właśnie koleją przybyła do Pniew Urszula Julia Ledóchowska. Było to w roku 1920. Tę drogę miała w swym życiu odbywać jeszcze wiele, wiele razy. Aż po dzień 25 kwietnia 1939 roku, kiedy to opuściła Pniewy po raz ostatni.

Do tego czasu — a miała już wtedy ponad pięćdziesiąt lat życia — nie znała ani Poznania, ani Pniew. Było to o tyle ciekawe, że klasztor urszulanek przy ulicy Starowiślniej w Krakowie, do którego wstąpiła w roku 1886, brał swój początek właśnie w Poznaniu. W roku 1875 siostry musiały opuścić stolicę Wielkopolski ze względu na szalejący tam Kulturkampf i przeniosły się do Krakowa.

Pierwsze spotkania z tymi wielkopolskimi miastami nie były dla Urszuli zachęcające. „Do Poznania — wspominała swą podróż z października 1919 roku — przyjechaliśmy około ósmej i pół wieczorem. Już ciemno było na dworze, dworzec oświetlony. Szukam, czy jest ktoś znajomy. Nie widzę nikogo. Trochę smutno się zrobiło — nikogo nie znam, nawet nie bardzo wiem, gdzie urszulanki mieszkają.



Mój towarzysz podróży uprzejmie ofiarował się odwieźć mnie do urszulanek, którą to propozycję z wielką wdzięcznością przyjąłem. Czy tylko nie będzie zamknięta furta? Aż tu na ulicy w pobliżu dworca rozpoznaję w śpieszącej ku miastu osobie Netkę Prądyńską, właściwie już siostrę Prądyńską, bo ją na odległość do Zgromadzenia przyjąłem. (...) Wołam: «Netko!» Odwraca się. Zatrzymuje się dorożka, którą jechaliśmy, Netka wsiada do nas i razem jedziemy do urszulanek, gdzie już czeka na mnie przygotowany nocleg. Jakoś nie spostrzegła mnie na dworcu. Zmartwiona, że mnie nie ma, wracała do klasztoru”. Z Poznania udała się Urszula do Warszawy, a następnie do Krakowa. Potem wróciła do Poznania. Przełom listopada i grudnia spędziła we Lwówku. Musiała więc zapewne przejeżdżać przez Pniewy. Miasteczko nie wzbudziło w niej większego zainteresowania: opisując w *Historii Kongregacji* swój pobyt we Lwówku, nic o nim nie wspomniała. Widać, nie przeczuwała, że już niedługo przyjdzie jej głęboko związać się z tą miejscowością.

Z Lwówka wyjechała Urszula na początku grudnia 1919 roku. W kraju zostawiła siostrę Prądyńską, aby znalazła jakiś mały majątek ziemski, którego posiadanie umożliwiłoby prowadzenie zarówno ochronki dla dzieci z Danii, jak i szkoły gospodarstwa domowego dla dziewcząt. Sama udała się do Aalborga. Poszukiwania siostry Prądyńskiej natrafiały na trudności. Urszula rozpoczęła nowennę do błogosławionej jeszcze wówczas Teresy od Dzieciątka Jezus. Poskutkowało. I to właśnie w dniu 11 lutego 1920 roku, w samo święto Matki Bożej z Lourdes. Dzień czy dwa później otrzymała radosny telegram: „Pniewy kupione”.

W końcu czerwca, w drodze powrotnej z Rzymu, udała się z Berlina via Nowy Tomyśl do swej nowej posiadłości. „Pojechałam — to był główny cel mej podróży do Polski — obejrzeć nową siedzibę w Lubocześnicy-Pniewach. Dzień fatalny, bo lało. Wille miłe, szczególnie większa ładnie odnowiona, siostry już po troszku tam się zagospodarowały. Okolice niezbyt dobrze się zaprezentowała, gdyż wszystko tonęło w strugach padającego deszczu, ale mogłam z grubsza się zorientować. Większą willę przeznaczyłam na szkołę i pensjonat, mniejszą na klauzurę i kaplicę. Naradzałam się z ojcem Tuszowskim, czy wobec wojny z bolszewikami nie odłożyć powrotu do kraju. I on, i wszyscy inni doradzali, żeby jednak przyjechać”.

Prawdziwy przyjazd nastąpił w pierwszych dniach sierpnia 1920 roku. Po wielu latach Urszula wracała ostatecznie do Polski. Nie wracała sama — miała ze sobą opuszczone dzieci polskich robotników, którymi zaopiekowała się w Danii. „Po godzinie ósmej wieczorem wjeżdżamy do Poznania. Z Gdańska zatelefonowano do pań z Opieki Dworcowej i Czerwonego Krzyża, że przyjeżdżam z dziećmi, ale czy będzie ktoś na nas czekał? Nie znam prawie miasta, nie wiem, gdzie się obrócić. Jednak i tu opieka Boska nad nami! Zaraz na peronie parę pań na nas czeka. (...) Pomogły rzeczy oddać na przechowanie, zaprowadziły dzieci do baraków, gdzie już czekała na nich kolacja. Chciały mnie z sobą zabrać, ale wolałam zostać przy dzieciach. Następnego dnia wypadła niedziela. Msza święta została odprawiona w kaplicy barakowej. (...) Pociąg do Pniew — jedyny — o dziewiątej wieczorem odchodził, więc już około siódmej

ruszamy na stację. (...) Panie zatelefonowały też do Pniew, do Czerwonego Krzyża, aby ktoś przyszedł na stację do pomocy. Miały też być nasze siostry. Słowem koniec biedy. Po godzinie jedenastej w nocy zajeżdżamy do Pniew. Dzieci zaspane, ledwo można je obudzić. Na peronie czekają i siostra Prądyńska z koźmi, i panna Szoczówna, i siostry Czerwonego Krzyża. Pomagają zabrać dzieci i rzeczy. Około północy jesteśmy u Świętego Olafa, czyli u siebie. Pierwsza noc pod naszym pniewskim dachem!”

Ta pierwsza noc w sierpniu 1920 roku i to „u siebie” stanowiła prawdziwy przełom w dotychczasowym życiu Urszuli. Zaczynała się — w pełnym tego słowa znaczeniu — historia nowego zgromadzenia — Sióstr Urszulanek Szarych. Zaczynała się też nowa historia w dwutysiącletnich prawie dziejach Kościoła. Wzbogacała się też w sposób znaczący historia samych Pniew. Tak możemy powiedzieć dzisiaj, w schyłkowej dekadzie dwudziestego wieku, w czasie szczególnie sprzyjającym podsumowaniu mijających kolejnych stu lat od chwili narodzenia Chrystusa.

Pniewy weszły do dziejów Kościoła powszechnego, gdyż stały się miejscem życia i działalności Osoby Świętej — 20 czerwca 1983 roku Ojciec Święty Jan Paweł II właśnie w Poznaniu ogłosił Urszulę Julię Ledóchowską błogosławioną. Zapewne, kiedy w ową noc przyjechała wraz z dziećmi do Pniew, nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, że wielka historia wyznaczyła sobie miejsce w tej niedużej — wówczas zaledwie około 2700 osób liczącej — miejscowości. Jest to zresztą rzecz w jakiejś mierze „normalna” — wielka historia zaczyna się zwykle niepostrzeżenie, mało kto ją zauważa,

niewielu jest jej świadomych i dopiero po latach, gdy coś przeminie, a ktoś odejdzie, zaczyna się doceniać wielkość tego, co już nie wróci. Zostają jedynie wspomnienia, mniej lub bardziej wdzięczna ludzka pamięć, czasem może także i jakaś inspiracja i wzór do podobnego działania. Jest coś niezwykle intrygującego w tym naszym ocieraniu się i stykaniu z wielką historią. Niekiedy jesteśmy uczestnikami wyjątkowych zdarzeń, czasami mamy szczęście spotykać się z Wielkimi. Co w nas z tego pozostaje? Jakie to w nas wypala piętno? Z bagażem jakich doświadczeń wyruszamy na spotkanie jutra?

Od jakiegoś czasu są to pytania, które stawiam sobie pod adresem Pniew. Mieszkał w nich, przebywał i pracował Wielki Człowiek. Człowiek Święty. Dzięki niemu Pniewy weszły do historii uniwersalnej. Czy Pniewy są świadome tego faktu? Czy potrafią być z tego dumne? Co z dziedzictwa tego Człowieka wzięły dla siebie jako swój drogo-cenny skarb, jako domową legendę czy klechdę, którą będą przekazywały z pokolenia na pokolenie? Co pozostało jako osobiste dziedzictwo, które będzie kształtować dalsze jego dzieje? Asyż ma swych Franciszka i Klarę, Ars swego Jana, Lisieux swą Teresę. Małeńkie miejscowości, które dzięki nim stały się słynne na cały świat. Pniewy mają swoją Urszulę. Czy rzeczywiście „swoją”?

Z tym pytaniem po raz kolejny przyjechałem do Pniew w dniu 27 października 1991 roku. W dniu pierwszych od czasów II wojny światowej prawdziwie wolnych wyborów do Sejmu i Senatu Rzeczypospolitej. U ludzi zmęczenie niełatwą sytuacją, brakiem jasnych perspektyw na przyszłość,

głupotą, a niekiedy i arogancją tych, którzy wzięli na siebie odpowiedzialność za losy Kraju, dochodzi — zda się — do granic wytrzymałości. A jednocześnie Pasterze Kościoła stawiają im nowe wymagania. Trzeba wybierać ludzi odpowiedzialnych, prawdziwie kochających Ojczyznę, umiejących odważnie bronić życia najbardziej bezbronnych spośród bezbronnych i najbardziej niewinnych spośród niewinnych — życia nie narodzonych jeszcze dzieci. Szum informacyjny, zagubienie, poczucie własnej słabości i błędów zniechęca wielu. Czy warto się jeszcze raz wysilić? Czy to ciągle nawoływanie do ofiar i poświęceń nie powinno się wreszcie skończyć? Wszędzie tylko słowa, słowa, słowa...

Próbuję sobie odtworzyć atmosferę tej pierwszej nocy i tego pierwszego poczucia się „u siebie”, jakie miała Urszula w połowie sierpnia 1920 roku. Do Warszawy zbliżały się wojska bolszewickie. Wydawało się nawet, że dopiero co odzyskana niepodległość zostanie na nowo utracona. A jednocześnie przerażały poselskie spory w Warszawie. Alarm ogłoszono dopiero wtedy, gdy teren walk przekroczył linię Bugu i zbliżył się do stolicy, a w Białymstoku urzędował już komunistyczny rząd z Dzierżyńskim i Marchlewskim na czele. Przedtem jakby — pośród partyjnych sporów — nie dostrzegano niebezpieczeństwa. Tymczasem Urszula przyjechała właśnie do Kraju, by wychowywać i uczyć polskie dzieci. Także po to, by umiały kiedyś — gdy przyjdzie potrzeba — za ten Kraj oddać swoje życie. Co czuła, gdy nazajutrz po przybyciu do Pniew udawała się rankiem do parafialnego kościoła św. Wawrzyńca? Czy w jej sercu nie budziły się wątpliwości? Jakieś zniechęcenie wobec ludzkiej

małości u tak zwanych wielkich ludzi, stanowczo za małych wobec wyzwań czasów, w których przyszło im żyć?

Próbuję odgadnąć jej myśli, idąc zapewne tą samą drogą co ona — wzdłuż jeziora Pniewskiego, dzisiejszą ulicą Jeziorną. Po drodze mijam siostrę Alojzę. Siostra Alojza należy do starszego pokolenia sióstr, pamiętającego jeszcze Matkę Urszulę. — Na wybory? — pytam, choć to pytanie retoryczne. Udział w nich wszystkie siostry poczytują sobie za obowiązek. Przecież liczy się każdy głos. — Tak, idę i je omadlam. — Pokazuje trzymany w ręku różaniec. Do szkoły, gdzie mieści się lokal wyborczy, jest daleko. Siostra Alojza idzie dość wolno. Nim dojdzie do celu, zmówi zapewne wiele dziesiątek. Patrzą na nią wzruszony. W jej postawie jest coś z postawy Urszuli. Dalekie echo pierwszych radości i uniesień Matki na widok tego, co nareszcie prawdziwie polskie. „W Zbąszyniu — opisywała swoje pierwsze przekroczenie granicy — rewizja rzeczy i wjeżdżamy do Polski. Polski żołnierz stoi w komorze celnej, słyszymy polską mowę, a więc jesteśmy w zmartwychwstałej, wolnej Polsce! Śliczny jesienny dzień, zachodzące słońce złotem pokryło lasy i pola, niebo się czerwieni. Było cicho, spokój ogarniał całą przyrodę. Równie błogo, spokojnie i radośnie robiło się w duszy”. A oto inny zanotowany przez nią obrazek — w Poznaniu, kilka dni później: „W pierwszych dniach pobytu w Polsce wybrałam się któregoś dnia do księdza kardynała Dalbora i przechodząc przez Plac Wolności byłam świadkiem uroczystości poświęcenia sztandaru wojska polskiego. Ołtarz polowy, a przy nim ksiądz kardynał odprawiający Mszę świętą, dookoła ustawione wojsko. Na pod-

niesienie wszyscy przyklękają, tłum ludzi otacza plac. Taki śliczny, radosny widok — nasze wojsko upadające na kolana przed białą Hostią! Nasze polskie wojsko!”

Zdążając do pniewskiego kościoła, Urszula uważała, że „tak właśnie trzeba” — trzeba wychowywać, trzeba kształcić. Trzeba właśnie dlatego, że jest tak trudno i że tylu ludzi zachowuje się nieodpowiedzialnie. Po prostu trzeba. A przede wszystkim trzeba zacząć od wychowywania dziewcząt — na dobre żony i matki, głęboko związane z Kościołem, kochające swoją Ojczyznę. Od nich zależy przyszłość Kraju.

Dotarła wreszcie do kościoła. Przywitał ją swymi grubymi, gotyckimi murami. Dawały poczucie solidności, mocy i pokoju. Sprawiały, że od razu poczuła się wtopiona w dzieje tego miasta, którego pierwsze pisane dokumenty sięgają roku 1256. Nie sposób było nie wspominać tutaj dopiero co przelanej krwi powstańców wielkopolskich, którzy stąd wyruszyli na bój pod Kamionną i Zbąszyń. Miała świadomość, że ta krew jest wyzwaniem i zobowiązaniem dla przyszłych pokoleń. Przecież ci młodzi chłopcy, których ciała spoczęły na cmentarzu, chcieli dobrej, sprawiedliwej i wolnej Polski. Dla niej oddali swe życie. Obok tego faktu nie można przejść obojętnie. Ona też nie może. Trzeba działać. Zatopiła się w modlitwie. Po skończonej Mszy św. w zadumie wracała do siebie. Z daleka rysowały się zabudowania Świętego Olafa. Ogarnęło ją wzruszenie. Tam są jej siostry i jej dzieci. Jej dzieło. Dzieło, które ma służyć Bogu i Polsce. A ona ma temu dziełu służyć i się nie oszczędzać. To wszystko. Tylko tyle.

Pniewy szybko dostrzegły prawdziwą wagę tego „tylko

tyle”. Dzieło Urszuli wpływało na oblicze miasta, na rytm jego życia. Lokalną dumę mile łechtał też fakt, że Pniewy stały się miejscem, do którego zaczęli przybywać wielcy tego świata: nuncjusz, prezydent, prymasi, biskupi. Z okazji złotego jubileuszu życia zakonnego, w dniu 17 kwietnia 1937 roku, Zarząd Miejski nadał Urszuli obywatelstwo honorowe Miasta Pniew „w uznaniu wielkich zasług dla Państwa Polskiego i miasta, położonych na polu społecznym i charytatywnym”. A gdy w maju 1939 roku, tuż przed wybuchem wojny, do Pniew dotarła smutna wieść o jej śmierci w Rzymie, mieszkańcy miasteczka prosili, by jej doczesne szczątki mogły spocząć właśnie w Pniewach. Chcieli mieć u siebie relikwie tej Świętej Kobiety.

Myślę o tych faktach, zmierzając — jak ona — do pniewskiego kościoła. Historia bywa nieraz okrutna i niesprawiedliwa. W roku 1979, a zatem nie aż tak wiele lat temu, wydano numer lokalnego pisma *Dyżurnym przez Pniewy*. W obszernym artykule *Pniewy dawniej i dziś* przedstawiono historię miasta, począwszy od XIII wieku. Nie pominięto chyba niczego, co by świadczyło o jego wspanialej przeszłości. Z jednym wszakże wyjątkiem — w artykule nie ma ani słowa o Urszuli i jej dziele. Można odnieść wrażenie, że po prostu kogoś i czegoś takiego nie było. Nie było też — oczywiście — honorowego obywatelstwa dla „Przewielebnej Matki Urszuli hr. Ledóchowskiej, Przełożonej Generalnej SS. Urszulanek S.J.K.” Natomiast jest w tym artykule następująca uwaga końcowa, wieńcząca refleksje nad historycznymi dokonaniem Pniew: „Te wszystkie osiągnięcia, znajdujące się kiedyś jedynie w sferze marzeń, stały się

możliwe dzięki przejęciu i sprawowaniu przez Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą kierowniczej roli we wszystkich dziedzinach współczesnego życia narodu polskiego”.

Dzień 27 października 1991 roku stał się dniem historycznej sprawiedliwości i odkłamania dziejów miasta w wymiarze państwowym. Wybory do parlamentu miały być ostatecznym — i to z woli samych obywateli — zerwaniem z komunistyczną przeszłością. W jakiejś mierze miały też być aktem uznania dla tego wszystkiego, co przed laty dokonała tutaj Urszula. Czy Pniewy były tego świadome? Zdążająca z różańcem w ręku do wyborczego lokalu siostra Alojza była widowym wyrazem niepewnej odpowiedzi...

Idę i patrzę pod nogi. Po tej ziemi stąpały stopy Osoby Świętej. W jakiejś mierze więc i ta ziemia jest uświęcona. I co? I nic... Ocieramy się o te same pytania, które jednakowo dotyczą Nazaretu, Jerozolimy, Rzymu, Asyżu czy Ars. Kroczymy uświęconą ziemią, wypatrujemy zatartych kurzem śladów, patrzymy na twarze ludzi, którzy mają to wyjątkowe szczęście zamieszkiwać święte miasta. I co? I nic... Na twarzach wszędzie to samo: narodziny, śmierć, wojny, nienawiść, miłość, namiętności, przyjaźń — to wszystko co ludzkie, co powszechne, co spotkać można wszędzie. A chciałoby się przynajmniej w świętych miejscach doświadczyć choć trochę świętości...

Tylko jak jej doświadczyć? Jak dotknąć? Bo skoro — bywa — spotykając się z ludźmi autentycznie świętymi, nie zawsze potrafimy „poznać czas nawiedzenia swego”, to co dopiero szukać tej świętości po latach, wśród ludzi, którzy —

jak się wydaje — o Urszuli niewiele wiedzą i których łączy z nią jedynie wspólnota tego samego miejsca?

Wracam do klasztoru. Pośród duchowych córek Urszuli, pośród córek jej ducha pragnę odnaleźć prawdę o świętości ich Matki. Niełatwą do uchwycenia prawdę o prawdziwie Świętym Człowieku, który przez dwadzieścia prawie lat zamieszkiwał Pniewy.

I tak zrodziły się te *Obrazki*. Nieraz bywa bowiem tak, że czyjaś wielkość najlepiej przedstawić w miniaturkach.

Europa

O godzinie dziewiątej wieczorem w klasztorze rozlega się dzwon. Nastaje Wielkie Milczenie. To Milczenie należy odróżnić od Małego Milczenia, do którego siostry są zobowiązane podczas całego dnia. Małe Milczenie, które jest wyciszeniem. Ich praca ma się odbywać w skupieniu. Na modlitwie. Nie zawsze jest to modlitwa głośna i wspólna. Nie zawsze bowiem można odmawiać różaniec czy śpiewać *Godzinki* ku czci Przenajświętszej Pani. To zależy od rodzaju pracy. Ale skupienie zawsze pomaga koncentracji — a zatem dobrej pracy. Dobra praca jest także modlitwą.

W Pniewach cały czas nabrzmiewa chwałą Pana. Cichy trud wydziera się ku wieczności.

Tuż za klasztornymi murami z hałasem pędzi świat. Z jednej strony szosa prowadząca do Gorzowa i Szczecina, z drugiej kolejowe tory. Te dwie nitki cywilizacyjnego krwioobiegu obejmują klasztor jak kleszcze. On sam — między nimi — staje się swoistą wyspą. Innym światem.

Zastanawia tajemnica tej inności. Czy jest to inność separacji i obcości, czy jest to raczej inność jądra czy rdzenia, która nadaje właściwy kształt reszcie? Bo jest przecież taka inność, która sprawia, że reszta staje się normalna i nie ginie, wynaturzając się. Wraca Miłoszowe pytanie o centrum świata.

Wiele było takich centrów w historii nowożytnej i współczesnej Europy. Miejsc, które pretendowały do bycia nie



tylko militarną stolicą kolejnego w jej dziejach imperium, ale i ośrodkiem nowego ładu społecznego, państwowego, obyczajowego. Paryż, Piotrogród, Moskwa, Berlin, Rzym. Miłoszowe „piękne idee uniwersalne” ludzkich utopii wyrastały jako owoc pychy ludzkiego rozumu i rodziły zbrod-

nie. Zmieniały się tylko i udoskonalały narzędzia gwałtu, które miały zapewnić panowanie owym ideom. Gilotyna, obozy koncentracyjne, Gułag. Wraz z nim i zgliszcza Europy, i coraz bardziej zagubiony i nieszczęśliwy człowiek. U Miłosza pojawia się jednak nutka nadziei. Jak pisze w wierszu *Rue Descartes*, „I nie ma już tu i nigdzie stolicy świata. I wszystkim obalonym zwyczajom wrócono ich dobre imię”.

Bo prawdziwa stolica świata jest tam, gdzie znajduje się rodzinny dom. Tam, gdzie wzrasta i kształtuje się człowiek. Tam, gdzie doznaje i uczy się on miłości. Tam, gdzie doświadcza własnego człowieczeństwa. Stamtąd też wychodzi na zewnątrz, by dać świadectwo poznanym w domu autentycznym wartościom.

Urszula знаła tę prawdę. To właśnie dla niej w roku 1917, u schyłku Wielkiej Wojny, kiedy to rodził się nowy europejski ład, gorąco błagała o datki na dom dla polskich sierot w Danii: „My musimy uratować dzieci, uratować je od śmierci fizycznej i moralnej, ażeby mogły potem cierpieć, walczyć i umrzeć za Polskę”. Założony przez nią Zakład św. Antoniego w Aalborgu stał się stolicą świata. Taką samą stolicą zostały potem Pniewy. Z nich zrodziły się dalsze: Lipnica, Otorowo. „Mamy pięć zakładów dla chłopców i dziewczynek od 2 do 16 lat — pisała w *Odezwie do Anglii*. — Robimy wszystko, co można, aby te dzieci wykształcić, dać im odpowiednie pożywienie, pozwolić im zapomnieć, że są może sierotami, co nie jest zupełnie pewne. Jeżeli się zapyta którego z nich: «Czy masz rodziców?» — «Ja nie wiem» — brzmi odpowiedź. «Straciłem rodziców tam i tam, i nigdy

już o nich nie słyszałem». (...) Każdy kraj odczuwa smutne skutki wojny, ale żaden kraj nie jest tak wyniszczony jak Polska, która jest krajem krzyżów i grobów już od końca XVIII wieku. A nasze dzieci wyciągają rączęta, ich oczy zdają się mówić: «I my chcemy w naszym dzieciństwie śmiać się i bawić. I my chcemy być szczęśliwymi dziećmi». Dopomóżcie nam więc, nie opuszczajcie biednych polskich dzieci”.

Rok 1991. Przynajmniej od kilkunastu miesięcy toczy się w Polsce gwałtowna batalia o ideowy kształt kraju. Przybiera ona postać dyskusji na temat samego rozumienia Europy. „Europa bez granic” jest przez wielu propagowana i przedstawiana jako Europa bez jakichkolwiek ograniczeń moralnych. Europa, w której każdy człowiek może postępować tak, jak chce. Byle tylko nie wchodził w otwarty konflikt z prawem ustanowionym przez człowieka. Możliwości zaistnienia konfliktu z prawem Bożym nie chce się nawet dostrzegać. „Ja pragnę jako biskup Rzymu zaprotestować przeciwko takiemu kwalifikowaniu Europy — żarliwie wołał we Włocławku Jan Paweł II — Europy Zachodniej. To obraża ten wielki świat kultury, kultury chrześcijańskiej, z któregośmy czerpali i któryśmy współtworzyli, współtworzyli także za cenę naszych cierpień. Tu, na tej ziemi kujawskiej, tu, w tym mieście męczenników to musi być powiedziane głośno: kulturę europejską tworzyli męczennicy trzech pierwszych stuleci, tworzyli ją także męczennicy na wschód od nas w ostatnich dziesięcioleciach, i u nas w ostatnich dziesięcioleciach. Tak, tworzył ją Ksiądz Jerzy. On jest patronem naszej obecności w Europie za cenę ofiary z życia.

Tak jak Chrystus. Tak jak Chrystus, jak Chrystus ma prawo obywatelstwa w świecie, ma prawo obywatelstwa w Europie, dlatego że dał swe życie za nas wszystkich. Ma prawo obywatelstwa wśród nas, wśród wszystkich narodów tego kontynentu i całego świata, przez swój Krzyż. Tajemnica Serca, które przebili, «przebodli», tajemnica Serca, w które się wpatrywali, to są ci wielcy pionierzy Europy. W przeszłości i na przyszłość taką miarę europejskości pragniemy podjąć i kontynuować, a nie pozwolimy sobie zaniżyć tej miary. (...) Europa potrzebuje odkupienia. Uroczystość Serca Bożego jest uroczystością odkupienia Europy, odkupienia świata, odkupienia Europy dla świata. Świat potrzebuje Europy odkupionej”.

Rodzinny dom. Rodzinna Europa. Tu, w Pniewach, papieskie orędzie o istocie Europy nie budzi żadnego zdziwienia czy zaskoczenia. Jest potwierdzeniem tej urszulańskiej świadomości, którą w swym sercu nosi każda z sióstr.

Jest najpierw potwierdzeniem tego, że Pniewy wyrosły z Europy jako wspólnego chrześcijańskiego dziedzictwa. Nie byłoby Pniew, gdyby nie Europa chrześcijańska. Powstały przecież na przecięciu drogi między Skandynawią a Italią. „Jestem w wagonie. Jadę do Norwegii — pisała Urszula 12 marca 1920 roku do swego brata Włodzimierza w Rzymie. — Wczoraj w odczycie zaproponowałam, by zafundowali ochronkę «Św. Olafa» w Polsce — bo potrzebuję wobec niskiego kursu 20.000 kr. norweskich. No, i zaraz po odczycie zatelefonował jakiś pan do mnie, że mi da te 20.000 kr. — czy to nie opieka Boska? Powiedz Ojczulku!

Teraz jeszcze mam 4–6 odczytów w Norwegii i wrócę do Aalborga. Nie mam dużo czasu na modlitwę, ale jak się uczę odczytów, to Panu Jezusowi recytuję. Myślę, że i to przyjmuje, wszak to ciężka praca — moje odczyty. Miałam teraz w czterech językach: po francusku, po szwedzku, po duńsku i po norwesku”.

Ale Pniewy to nie tylko dom, który powstał dzięki chrześcijańskim sercom bijącym w innych krajach Europy. To także dom, który rodził nowe: na poleskich kresach, we Francji, w Italii. Przekroczył nawet granice Starego Kontynentu. Prawdziwy Macierzysty Dom. „Przede wszystkim my wcale nie musimy — mówił Jan Paweł II we Włocławku — do [Europy] wchodzić, bo my w niej jesteśmy. (...) Nie musimy do niej wchodzić, ponieważ ją stworzyliśmy. Tworzyliśmy ją z większym trudem aniżeli ci, którym się przypisuje, albo którzy sobie przypisują patent na europejskość”. Stąd właśnie, z Pniew, patrzyła Urszula na świat jak prawdziwa Europejka. W Europie widziała chrześcijańską Ziemię Obiecaną, którą ze wszystkich sił trzeba ciągle urzeczywistniać. Pod tym względem nie miała żadnych kompleksów Miłoszowego „młodego barbarzyńcy w podróży, onieśmiałonego przybyciem do stolicy świata”. Gdy chodzi o miłość, nieważne jest miejsce, skąd pochodzi. Najważniejsze, że ona jest i że po raz kolejny chce się komuś zaofiarować. Pniewy zapoczątkowały więc urszulańskie dzieło w samym sercu chrześcijaństwa — w Rzymie. Bo dlaczegoż by Pniewy nie miały dać czegoś Wiecznemu Miastu? „Pewnej niedzieli — wspomina Maria Skibniewska — zaproponowała nam Matka wyjazd do Villino. Była to bardzo uboga dzielnica Rzymu.

Tam właśnie matka Ledóchowska zamierzała założyć kolejny dom. Nędzne, na wpół rozwalone domy, tłum obdarzonych dzieci, nieufne spojrzenia mieszkańców — oto co nas uderzyło na wstępie. Czułyśmy się nieswojo. Matka natomiast, jakby nie widząc tego, podchodziła do każdego mieszkańca, dla każdego mając dobre słowo. I nie wiadomo skąd zaczęli się do niej schodzić ludzie, coraz to inni i coraz to liczniej. Przedkładali Matce swoje sprawy, swoje troski, pytali o radę, prosili o pomoc — rozmawiali z Matką tak, jak zwykli zapewne mówić do swoich bliskich, nawet często trudno ich było zrozumieć, bo mówili dialektem. Obserwowałam Matkę: była radosna i szczęśliwa. Może Villino, to, które swymi oczyma widziała, było inne niż to, które nas otaczało”.

Jeśli Europa powstała dzięki męczennikom — świadkom prawdziwych wartości — to jej Pierwszym Obywatelem jest Jezus Chrystus, Pierwszy Męczennik. Za nim poszli następni. Cała ich niezmierna, w ogromnej większości nieznana z imienia i nazwiska rzesza. Aż po Księdza Jerzego. Ale także — dzięki Urszuli. Pniewy — jako Dom i jako Zgromadzenie — rodziły się w olbrzymich trudnościach. Brak zrozumienia ze strony Rzymu i osobiście papieża Benedykta XV dla dzieła, które zamierzała stworzyć, bolał ją bardzo. Urszula okupiła to ciężką chorobą. Ale się nie załamwała. Trwała do końca. „Ojczulku mój — pisała do brata 15 czerwca 1920 roku — we mnie od dawna żyło pragnienie męczeństwa. Często o to Pana Boga prosiłam — chwilami stchórzyłam i wtedy przestawałam o to prosić — ale znowu wróciło i znowu prosiłam i jeszcze goręcej o to proszę.

A może Pan Jezus chce innego męczeństwa — nie krwawego — ale śmierci dzieła, śmierci wszystkiego, com w pocie czoła wykonała? Ja na to wszystko jestem gotowa. Płacę, ale wierzaj mi — z tego, com tu wycierpiała, z tego, co mnie oczernili, nic, nic bym nie chciała z życia mego wykreślić. (...) Czuję się złamaną, Ojczulku — straciłam wiarę w swe dzieło — ale myślę, że jak zobaczę moje małe dzieci, to wszystko wróci. (...) Ojczulku złoty mój, pobłogosław co wieczór relikwie Krzyża świętego, by Jezus Ukrzyżowany dał miłość krzyża i wytrwałość w krzyżu, i odwagę, której mi dziś tak zupełnie brak, ale pewno wróci, jak jej będzie potrzeba”.

Połowa czerwca 1920 roku to czas, w którym ważyły się losy Zgromadzenia, a jednocześnie Kraju. Wojska bolszewickie przekroczyły granicę, sposobiąc się do uderzenia na Warszawę. Potem miał być Berlin. „Kto ma Berlin, ten ma w rękę całą Europę” — to zdanie Stalina. Urszula musiała zdawać sobie sprawę z tego zagrożenia. Na drodze do Berlina znajdowały się przecież Pniewy. A jednak — jakby na przekór wszystkiemu — pisała w uroczystość świętych Piotra i Pawła: „Ojczulku mój złoty, jestem w wagonie do Warnemünde. Dziś wieczorem mam być w Kopenhadze, a w czwartek rano w Aalborgu. Byłam we Lwówku u Łąckich — tam jest o. Tuszowski i stamtąd byłam u nas, w nowej naszej siedzibie Św. Olafa. Było to koniecznie potrzebne — nie żałuję tej zwłoki. Placówka ładna — może się bardzo ładnie rozwinąć, o ile Pan Bóg zechce. Ale roboty, trudności strasznie dużo mam jeszcze przed sobą”. Pisała tak na przekór wszystkiemu, bo, ostatecznie, robiła to, co

mogła, dla dobra Kraju i rodzinnej — to znaczy chrześcijańskiej — Europy. Wierzyła, że tak trzeba i że Bóg pobłogosławi jej dzieło.

Pobłogosławił. Pniewy zaistniały. Mimo że siostra Zaborska słała z Danii rozpaczliwe listy z prośbą o powrót. Bała się, że bolszewicy zagarną wszystko. „Piętnastego sierpnia — wspominała Matka w *Historii Kongregacji* — w dzień Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, miała się odbyć pierwsza Msza święta w naszej ubożuchnej kapliczce. (...) Jakie byliśmy szczęśliwe, gdy Pan Jezus zstąpił na ołtarz, żeby już odtąd z nami na zawsze pozostać. Inaczej życie się toczy, gdy Pan w domu. A pod Maryi opieką będzie ono bezpieczne. Tego samego dnia gruchnęła wiadomość: «Bolszewicy cofają się, zwycięstwo, Warszawa obroniła się, Królowa Korony Polskiej nas ocaliła!»”

Odtąd codziennie o godzinie dziewiątej wieczorem w klasztorze rozlega się bicie dzwonu. Zapada Wielkie Milczenie. Siostry wiedzą, że następnego dnia mają przed sobą „strasznie dużo roboty”. Trzeba więc się do niej dobrze przygotować.

* * *

Oddanie Zgromadzenia Sercu Jezusowemu w dzień poświęcenia kamienia węgielnego kaplicy w Pniewach — 22 sierpnia 1921 roku:

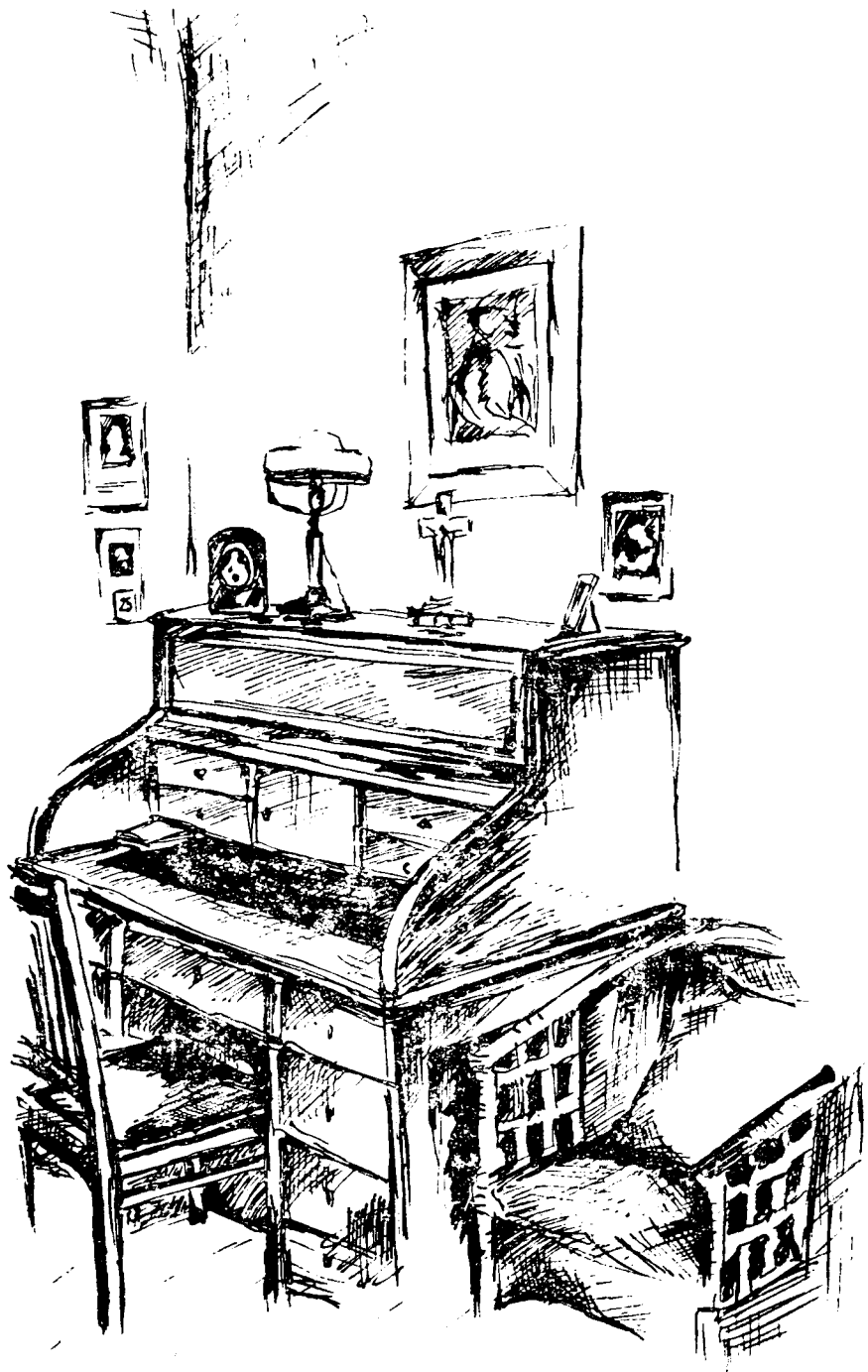
Boskie Serce Jezusa, Tobie poświęcamy tę kaplicę i cały nasz dom. Ty bądź nam Królem, Panem, Mistrzem naszym. W Tobie cała nasza nadzieja. Rozpal, o Boskie Serce, w ser-

cach służebnic Twoich święty ogień Twej miłości. Obyśmy wszystkie wiernie Tobie służyły aż do śmierci, oby żadna z nas dobrowolną winą Boskiego Serca Twego nie zraniła! Obyśmy jednego tylko pragnęły — chwały Boskiego Serca przez wierne spełnianie woli Bożej! Oby ani głód, ani pragnienie, ani ubóstwo, ani upokorzenie, ani prześladowanie, ani życie, ani śmierć nie odłączyły nas od powołania naszego, od wiernej służby w domu Króla naszego, od pracy pełnej poświęcenia dla ludu naszego — od miłości Najśłodszego Serca Jezusowego.

A Ty, Królowo nasza, Matko nasza, Jasna nasza Gwiazdo Morza, weź nas pod szczególną Twoją opiekę. Uproś tę łaskę, aby to nasze małe Zgromadzenie coraz bardziej utwierdzało się w wierności, w powołaniu, w zamilowaniu do ubóstwa i pokory, w miłości bez granic ku Najśłodszemu Sercu Jezusowemu — abyśmy kiedyś wszystkie złączone były w niebie u stóp Jezusa i Twoich, o Matko nasza najlepsza, jedyna. Amen.

Pokój Błogosławionej

„Któregoś dnia — wspominał stary Florian Kaptur — siałem zboże pod Lubocześnicą”. — Kaptura poznała Urszula jeszcze w Danii, w Aalborgu, gdzie pracował w fabryce sztucznego nawozu. W roku 1920 powiedziała do niego: „Florianie, jadę do Polski, bo Polska mnie woła, bo tam duże żniwa. Chciałabym was zabrać ze sobą”. Początkowo wykręcał się, ale skuszony odpowiednio wysokim wynagrodzeniem, na koniec się zgodził. Był więc od zarania Pniew, czuł się w pełni gospodarzem w Zakładzie św. Olafa. Siejąc żyto pod Lubocześnicą, na swój sposób przyczyniał się do żniw, o których mówiła mu Matka. Było to jesienią 1920 roku, dokładnie 26 października. Św. Olaf egzystował więc zaledwie nieco dłużej niż dwa miesiące. Nagle „zajechał samochód — kontynuował Kaptur — i jacyś księża wyszli z niego. Podeszli do mnie i zapytali: «Przyjacielu, gdzie mieszka matka Ledóchowska?» — «Ojcowie, tu jest Lubocześnica, minęliście już dom Matki tam, pod Pniewami» — odpowiedziałem. — «Tam, przyjacielu? To jest kurnik, nie klasztor!» — «No, ale tam mieszka»”. Byli to księża towarzyszący nuncjuszowi papieskiemu, Achille Rattiemu, który na zaproszenie Urszuli pragnął zobaczyć jej dzieło. Zawrócili więc do „kurnika”. Urszula mieszkała wówczas — jak pisze siostra Józefa Ledóchowska — „razem z s. Zaborską w małej klitce, przerobionej z dawnej spiżarni, o zakratowanym oknie od strony podwórza gospodarczego. Niewiele



więcej ponad dwa łóżka, umywalnię i jakieś krzesło mogło się zmieścić na powierzchni 12 metrów kwadratowych, której znaczną część zajmował jeszcze piec kaflowy”. Nuncjusz był pod wielkim wrażeniem panującego ubóstwa. Na pożegnanie powiedział: „Zostańcie tym, czym was Opatrzność stworzyła”.

Dziś niewiele już pozostało z pierwotnych budynków św. Olafa. Dużo zmieniło się jeszcze za życia starego Floriana. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych przebudowa Domu Macierzystego postąpiła tak znacznie, że nie mogą go poznać nawet siostry, które wyszły stąd przed dwudziestu laty. Ale jedna rzecz pozostała nietknięta — jak prawdziwe sanktuarium. Pokój Matki, do którego wprowadziła się w roku 1923.

Wchodzi się do niego tak jak to pierwotnie bywało: przez maleńką rozmównicę lub od klasztornego korytarza. Przed beatyfikacją przebito jedynie drzwi do sąsiedniego pokoju, który pełni teraz rolę małego muzeum. Poza tym nic się nie zmieniło. Z niewielkiej celi Błogosławionej — sześć kroków na trzy — bije pewna surowość. Nie ma tu niczego ponad niezbędne rzeczy: małe drewniane łóżko bez sprężyn, jedynie ze słomianym materacem, biały kaflowy piec, przy nim parawan zakrywający prosty stołek, na nim emaliowana miska i dzbanek na wodę oraz lniany ręcznik. Z góry zwisa lampa, a dokładnie żarówka oddzielona od kabla rodzajem blaszanego talerza. Podłoga z prostych desek.

Pod tym względem jej pokój w Pniewach w sposób istotny nie różnił się od innych cel, które poprzednio zamieszkiwała. „Między dwoma dużymi sypialniami pensjonarek na

trzecim piętrze — opisywała jej krakowski pokój siostra Józefa Ledóchowska — znajdowało się pomieszczenie stanowiące rodzaj przedpokoju, przedzielonego niskim drewnianym przepierzeniem, za którym od strony frontowej była cela siostry Urszuli — mała klitka z kilkoma niezbędnymi sprzętami: wąskim łóżkiem z białą firanką, umywalką, czarnym stołem z półką na książki, nad nim krzyżem, przy stole krzesłem i obok taboretem”. „W Petersburgu — wspominała z kolei siostra Alojza Wielowieyska — miała celkę przy pensjonacie, żeby uczennice miały do niej dostęp. W Danii mieszkała wraz ze swoją asystentką w tak malutkim pokoiku, że gdy Matka wstawiała, tamta siostra musiała pozostawać w łóżku — dwie razem nie mogły się ubierać, albo mieszkała w rozmównicy, nie mając swego spokojnego kąta”. „W Djursholmie — uzupełnia te informacje siostra Aniela Łozińska — w małym służbowym pokoju miała miejsce tylko na własne drewniane łóżko, później sypiała długi czas na kanapie w rozmównicy w Pniewach, w Rzymie na Cavour. Później, na via Regina miała Matka najgorszy, najmniejszy pokój, wychodzący na gwarną klatkę schodową, a jedyne okno wychodziło na tę tak hałaśliwą ulicę”.

Tym wspomnieniom o ubóstwie jej pokoju towarzyszy pamięć o sposobie, w jaki go zamieszkiwała. „Nieraz — pisze siostra Emilia Rutkiewicz — uciekałyśmy się do małych podstępów, by dać Matce nowy habit itp. Podobnie było z kołdrą. Matka miała bardzo małą i zniszczoną, która dla niej była «bardzo dobra». Uszyło się z podobnego materiału większą i cichaczem wymieniło. Matka widocznie się nie zorientowała, bo nigdy nie wspomniała o tym, a prze-

cież zwykła za każdą najmniejszą rzecz dziękować. W celi małej i ciasnej zachowywała Matka nadzwyczajny porządek. Nie zauważyłam, aby kiedykolwiek jakiś papierek czy zapalka leżały na podłodze. W każdej porze dnia był tam porządek wzorowy. Miednica, dzbanek, umywalka — wszystko było tak czyste, jakby w ogóle nie było używane”.

Ubóstwo, jakie przebija z jej pokoju i jakie zalecała swym siostram, nie wynikało wcale z jej jakiegoś ograniczenia czy ciasnoty. Chodziło jej raczej o pewną postawę wobec dóbr tego świata, która by umożliwiała zdobycie prawdziwej wolności ducha. „A gdy ubóstwo dokucza — pisała w roku 1933 z Rzymu do sióstr wielkopostny okólnik — radujcie się i śpiewajcie chwałę Panu, bo duch Wasz mężnieje, hartuje się i staje się zdolniejszy do wszelkich ofiar i do wielkiej świętości! Wytrwajcie w radości chwając Pana w ubóstwie! Wy zaś, Siostry moje, w domach, gdzie komfortem jesteście otoczone — i elektryczność, i winda, i wanny, i centralne ogrzewanie, i ciepła woda, i dobre jedzenie, itd. — ostrożnie, byście nie utraciły ducha ubóstwa! Nie możecie zmienić tego, co jest, ale nie przywiązujcie serca do tych wygód”.

Surowość i ubóstwo. Brak intymności. Z osobistych rzeczy można w jej pokoju znaleźć jedynie obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, przypominający rodzinny dom i ojca, Antoniego Ledóchowskiego, którego często zastawała klęczącego przed Czarną Madonną, gdy nieoczekiwanie wślizgiwała się do jego pokoju. Na sekretarzyku jeszcze niewielki obraz Serca Jezusowego. Urszula otrzymała go w lipcu 1918 roku od swego brata Włodzimierza, z życzeniem:

„Niech Boskie Serce Jezusa błogosławi nowemu dziełu na Jego większą chwałę w Aalborgu podjętemu”. Z Aalborga przywiozła go do Pniew. Potem nad sekretarzykiem zawiesiła jeszcze zdjęcie brata — delikatny znak miłości siostrzanej, a jednocześnie wyraz wdzięczności za wszystko, czego dokonał dla powstania Zgromadzenia. Nie bez racji pisała w *Historii Kongregacji*: „Takie szczęśliwe rozwiązanie naszych spraw zakonnych zawdzięczamy ojcu Włodzowi i dlatego wieczna mu się należy od naszej Kongregacji wdzięczność. Co dzień też odtąd modlimy się za Ojca Generała — niech mu Bóg wynagrodzi! Wyratował Zgromadzenie od zagłady”. I jeszcze dwie rzeczy: mały kalendarz ścienny z kartką wskazującą na ostatni dzień jej pobytu w Pniewach — 25 kwietnia 1939 roku, oraz błogosławieństwo udzielone jej osobiście oraz całemu Zgromadzeniu przez kardynała Hlonda z okazji Nowego 1938 Roku. To wszystko.

Jednakże pokój w Pniewach zawiera w sobie coś, co w sposób szczególny zwraca uwagę zwiedzających. Jest nim skromny, zgrabny sekretarzyk. Przy nim krzesło i mały fotelik dla gościa. To on nadaje specyficzny koloryt celi Błogosławionej. Wyraża jej osobowość. Tutaj spędziła wiele godzin, pisząc. Trudno zliczyć wszystkie powstałe tu listy i podpisane dokumenty. Było ich bardzo wiele. Jednakże sekretarzyk ma swoją szczególną wartość głównie dlatego, że właśnie na nim Urszula napisała najcenniejsze dla Zgromadzenia dzieła: *Testament starej, bardzo kochającej Matki*, *Historię Kongregacji* i *Kronikę Zgromadzenia*. Poprzez nie wyznaczyła mu jego duchowy profil. Jeśli więc się pragnie znaleźć u źródeł Zgromadzenia Sióstr Urszulanek Szarych,

to obok kaplicy, w której spędzała długie godziny na modlitwie, trzeba przyjść koniecznie do tego pokoju. To właśnie tutaj, w natchnieniu i napięciu ducha przelewając swe myśli na papier, rodziła swe ukochane Zgromadzenie.

Zachowało się jedno jej zdjęcie w pokoju, akurat z tego okresu — z roku 1925. Urszula siedzi właśnie przy sekretarzyku w grubym swetrze, wyprostowana, nie korzystając w ogóle z oparcia krzesła, mimo że miała wówczas lat sześćdziesiąt. Taką ją zresztą zapamiętano aż do końca — wymagającą od siebie, szukającą umartwienia nawet w samej postawie ciała. Jest delikatnie uśmiechnięta. Natomiast na sekretarzyku panuje naukowy bałagan: można dostrzec książki, rulony papieru, koperty od listów, jakieś obrazki, druczane okulary, nawet nie odpakowaną (a może zapakowaną i czekającą na wysłanie?) paczkę. Wydaje się, że ten bałagan łamie i nieco łagodzi surowość celi, nadając jej osobiste piętno Urszuli. Dzięki niemu widać, że naprawdę jest ona u siebie, w swoim pisarskim żywiole.

A jednak jest to pokój, z którego łatwo przychodziło jej wyruszyć w drogę — do nowych zadań. Wziąć kuferek i jechać tam, gdzie była najbardziej potrzebna: do Warszawy, na Polesie, do Rzymu... Być prawdziwym *homo viator*, pielgrzymem w drodze do Celu. Być przy tym pielgrzymem ubogim. „W Danii, Norwegii i Szwecji — wspominała siostra Wielowieyska — gdy miewała odczyty i zbierała datki dla Polski, jeździła trzecią klasą, a nawet czwartą (gdzie taka była), żeby nie «marnować» — jak mówiła — pieniędzy biednych. Zwyczaj ten zachowała i w Polsce tak długo, dopóki nie udało się nam wyrobić dla Matki bezpłatnego

biletu pierwszej klasy. Wtedy konduktorom i pasażerom mówiła, że podróżuje bezpłatnie; bała się zgorszyć ludzi świeckich, że zakonnica tak sobie «dogadza»”.

Tych podróży było w jej życiu bardzo dużo. Raz zapytana przez jedną z sióstr w Krakowie, gdzie mieszka, odpowiedziała krótko: „W wagonie”. W wagonie modliła się, myślała, pisała listy. Wagon stawał się jej domem. Takim pniewskim pokojem. Było to możliwe jedynie dlatego, że pokój był wszędzie tam, gdzie była ona. Jest zresztą rzeczą zastanawiającą, że w języku polskim słowo „pokój” oznacza jednocześnie pomieszczenie, jak i pewien określony stan ducha. A przy tym — przy całej tej znaczeniowej odmienności — zachodzi szczególna bliskość między pokojem jako pomieszczeniem a pokojem jako stanem ducha: prawdziwy pokój, w którym człowiek jest naprawdę u siebie, to pokój zamieszkiwany przez człowieka pokoju. W przeciwnym razie pokój jako pomieszczenie staje się swego rodzaju więzieniem, z którego człowiek za wszelką cenę pragnie się wyrwać. Urszula zawsze wносиła pokój do swego pokoju. Gdy nie była to jej pniewska cela, wносиła pokój wszędzie tam, gdzie przebywała. Nawet do wagonu. Była bowiem człowiekiem pokoju. Do samego końca. „Ostatni raz rozmawiałem z Matką — wspominał arcybiskup Włodzimierz Jasiński — przed jej wyjazdem do Rzymu w maju 1939 roku i dowiedziałem się od sióstr, że jest nieuleczalnie chora. Żegnała się ze mną, zaznaczając, że czyni to po raz ostatni i że grozi jej bliski zgon. Mówiła to z wielkim spokojem, wyraziła radość, że Boga zobaczy, ale pragnie jeszcze sprawy Zgromadzenia, domu głównego w Rzymie uregulować.

(...) Na pytanie, czy jest spokojna, odpowiedziała mi: «Kocham Pana Jezusa i mam pokój».

Jeśli pokój wносиła wszędzie tam, gdzie była, to i wagon stawał się prawdziwym pokojem — łącznie ze świętym prawem gościnności. „Jechałam z Matką do Warszawy — pisze siostra Stanisława Prądyńska — nocnym pociągiem, czwartą klasą (nie miała wówczas bezpłatnego biletu klasy pierwszej). Wagon był słabo oświetlony. W pewnej chwili otwieram oczy i widzę, że na kolanach Matki trzyma nogi jakiś Żyd, który wyciągnął się na ławce. Nie myśląc ani sekundy zerwałam się z miejsca i Żyda usunęłam. A Matka na to z wyrzutem: «Coś ty najlepszego zrobiła, on tak smacznie spał»”.

„Błogosławieni pokój czyniący...”

Szary habit

Jednym z największych skarbów Bazyliki Dolnej św. Franciszka z Asyżu jest przechowywana w niej odzież Biedaczyny — brunatny habit z kapturem oraz włosienica. Zobaczenie tego stroju to jakby dotknięcie istoty franciszkańskiego ubóstwa. Poverello nosił to skromne odzienie od czasu, gdy wobec biskupa i mieszkańców rodzinnego miasta oddał ojcu wszystko, co mu zawdzięczał i co od niego otrzymał. Łącznie z szatami. Wybrał całkowitą wolność, którą gwarantowało — według jego najgłębszego przekonania — równie całkowite ukochanie Pani Biedy. To ukochanie przejawiało się między innymi w noszeniu ubożego stroju. Kilka lat później w Porcjunkuli Franciszek przydział Klarę w szaropielaty habit. W ten sposób dał początek istnieniu zakonu Ubogich Pań.

Nie wiem, w którym dokładnie roku Urszula nawiedziła Asyż. Nie wiem, kiedy ze wzruszeniem patrzyła na te relikwie franciszkańskiego ubóstwa. Nie wiem, czy będąc w Asyżu szukała tam dla siebie natchnienia, czy też raczej z radością odkrywała, że poprzez swój szary habit już się znajduje na szlaku wytyczonym przez Franciszka i Klarę. Pewne jest jedno: kochała i czciła ich ubóstwo. Znalazło to swój wyraz w *Testamencie*: „Im uboższe będziemy, tym lepiej zrozumiemy te słowa ubożego świętego Franciszka z Asyżu: «Bóg mój i wszystko moje!»”

„Aby uniknąć nieporozumień — pisała do Marii Teresy



12 lutego 1920 roku, już po tym, jak się okazało, że nie uda się afiliacja do klasztoru krakowskiego, a jeszcze przed wyjazdem do Rzymu — przyjmujemy nazwę «Urszulank Ubogich» — jeśli Rzym na to się zgodzi, bo właśnie dla ubogich chcemy poświęcić nasze życie. Jestem przekonana, że w dzisiejszych czasach ubogim należy oddać nasze najlepsze siły, z najlepszym wychowaniem, z najgłębszą wiedzą. Co najwyższe dla najniższego! Zresztą Bóg dopomoże”.

Ta „opcja na rzecz ubogich” była, jej zdaniem, największą szansą rodzącego się Zgromadzenia. Do sióstr przebywających jeszcze w Aalborgu, wśród porzuconych dzieci i sierot robotników polskich, pisała: „Ja mam to przekonanie, że praca nasza rozwijać się będzie w miarę pokory naszej i ubóstwa naszego i o to Pana Boga proszę, by Dzieci moje myśl Matki zrozumiały, by nie dawały się odciągnąć od tej naszej cudnej drogi pragnieniem zaszczytów i chwały ziemskiej, od drogi najgłębszej pokory i największego ubóstwa!” Być może więc z nutką cichej rezygnacji przyjęła konieczność odstąpienia od pierwotnie wybranej przez siebie nazwy Zgromadzenia. „Ja tu pracuję — pisała 28 kwietnia 1920 roku z Rzymu do sióstr, kiedy decydowała się przyszłość jej Dzieła — roboty dużo mam przed sobą. Ojciec Generał wczoraj był u mnie Pewnie nie będziemy «Urszulanki biednych», ale Urszulanki Najświętszego Serca Jezusowego”. Jednakże zaraz do tego dorzuciła krótki komentarz, odkrywając w nowej nazwie ostateczny fundament tego umiłowania pokory i ubóstwa: „To jeszcze piękniej”. Bo czyż sam Jezus nie był ubogi, „cichy i pokornego serca”?

15 czerwca 1920 roku Urszula opuściła Rzym osiągnąwszy

zasadniczy cel swej podróży: aprobatę dla nowo powstałej urszulańskiej gałęzi. Musiała jednakże przerobić i przystosować Konstytucje klasztoru krakowskiego dla określenia istoty nowej Kongregacji zaistniałej w Pniewach. Nieprędko wzięła się do tego zadania. Brakowało czasu. Bo trzeba było sprowadzić dzieci z Danii, organizować Zakład św. Ołafa, odpowiadać na nowe wyzwania czasu. Okazało się bowiem, że dla nowych urszulanek pracy w Polsce jest aż nadto. Dopiero choroba, na którą zapadła wiosną 1921 roku, zmusiła ją do przerywania intensywnych zajęć. Udała się na trzytygodniową kurację do Lwówka. Miała wreszcie czas, by zająć się opracowaniem Konstytucji. Choroba może mieć więc niekiedy i swe dobre strony. Może stać się okazją do refleksji nad wieloma sprawami. Także nad sprawą stroju.

Jako dziecko, a potem jako dziewczyna Julia lubiła się stroić. Pragnienie pójścia do klasztoru, które w sekrecie wyjawiała Włodkowi, wcale jej nie przeszkadzało stawać często przed lustrem, dobierać sobie coraz to inne kokardy i cieszyć się nowymi sukienkami. Później te zainteresowania będzie przelewać na młodsze siostry, proponując im modne fasony strojów i fryzury z grzywką. Stając chętnie przed fotograficznym aparatem, lubiła przybierać pozy dość pretensjonalne. Taką ją widzimy na zdjęciu w wieku 21 lat, tuż przed wstąpieniem do klasztoru, opartą o poręcz fotela, z broszką pod szyją. To przywiązanie do pięknych strojów po raz ostatni ujawniło się u niej 17 kwietnia 1887 roku — w dzień obłóczyn. Siostra Ludmiła Popiel tak pisała w liście do swojej matki: „Wszystko bez zamieszania, spokojnie,

ślicznie się odbyło. Dzisiejsza siostra Urszula była w białej, gładkiej, jedwabnej sukni, cała owiana iluzją, odpowiadała stanowczo i wśród płaczących nie płakała. Śliczny to był ranek”.

Odtąd Urszula zaczęła swe życie w urszulańskim czarnym habicie, który dodawał jej powagi i dostojeństwa. Tak przynajmniej wygląda na fotografii zrobionej w Rzymie w roku 1907, gdy przebywała u Marii Teresy. Jednakże uczennice krakowskie szybko zauważyły, że ten strój w niczym nie krępuje jej żywego temperamentu. Podczas gdy inne zakonnice z namaszczeniem kroczyły klasztornymi korytarzami, Urszula — jak pisze Natalia Horodyska — „biegała prawie z rozwianym welonem, podobna czarnej jaskółce fruwała po korytarzach spiesząc się wiecznie i zjawiając się w nieprzewidzianych godzinach w różnych najodleglejszych zakątkach”. Co więcej, uczennice zauważyły, że Urszula nie bardzo dba o jego piękno i długość — jak gdyby inne rzeczy były ważniejsze niż on. „Pamiętam — wspomina siostra Alojza Wielowieyska — gdy byłam uczennicą, Matka nosiła habit bardzo zniszczony, za krótki. Uczennice bardzo się tym oburzały, wreszcie poszły do przełożonej z propozycją, że falbanką przedłużą habit Matki lub kupią nowy. Naturalnie zmieniono habit Matce, która z wystąpienia uczennic była niezadowolona i tłumaczyła, że habit był jeszcze zupełnie dobry”.

Cóż stało się z dawną, kochającą piękne, nowe stroje Julcią? „Co się ze mną stało?” — musiała siebie zapytać, przebywając we Lwówku. Przypomniała sobie, jak wyruszając po raz pierwszy do Petersburga 11 kwietnia 1907

roku, była zmuszona przebrać się w suknię świecką, gdyż w ówczesnej Rosji działalność zakonów katolickich była zakazana. Dla nowego dzieła, którego się podjęła, nietrudno jej było zdjąć urszulański habit. Równie łatwo przyszło jej kazać przerobić dla siebie suknię z jakiejś starej, już używanej, ofiarowanej przez kogoś krakowskiemu klasztorowi. I taką ją odtąd będzie widział świat: w ciemnej sukni, z białym kołnierzykiem i kokardą pod szyją, z welonem na głowie, spod którego będą się wyłaniać coraz to bardziej siwe włosy. Jedyne wiszący na piersiach krzyż będzie sugerował niektórym, że hrabina Ledóchowska jest zakonnicą. Takie zapewne zdjęcie Urszuli pokazała papieżowi Piusowi X Maria Teresa. Papież zareagował spontanicznie: zupełnie nie proszony o to napisał własnoręcznie: „Deus benedicat te et omnia opera tua. Die 14 aprilis 1909. Pio PP. X” (Niech cię Bóg błogosławi i wszystkie twoje dzieła. Dnia 14 kwietnia 1909. Pius X, papież). Z uśmiechem dodał jeszcze, że Urszula i członkinie jej petersburskiego tajnego klasztoru mogą choćby w różowe suknie się ubierać, byleby tylko tam pracowały. To papieskie poparcie było dla niej czymś ogromnie ważnym. Dochodziły przecież do niej złośliwe plotki o zakonnicę, która „rzuciła habit” i która mimo to pragnie zaskarbić sobie społeczne zaufanie, co więcej, ma ambicje po katolicku wychowywać panienki z tak zwanych dobrych domów. W roku 1910 udała się na audiencję do Piusa X jeszcze w habicie zakonnym, w który się przebrała w Krakowie, jadąc z Petersburga do Rzymu, natomiast rok później stanęła przed papieskim obliczem w stroju całkowicie świeckim.

Niezwykła otwartość Piusa X — prawdziwego *Ignis ardens*, „Płonącego ognia” — umacniała ją w przekonaniu, że strój zakonny ma przede wszystkim służyć zakonnemu dziełu, a nie odwrotnie. Czy jednak wszyscy potrafią to zrozumieć? W Skandynawii jej skromny, świecki ubiór wydawał się czymś naturalnym, ale w Polsce mógł budzić już nieprzychylnie komentarze. A cóż dopiero w Rzymie, w którym na Stolicy Piotrowej zasiadł po Piusie X papież Benedykt XV. Przebywając na kuracji we Lwówku, Urszula często wracała swymi myślami do audiencji, jaką miała u niego. I mimo że odbyła się ona przed dziesięciu miesiącami, 31 maja 1920 roku, Urszula ciągle jeszcze nie potrafiła całkowicie otrząsnąć się z przykrego wrażenia, jakie w gruncie rzeczy w niej pozostało. „Pocałowałam w rękę Ojca Świętego — wspominała w *Historii Kongregacji*. — Kazał mi usiąść. Serce mi biło. Miał wygląd poważny, raczej surowy. W krótkich słowach streściłam cel mego przybycia do Rzymu po długich wędrówkach, po prześladowaniu i wygnaniu. Ojciec Święty wysłuchał mnie, a potem rzekł: — *Et maintenant vous ferez bien de rentrer dans votre couvent*. (A teraz matka postąpi dobrze, jeśli wróci do swego klasztoru.) — Serce mi zadrżało... Dokąd? Czy mam rzucić siostry moje na pastwę losu i wracać do Krakowa? Więc nieśmiało się odezwałam: — *Mais, Très Saint Père, où? Je suis dans mon couvent*. (Ależ Wasza Świątobliwość, dokąd? Ja jestem w swoim klasztorze.) A Ojciec Święty ciągnął dalej: *Car une religieuse qui court ainsi le monde ne fait pas bien*. (Bo zakonnica, która tak biega po świecie, nie czyni dobrze.) — Chciało mi się płakać”.

Zastanawiała się teraz, po raz kolejny, nad sensem papieskiej wypowiedzi. Czy stwierdzenie Benedykta XV, że powinna wrócić do klasztoru, nie oznaczało, że powinna wrócić również do zakonnego stroju? Czy wyraźna niechęć, jaką jej okazał papież, nie wynikała także z tego, że nie potrafił on zaakceptować zakonnicy w stroju świeckim? To, co budziło przychylność i zrozumienie u Piusa X, nie musiało wcale budzić podobnych reakcji u jego następcy. Może więc myliła się odnośnie do tego, co pisała siostram z Rzymu 14 maja 1920 roku, na dwa tygodnie przed audyencją u Benedykta XV: „Jedna rzecz, z którą trudności nic nie ma, to ta, że habitu nie weźmiemy. Tu prąd raczej przeciw habitom, a Ojciec Święty kazał zakonem wychodzącym na ulicę, schować jak najwięcej białego, co mają na sobie — przykrywają czarnym. To pierwszy krok do habitów mniej uderzających — a może do sukni świeckich”.

Co więcej, zauważyła też, że przywiązanie do zakonnego habitu i welonu ujawniało się także w jej najbliższym otoczeniu — i to do tego stopnia, że jedna z sióstr z Aalborga właśnie z tego powodu poprosiła, by mogła przenieść się do Krakowa. Opracowując *Konstytucję* swego Zgromadzenia, nie mogła nie brać tego wszystkiego pod uwagę. Więc jednak habit. Ale inny, zdecydowanie odbiegający od powszechnie stosowanych w innych zakonach czy zgromadzeniach. Służący Zgromadzeniu i najpełniej wyrażający jego istotę. W *Historii Kongregacji* lapidarnie skomentowała ten tak ważny dla swego Dzieła moment: „Przystosowałam *Konstytucje* nasze, tj. domu krakowskiego, do potrzeb nowej Kongregacji zakonnej z własną przełożoną generalną, oddanego

głównie pracy dla biednych. Cnotą fundamentalną, właściwą tej nowej Kongregacji, ma być pokora, habit prościutki — dla sióstr chórowych szary, z małym czepkiem, bez woalu, dla sióstr konwerek niebieski”. W porównaniu z noszonymi dotychczas sukniami zdecydowanie zmieniła materiał — dla swych sióstr wybrała szare, proste płótno, tkaninę ubogich. Dobrze do każdej pracy.

Skąd zaczerpnęła do tego wzór? W jakiejś mierze zdecydował o tym przypadek. „Wakacje 1919 roku — wspominała siostra Alojza Wielowieyska — były [w Aalborgu] ludne. Przyjechali hr. Dzeduszyccy (brat późniejszej s. Dzeduszyckiej, który pracował w polskiej legacji), p. Hejmowska z synami (jeden z nich to mec. Stanisław Hejmowski z Poznania), dawna wychowanka Matuchny z Krakowa, kilka Szwedek, Dunek, ordynatowa Zamoyska. Trzeba zrobić «historyczną» wzmiankę o pani Hejmowskiej. Ofiarowała ona dla dzieci swój fartuch z jasnoszarego materiału podszewkowego. Był bardzo ładny, nowy, więc Matuchna powiedziała, że szkoda go krajać dla dzieci. Może go nosić któraś z sióstr. Dostała go siostra Rodziewicz. Fartuch podobał się wszystkim, toteż Matka poleciła kupić podobny materiał i uszyć z niego fartuchy dla siostry Łozińskiej, pracującej przy dzieciach. Z tego pierwowzoru powstały nasze najpierw fartuchy, potem habit. Tak więc pani Blanka Hejmowska przyczyniła się pierwsza do powstania habitów sióstr urszulanek szarych. Jeszcze w Danii nudziłyśmy Matkę o wymyślenie dla nas jakiegoś nakrycia głowy — nie miałyśmy nosić welonów, a przykrzyło nam się chodzenie z gołą głową i świeckie uczesanie. Matuchna poleciła więc Jance

Dziekońskiej (postulantce), bardzo zręcznej i pomysłowej w fabrykowaniu kostiumów na różne przedstawienia uczennic, żeby coś dla nas obmyśliła. Po wielu mniej więcej udanych próbach, Janka zrobiła czepek, który Matka przyjęła. Takie czepki zabrałyśmy z sobą jadąc do Polski. Czepki miałyśmy nosić stale, a szare fartuchy w dni powszednie, do pracy. W niedzielę, święta i na wszelkie wyjazdy wkładałyśmy czarne kostiumy. Wyglądało to okropnie: każda suknia inna. Zaczęłyśmy więc Matuchnę prosić, żebyśmy stale chodziły w fartuchach. Zdaje mi się, że już w zimie 1921/22 zmiana ta została wprowadzona. Trzeba było jednak zmodyfikować trochę fartuchy: musiały być dłuższe i bez dekoltu. Poprzerabiano więc dawne, a nowe szyto już z odpowiednią poprawką. Nazwa «fartuch» została zamieniona na nazwę «habit». Znacznie później, około 1935 roku, na propozycję siostry Prądyńskiej zastąpiła Matka dawne paski z materiału paskami skórzanymi”.

I ten strój pokochała. Właśnie dla jego prostoty. „Czy Siostra zna choć trochę nasze Zgromadzenie?” — pisała w roku 1929 do jednej ze zgłaszających się do klasztoru. — „Habit — mówią, że brzydki (choć mnie się bardzo podoba)”. I zaraz dopisała resztę, która dla niej nierozdzielnie wiązała się z tym „brzydkim habitem”: „Straszna ciasnota w naszych domach i wielkie ubóstwo, wygod mało. Naturalnie, na zdrowie uważamy, bo potrzebne. Pracujemy dla biednych głównie. Niektóre placówki, szczególnie na Kresach, są twarde. Ale ja myślę — z Panem Jezusem idzie, można wytrzymać”.

Podobną myśl wyraziła w *Testamencie*: „Niech pragnie-

nia Wasze zawsze skierowane będą ku ubóstwu. Kochajcie nasze biedne habity, nie wstyďte się, że nieraz i połatane — byleby czyste, to wystarczy”. W tych słowach przebija ambicja matki, która chciałaby widzieć swoje dzieci pięknie ubrane. Której bardzo zależy na tym, aby jej dzieci dobrze się prezentowały. Jest to ten wzruszający i subtelny rodzaj matczynej ambicji, której po prostu wyłącznie zależy na dzieciach. Sama gotowa jest chodzić bardzo skromnie, zrezygnować z niejednego, byleby jej dziecko nie czuło się gorsze od innych. Matczyzna ambicja, która wyrasta z ukochania dziecka. Stara Matka z Pniew rozumiała i kochała swe dzieci. Być może przykro jej nieraz było, gdy ktoś z góry popatrzył na jej córkę, która nosiła strój robotnicy. Było jej przykro, bo czuła przykrość przeżywaną przez córkę, którą tak właśnie ubrała. Ale jednocześnie chciała, by każda z jej duchowych córek była swoiście dumna ze swego stroju. Dumna radością służenia drugim, które ten szary strój tak wspaniale umożliwiał. „«Czysto i ubogo» — dopisała zaraz potem w *Testamencie* — niech będzie hasłem biednej służebnicy biednych, a nie: «ładnie i wygodnie»”.

Trudno wyobrazić sobie bardziej nieefektywny kolor zakonnego habitu. Szary. Skojarzenia związane z tą barwą są raczej przygnębiające: „szara rzeczywistość”, „szara codzienność”, „szara eminencja”, „szare niebo”, „szary człowiek”. Jest w tym zawarte jakby jakieś skazanie na przeciętność, z której nie można się już wyrwać. A jednak w *Testamencie* znajdujemy fragment, który zdaje się temu przeczyć: „A gdy klęczysz przed tabernakulum i nie wiesz, o czym myśleć, i myśli Ci się nie kleją, wtedy unizaj się

przed Panem jak najgłębiej. Ty jesteś jak to szare, grube płótno, nic nie możesz, ale wystawiaj swą nędzę na działanie promieni miłości, wychodzących z tabernakulum, cicho, pokornie — a Jezus duszę Twą biedną, jak słońce płótno, uczyni białą i piękną”. Dla Urszuli szarość nie była skazaniem. Była tworzywem, z którego można wydobyć cuda. Swój szary, ubogi habit kazała nosić siostram, którym jednocześnie przykazywała, by były radosne jak słoneczny promyk. Szarość habitu miała być dla nich wyzwaniem do takiego przetwarzania własnego wnętrza, aby jego słoneczność zatryumfowała nad szarością stroju. Wymagało to ciągłego, wielkiego wysiłku. Ale czyż Urszula nie do wielkich rzeczy wzywała te, które zasłużyły sobie na zaszczyt noszenia zaprojektowanego przez nią stroju?

„Co się ze mną na starość stało?” — przebywająca we Lwówku Matka uśmiechnęła się do swych myśli. Przed laty, w tak już odległym i beztroskim dzieciństwie sama decydowała o stroju swych młodszych sióstr. Teraz czyni to ponownie. Tylko że wtedy były to stroje modne i w miarę bogate. Teraz jest to strój ubogi, odrzucający wszelkie konwenanse i dyktaty mody. Za to najpiękniejszy — bo najbardziej kochany.

I tak powstała nazwa Urszulanek Szarych. Nie „urszulanek ubogich”, jak kiedyś wymarzyła sobie Matka, lecz właśnie szarych.

I tak powstały słoneczne promyki na tej szarej ziemi.

Alina

„Matka szła szybko od przystanku autobusowego, niosąc swą małą walizeczkę. Za nią postępowała zadyszana, tęga siostra asystentka, na której to — biednej — ciążyło niemożliwe do spełnienia zadanie skłaniania swojej przełożonej, by uważała na siebie” — tak oto zachowała w pamięci wspomnienie swego pierwszego spotkania z Urszulą przełożoną angielskiego zgromadzenia misyjno-apostolskiego, Dorothy Gordon. Było to w roku 1930, podczas międzynarodowego zjazdu nowo powstałych zgromadzeń zakonnych w Salzburgu. Żyjące jeszcze dzisiaj siostry, które miały szczęście je widzieć, będą wspominały asystentkę Matki jako osobę, na której spoczywało równie niemal niemożliwe do spełnienia zadanie ograniczania czasu rozmów, jakie Urszula prowadziła ze swymi licznymi duchowymi córkami.

Obrazek, jaki nam przekazała Dorothy Gordon, tchnie nutką pewnego ciepłego komizmu, który tym bardziej staje się wyraźny, gdy do niego domalujemy historyjkę opowiedzianą nam przez samą Urszulę. Było to w grudniu 1917 roku w Aalborgu, w Danii. „Nazajutrz siostra Zaborska — czytamy w *Historii Kongregacji* — chciała siostry zaprowadzić do kościoła, ale jako że nie grzeszyła nigdy dobrą orientacją w terenie, więc w mróz i śnieg ruszyła akurat w przeciwną stronę. Gdy w ciemnościach wreszcie spostrzegły, że idą źle, musiały nadłożyć wiele drogi, aby dotrzeć do kościoła i do ojca Sassena”. Mamy więc obraz dwóch

starszych już pań (w roku 1930 Urszula liczyła sześćdziesiąt pięć lat, a jej asystentka była o sześć lat od niej młodsza), jedna niedużego wzrostu, drobna, idąca bardzo szybkim krokiem, niemal biegnąca, i druga, tęga, prawie zwałista, zaspana, próbująca dopędzić pierwszą, przejęta jej zdrowiem, poczuwająca się do tego, by być jej doskonałym aniołem opiekuńczym, a jednocześnie do końca niepewna, czy idą w dobrym kierunku.



I jeszcze jeden obrazek. Kiedy uważniej przegląda się ich zdjęcia obejmujące okres przeszło trzydziestu lat — tak długo trwała i kształtowała się ich przyjaźń — dostrzec

można pewną zadziwiającą prawidłowość: z biegiem lat opiekuńczy anioł przybierał na cielesności, a przedmiot jego opieki stawał się coraz bardziej filigranowy.

Urszula i Alina.

Pisana w Pniewach na początku lat dwudziestych *Historia Kongregacji* jest także historią ich przyjaźni. Czytana w tym właśnie kluczu, pokazuje, jak dzieje powstawania i kształtowania się zakonnego zgromadzenia mogą być jednocześnie dziejami powstawania i kształtowania się ludzkiej, a zarazem prawdziwie Bożej przyjaźni. I jak czysto ludzkie uczucie może dźwigać drugiego człowieka, jak może go wzywać i wyzwalać do coraz większego ukochania samego Boga. Urszula nie wstydziła się tego uczucia, tak jak nie wstydziła się tej przyjaźni. Uważała ją za Boży dla siebie dar i tak też ją z wielką prostotą opisywała od pierwszych niemal stron *Historii*. Stąd imię Aliny pojawia się w niej chyba najczęściej. I czytelnicy przyjmują to z pełnym zrozumieniem. Tak przecież było w życiu Urszuli. Tak to się tworzyło. A jednocześnie stają wobec pewnej tajemnicy tych dwóch osób. W *Historii* i w *Listach* będą się wprawdzie pojawiały fakty, anegdoty, będzie też mowa o wzruszeniach i łzach, ale to, co w pełni przeżywały, pozostanie do końca tajemnicą ich serc.

Bo prawdziwa przyjaźń jest tajemnicą. Jest najpierw tajemnicą dla tych, których łączy i którzy są nią związani. Tym bardziej więc pozostaje tajemnicą dla tych, którzy znajdują się poza nią, którzy są jej świadkami i którzy wiedzą o niej tylko tyle, ile sami zaprzyjaźnieni zechcieli o tym powiedzieć. Nikt z nas też się nie dowie, ile za tą

przyjaźnią kryło się modlitw i cichych ofiar składanych samemu tylko Bogu, o których Urszula nie wspominała nawet Alinie i o których Alina milczała wobec Urszuli. Zapewne obydwie były głęboko przekonane, że ich przyjaźń jest nadzwyczajnym Bożym darem i że — jak każda łaska — jest noszona w glinianym naczyniu. Że trzeba zatem jej nieustannie strzec i u Boga prosić o zachowanie jej do końca.

„Muszę tu poświęcić parę słów pannie Alinie Zaborskiej, dzisiejszej siostrze Zaborskiej. Poznałam ją w roku 1904, we wrześniu...”

Stare arabskie powiedzenie mówi: „Jakieś spojrzenie, jakiś uśmiech, jakieś słowo, jakieś umówienie się, jakieś spotkanie, to przyjaźń”. Przyjaźń jest czymś konkretnym, głęboko przeżywanym przez osoby nią powiązane. Ale w jej genezie tkwi już pewna tajemnica. Kiedy spojrzenie zwróciło na siebie uwagę? Kiedy uśmiech Drugiego opromienił czyjeś wnętrze? Kiedy pojawiło się to słowo, które zapadło głęboko do serca? Kiedy to słowo utorowało drogę do wyznaczenia sobie miejsca i czasu? Kiedy nastąpiło to spotkanie, które dało początek prawdziwej przyjaźni? Rzadko pierwsze spojrzenie od razu wyzwala łańcuch następnych zdarzeń. Najczęściej bywa tak, że początkowo spojrzenie zostaje nie zauważone, a uśmiech nie odwzajemniony. Że słowo pozostaje bez właściwej dla siebie odpowiedzi. I długo nawet może trwać taki stan swoistej ślepoty i głuchoty na Drugiego. Aż nagle przyjdzie moment — nieoczekiwany — olśnienia...

Jak to było w przypadku Urszuli i Aliny?

„Od dawna już nosiła się z myślą odprawienia rekolekcji

w naszym klasztorze, bo była kiedyś uczennicą matki Ignacji Szydłowskiej, gdy ta jeszcze kierowała szkołą w Iłku, i bardzo ją kochała. Zawsze coś stawało Alinie na przeszkodzie. Dopiero gdy zostałam przełożoną, przyprowadził mi ją Pan Jezus, bo chciał mi ją dać za wierną przyjaciółkę, podporę, doradczynię na stromej drodze mej tułaczki. Matka Ignacja jako mistrzyni pensjonatu nie miała czasu zająć się Aliną podczas jej rekolekcji, więc ja się ofiarowałam, ku niezadowoleniu Aliny. Lecz zaraz po pierwszej wieczornej konferencji dusze nasze zbliżyły się do siebie, a po wyjeździe Aliny pisywałyśmy do siebie bardzo często. Alina zabrała się gorliwie do pracy wewnętrznej, a ja starałam się jej w tym dopomagać i rozpałić w niej isierkę powołania zakonnego, która w jej duszy się tliła”.

Czysty przypadek więc zrządził, że Alina, urodzona na Litwie, obyta w tzw. wielkim świecie — studiowała jako wolny słuchacz na Sorbonie, co w owym czasie w odniesieniu do kobiet należało do prawdziwej rzadkości — przybyła do Krakowa akurat wtedy, gdy przełożoną klasztoru była Urszula. Czysty przypadek sprawił, że matka Ignacja nie miała wtedy czasu. Przypadek? Dla Urszuli opisującej tę historię po prawie dwudziestu latach to nie był wcale przypadek czy uśmiech losu. „Pan Jezus mi ją przyprowadził...”

Co do tego nie miała żadnych wątpliwości. Najpierw dlatego, że od samego początku bardzo była zatroskana o jak najbardziej szlachetny kształt rodzącej się przyjaźni. „Choć nie byłam do tego obowiązana — czytamy w *Historii Kongregacji* — ale tę rozwijającą się przyjaźń poddałam kontroli matki Stanisławy, dawniejszej mej przełożonej, by pozostała

taką, jaką Bóg ją chciał — Bożą, czystą, wolną od przynieszek ziemskich, nadprzyrodzoną”.

Tę przyjaźń umiała też w pełni ofiarować Bogu. Bardzo dbała o to, by nigdy nie stanęła ona na drodze jej zakonnego życia i tych wielkich dzieł, do których czuła się powołana przez Najwyższego. To właśnie dlatego była gotowa pozostawić Alinę w Krakowie na czele internatu dla studentek (Alina wstąpiła ostatecznie do klasztoru w roku 1906), a sama wyjechać do dalekiego Petersburga. Z tamtych czasów zachował się wpis Urszuli do notatek rekolekcyjnych Aliny. Miały to być ostatnie rekolekcje, jakie Urszula wygłosiła swej przyjaciółce i zarazem współsiostrze. Swoiste pożegnanie, a jednocześnie szukanie wzajemnych trwałych pomostów duchowych — mimo i zarazem na przekór oddaleniu. Na pierwszy rzut oka wpis ten w swej treści jest dość twardy, a na pewno bardzo wymagający — Alinie nie wolno zapomnieć o tym, że w jej zakonnym życiu na pierwszym miejscu koniecznie musi być sam Bóg. Dopiero na końcu adnotacji pojawia się jedno zaledwie słowo, które odsłania to, co Urszula naprawdę wtedy przeżywała — „mojej jedynaczce...”

„Moje Dziecko jedyne — pisała Alinie — zabierz się do tych rekolekcji z całą dobrą wolą, na jaką tylko zdobyć się będziesz mogła! Nie zważaj na uczucie, ale chciej zwrócić się znowu do Boga, podnieś swą duszę ku szczytom. Nie szczędź trudu ni wysiłku, aby Panu Bogu dać teraz dowód, że chcesz Go kochać, że chcesz wynagrodzić za wszystko, co było złe w tym roku. Moje Dziecko, pamiętaj, że przez te rekolekcje mamy przygotować się na długą może

rozłąkę, i przygotowujemy się na nią łącząc coraz ściślej serca i dusze nasze w miłości Jezusa i Maryi. Maryja, Królowa serc naszych, niech będzie łącznikiem naszym w tej rozłące, niech u Jej stóp serca i dusze nasze będą ściśle złączone. Jeżeli nam chodzi o to, by być zawsze razem, to przez te rekolekcje przykuwajmy swe serca do Serca Maryi, a nawet rozłączenie, co nas czeka, nie rozłączy nas! (...) Mojej jedynaczce jako pokutę za zeszłoroczne winy wyznaczam gorące, serdeczne «Fiat», «Deo gratias» za każdy krzyżyk — i wielki, i mały. Im więcej boli, tym więcej dziękować!”

Bóg jednak miał inne plany. Przecież „Pan Jezus mi ją przyprowadził...” W listopadzie 1907 roku Urszula udała się z Petersburga do Rzymu. Droga wiodła, oczywiście, przez Kraków. Tam Urszuli oświadczono, że Alina jako przełożona internatu jest zbyt samodzielna i że lepiej by było, gdyby po skończonym roku szkolnym Urszula wzięła ją do siebie, do Petersburga... 15 sierpnia 1908 roku przyjęła ją do nowicjatu. 25 marca 1910 roku odbyły się jej pierwsze śluby zakonne. Obydwie uroczystości przeprowadzono w wielkiej tajemnicy, w obawie przed Rosjanami. W *Historii Kongregacji* Urszula opatrzyła je znamienymi komentarzami. Z okazji wstąpienia do nowicjatu: „Otrzymała Alina imię zakonne Maria Kordula, imieniny miała obchodzić w święto Matki Boskiej Różańcowej. Pierwsza moja towarzysza przyjęta na tej nieprzyjaznej ziemi do nowo erygowanego nowicjatu! Jakaż to dla mnie była pociecha, jakże Bogu za moją Alinę, tak wierną mi i oddaną, dziękowałam i wciąż dziękuję! Dziwne drogi Opatrzności! One Alinę do naszego Zgromadzenia przyprowadziły wbrew

jej zamiarom pierwotnym, wbrew planom naszym późniejszym”. Z okazji ślubów: „Me serce było przepelnione wdzięcznością, gdy ksiądz kanonik Ostrowski włożył pierścień na rękę siostry Zaborskiej i ślubami tymi oddała się Chrystusowi Panu na zawsze. Teraz była już zupełnie własnością Jezusa i własnością naszego małego Zgromadzenia — moja wierna Alina”.

Jeszcze przynajmniej dwukrotnie Urszula była gotowa „utracić” Alinę dla dobra Zgromadzenia i dwukrotnie Bóg tak pokierował ich losami, że Alina przy Urszuli pozostała. Każde z tych zdarzeń to kolejna próba ich przyjaźni. To kolejny próg, jaki miały pokonać. Doświadczenie serca, które nie chce cofnąć się przed żadnym bólem dla miłości Jedyne-go Oblubieńca. Doświadczenie Najwyższej Miłości, która jest nieskończenie hojna w udzielaniu się ludziom także przez ludzką miłość.

Najpierw było to podczas rozmów prowadzonych jesienią 1919 roku w celu przyłączenia się do wspólnoty krakowskiej. „Na dowód tego połączenia — pisała Urszula w *Historii Kongregacji* — miałam zaraz po Nowym Roku przysłać siostrę Zaborską do pomocy do Krakowa. Była to dla mnie największa ofiara, wszak to moja prawa ręka! Ale właśnie ofiarą chciałam nasze połączenie uświęcić, za łaskę połączenia się z urszulankami polskimi zapłacić ofiarą, pokazać, jak szczerze rozumiem to «służenie» naszym starszym siostrom. (...) Dobro Zgromadzenia musi stanąć ponad potrzebami serca Aliny i mego”. I właśnie wtedy, gdy zaczęto czynić starania o paszport dla Aliny, przyszedł z Krakowa telegram: „Powstrzymać przyjazd siostry Zabor-

skiej, list wysłany”. W liście była mowa o zerwaniu porozumień krakowskich...

Za drugim razem chodziło o rozstanie nie tak dramatyczne, choć na pewno dla niej bolesne. Biskup Tymieniecki usilnie prosił siostry do Łodzi, by zajęły się katechetkami. Urszula zgodziła się na to i planowała wysłać właśnie Alinę jako przełożoną tej placówki. Jednakże na Święta Bożego Narodzenia 1921 roku Alina zachorowała na szkarlatynę. „Po jej ostatniej chorobie — wspominała Urszula — musiałam zmienić plan. Wybór mój padł tym razem na siostrę Łozińską”. I zaraz ten fakt opatrzyła znamienym komentarzem: „Dziś muszę przyznać, że ta choroba, która spowodowała zmianę projektu, też była opatrnościowa”. Bóg widocznie chciał, by pozostały razem.

Te progi przyjaźni, te kolejne gotowości na rozstanie nie były łatwe. Co prawda Urszula dobrze wiedziała, że „tak właśnie trzeba”, ale wcale to nie znaczyło, że ból decyzji był przez to łagodniejszy. Na pewno cierpiała bardzo. Zachowało się jedno jej zdjęcie z dnia, w którym w roku 1914 musiała opuścić Rosję. Rozstanie z najbliższymi. Urszula jest na nim bardzo postarzała, jakby jej nagle przybyło wiele lat. Jeśli wszystkie siostry są na tym zdjęciu bardzo poważne, to twarz Urszuli jest wyraźnie naznaczona piętnem cierpienia. Zapatrzona gdzieś w dal, jakby miała odchodzić na zawsze. „Z pokładu patrzyłam na siostrę Zaborską, która wciąż stała na lądzie. Chciałam jeszcze coś powiedzieć, ale policjant nawet na parę słów (...) pozwolić nie chciał i kazał iść do kajuty. Pożegnałam moją wierną siostrę Zaborską z daleka kiwając ręką — i zesłam do kajuty. O, jak serce

bolało! To było naprawdę rozdarcie serca”. Było to 31 sierpnia. Dla Urszuli zaczęły się trudne dni sztokholmskiej samotności. „Strasznie odczuwałam samotność. Dzień świętej Urszuli — czytamy w *Historii Kongregacji* — był bardzo ciężki. Zdaje się 25 czy 26 października siedziałam wieczorem przy stoliku cerując pończochy — bardzo ciężko mi było na sercu. Słyszę hałas w przedpokoju, otwierają się drzwi, wchodzi siostra Zaborska. Rzuciłam się na nią z płaczem — wyznaję, słaba byłam, ta samotność i niepokój siły mi odbierały. Została ze mną aż do drugiego listopada. Dobrze to były dni. Przebywałyśmy razem przez cały czas. Ona — wesoła, serdeczna, dodawała mi odwagi, tak że już w innym nastroju, choć z bólem, żegnałam ją na statku coraz bardziej oddalającym się od brzegu”.

Odnosi się niekiedy wrażenie, że w swej spontaniczności Urszula nawet nie zauważała tego, jak bardzo żyje problemami Aliny. Zwłaszcza kiedy Alina chorowała lub niedobrze się czuła. Wtedy wielkie sprawy Zgromadzenia czy domu były niemal na równi ze sprawami Aliny. W roku 1920, podczas trudnych rozmów w Rzymie, brała udział w uroczystościach kanonizacyjnych św. Małgorzaty Marii Alacoque. „Stałyśmy od godziny szóstej do drugiej po południu. Widziałam koniuszek mitr dwustu biskupów idących w procesji przed sedia gestatoria, na której był Ojciec Święty. To widok imponujący, ale już zbyt zmęczona byłam, by chłonąć te wszystkie wrażenia. Modliłam się jak mogłam. Prosiłam świętą Małgorzatę Marię o cud, by ustały migreny siostry Zaborskiej”. I jeszcze jeden obrazek: „Boże Narodzenie 1921 roku było bardzo smutne. Parę dni przedtem zacho-

rowała siostra Zaborska na różę na twarzy. (...) Podczas pasterki zaniósł jej ksiądz Komunię świętą. Tak się bałam — a nuż mi Pan Bóg moją prawą rękę zabierze? Ale zlitował się dobry Bóg. Już na Nowy Rok zrobiło się siostrze lepiej”. A oto fragment listu Urszuli z Rzymu pisanego 1 maja 1931 roku: „U nas tu trochę smutno, bo biedna s. Asystentka jeszcze bardzo cierpiąca, ale doktor uspokaja, że to nic niebezpiecznego. Dziś i gorączki nie ma, ale męczy się bardzo, biedaczka, no i też martwi się, że jechać nie może. I w tym woła Boża”. Wydaje się, że spontaniczność przyjaźni Urszuli ujawniła się najbardziej podczas audiencji u Piusa X, dnia 6 maja 1910 roku. Urszula została przyjęta przez Ojca Świętego osobiście, natomiast Alina czekała na nią w papieskiej antykamerze. Kiedy Pius X uczynił zadziwiająca i wzruszająca w swej prostocie propozycję, by on i Urszula spotykali się każdego dnia o oznaczonej godzinie u stóp Jezusa, Urszula nie wytrzymała. „Nie wiedziałam, co robię — pisała później w *Historii Kongregacji*. — Wstałam, pobiegłam do siostry Zaborskiej, by i ona usłyszała te piękne słowa; tylko szkoda, że je przerwałam, ale to był głos serca, co chciało dzielić swe szczęście z wierną, oddaną sobie duszą. Powiedziałam, że modlimy się, modlić się będziemy bardzo. Wstał, podszedł do szafki przy biurku, wyjął biały różaniec i dał mi go, potem medaliki dla mej siostry, siostry Zaborskiej i dla mnie. Wróciłyśmy uszczęśliwione”.

„Pan Jezus mi ją przyprowadził...” Przyprowadził ją także do przeżywania chwili ostatniej. To pośród cierpień śmiertelnej choroby właśnie Alinę zapytała: „Czy ja umrę?” Od tej, z którą tak głęboko dzieliła losy rodzącego się Zgro-

madzenia, chciała dowiedzieć się prawdy. Dla siebie prawdy ostatecznej. I usłyszała odpowiedź. Właśnie taką, jakiej ją uczyła od początków zakonnego życia — nieustanne *Fiat* dla woli Bożej przyjęło teraz postać: „Jak Bóg zechce”. Urszuli to wystarczyło. Wiedziała. „Od tej chwili — jak wspomina siostra Brygida Rodziewicz — przestała się interesować sprawami Zgromadzenia i oddała się cała modlitwie i skupieniu”.

„Miłujące ręce sióstr ułożyły swą Matkę wśród kwiatów w chórze zakonnym” — pisze w swej monografii o Błogosławionej siostra Józefa Ledóchowska. Wśród tych miłujących rąk były zapewne przede wszystkim ręce Aliny. W roku 1904 ręce Urszuli witały ją na progu krakowskiego klasztoru, 35 lat później ręce Aliny żegnały Urszulę ostatnią posługą, jaką jej mogła jeszcze oddać.

Wtedy też ojciec Włodzimierz powiedział: „A teraz pokażcie, co umiecie, czy potraficie być prawdziwymi, silnymi urszulankami”. Alina czuła, że w pierwszym rzędzie odnosi się to do niej. Jej osobista wierność ukochanej Urszuli musi odtąd przyjmować postać wierności założonemu przez nią Zgromadzeniu. Wierności tym bardziej trudnej, że nadchodziły ciężkie czasy. Zbliżała się wojna.

Pozostało jej jeszcze dwanaście lat zakonnej pracy. I dwanaście lat cichej tęsknoty do spotkania z Urszulą — u stóp Oblubieńca.

Uśmiech Starej Matki

Tajemnica Błogosławionej to tajemnica jej uśmiechu. Że tak jest naprawdę, świadczą jej portrety. Wszystkie, jakie dotąd widziałem, łącznie z wiszącym nad Sarkofagiem oraz tym, który wznosił się podczas beatyfikacji nad Łęgami Dębińskimi, są to portrety nieudane. Brakuje im czegoś, co by w przedstawianej postaci wyrażało syntezę jej osobowości. A to właśnie jest podstawową cechą dobrego portretu. Długo zastanawiałem się nad tym, czego im naprawdę brakuje. Wreszcie odkryłem — brak im tajemnicy uśmiechu Urszuli. Bez niej stają się dziwnie płaskie, zmierzając wręcz ku granicy kiczu. To stwierdzenie wcale nie chce być oskarżeniem malarzy o nieudolność. Wręcz przeciwnie, pragnie podkreślić fakt, że zostali oni postawieni wobec wyzwania, z którym naprawdę mało kto może się zmierzyć.

Wyrazić tajemnicę Urszuli to wyrazić tajemnicę jej uśmiechu. Tego uśmiechu, pod którego urokiem byli wszyscy i który widnieje na jej zdjęciach, pochodzących zwłaszcza z ostatnich lat jej życia. Do naszych czasów zachowało się ich dość dużo. Wyłania się z nich stara, drobnej postury kobieta o dużych, szeroko rozstawionych oczach i łagodnym, mądrym uśmiechu. To właśnie z nim daremnie, jak dotąd, mozolą się portreciści Błogosławionej. Spod ich pędzla wychodzi jakoś nienaturalnie, sztucznie, jakby był przyklejony do twarzy. Przypomina ludzi, którzy zawsze mają uśmiech na zawołanie i którzy sądzą, że wystarczy wywołać odpo-



wiedni grymas na twarzy, by wyrazić pogodę ducha i dobroć. Biedacy, nie wiedzą, że ich twarz staje się wtedy zwykłą maską. Istnieje bowiem przedziwny związek między uśmiechem a wewnętrzną prawdą człowieka. Wszelka nie-prawda zostaje tutaj bezlitośnie obnażona. Dlatego też uchwycić uśmiech Błogosławionej to wyrazić tajemnicę jej świętości. To, ostatecznie, zanurzyć się w istotę urszulańskiego powołania.

„Może największym aktem miłości bliźniego — czytamy w *Testamencie* — jest stała słoneczność duszy, rozsyłająca wszędzie promienie swe jasne i ciepłe. Przechodzi taka dusza słoneczna cicho, jak ten promyk słoneczny, może nawet ubolewa nad tym, że nic dobrego nie robi, ale ona nie wie, ile wywołała jej słoneczność na ustach innych uśmiechów jasnych, w ile serc wlewała balsam pociechy, ile rozpędzała chmur nieufności, nawet rozpacz, ile szczęścia rozsiewała bezwiednie naokoło siebie. Nie wie o tym, ale Bóg wie i policzy jej to szczęście, co daje innym, jako zasługę”.

Testament był pisany w latach 1921–1924. Pniewy — jako Dom i jako Zgromadzenie — dopiero się rodziły, ale Urszula miała już wówczas sporo lat życia za sobą — zbliżała się do sześćdziesiątki. Wystarczająco wiele, by znać już niełatwą prawdę o życiu. By znać już prawdę o życiu niełatwym. I w tym sensie poczuć się starą kobietą. Urszula uważała ten swój wiek za Boży dar. „Ściskam Cię serdecznie — pisała 29 stycznia 1914 roku do Marii Teresy — i kocham bardzo, moja droga, moja stara — jesteśmy już obydwie stare — mnie osobiście świadomość ta sprawia wielką radość”. Osiem lat później, 14 kwietnia, wysyłając siostrze

życzenia urodzinowe, powróciła do tego wątku: „Starzejemy się Siostrzyczko — ja mam 57, a Ty 59 lat — Bóg dozwolił nam doczekać pięknego wieku. Oby lata, których zechce jeszcze udzielić, były dla większej Jego chwały i naszego uświęcenia”. Właśnie *ad maiorem gloriam Dei* i dla uświęcenia swych duchowych córek pisała im wtedy *Testament starej, bardzo kochającej Matki*. Zawarła w nim całe swe doświadczenie i całą swą życiową i zakonną mądrość. Widać uśmiech zajmował w nich miejsce poczesne, skoro dwunasta prośba *Testamentu* nosi tytuł *Pogoda ducha*.

Jest to zapewne inny uśmiech niż ten, jaki widniał na jej dziecięcej jeszcze twarzy. Dla najbliższych, zwłaszcza dla ojca, była „Joujou” — „Zabawką” i promykiem słonecznym. Wesoła, radosna, wszędzie jej było pełno. W Loosdorf wszystko musiała zobaczyć, wszystkiego dotknąć. Jej ciekawości nie mogły się oprzeć nawet okoliczne drzewa, na które wskrabywała się z chłopięcą zręcznością. Nie była to jednak beztroska dziecka obojętnego na dziejącą się obok krzywdę czy niedolę. W Lipnicy Murowanej wraz z matką udawała się do chłopskich chat, niosąc pomoc chorym i kawałek chleba ubogim. Sama z przejęciem organizowała „szkołę” dla dzieci: zapraszała je do siebie i uczyła niełatwej sztuki czytania i pisania. Można dziś zapytać, ile w tym jej dziecięcym postępowaniu było spontaniczności i wrodzonej dobroci, a ile świadomego wysiłku, by innym sobą sprawiać radość. Zwłaszcza ojcu, który co jakiś czas wpadał w przykry dla siebie i innych melancholijny nastrój. W każdym razie kryjący się za jej uśmiechem charakter nie był wcale mazgajowaty i rozmyty. Przeciwnie, Julia ukazywała się światu jako

osoba samodzielnie myśląca, o własnym, wyrobionym zdaniu, nawet w skomplikowanych sprawach duszy. Musi zadziwiać dojrzałością sądu jej ówczesna korespondencja z Marią Teresą, w której usiłowała pomóc starszej od siebie siostrze w dręczących ją skrupułach.

Zdecydowane, wytrwałe dążenie do celu nie przesłaniało jednak delikatności wobec tych, którym zakonne pragnienia Julci mogły zadawać ból. Ślady tych przeżyć zachowały się w listach do Marii Teresy. 26 kwietnia 1886 roku pisała do siostry: „Wróciłam w sobotę z Krakowa. O. Eberhardt polecił mi pozostać jeszcze rok spokojnie w domu, a potem dopiero zobaczyć, co mam robić. Myślałam, że tak będzie dobrze, lecz Mama *est plus agitée que jamais*, chce żebym albo zaraz poszła, albo została póki mnie potrzebuje — ale rozumiesz, że to znaczy na zawsze. (...) Robię sobie okropne wyrzuty, widząc Mamę w takim stanie. Boże, gdyby zachorowała! Ja przecież szukam tylko woli Bożej. Przyjechałam taka spokojna, ciesząc się na Mamę, a zastałam ją zagniewaną na mnie. Mówi, że jej nie kocham, że ją zabije — ach, nie wiesz, co ja tu przechodzę”. Ale już następnego dnia donosiła siostrze: „Wczoraj rozmawiałam z Mamą. Ona już się na mnie nie gniewa, owszem, jest taka dobra i łagodna, że więcej nie można. Innej drogi dla mnie nie ma, jak wstąpić do klasztoru i to czym prędzej, by Mamy tym nie męczyć. (...) Przyznaję, że mi się serce ściska na myśl, że za dwa tygodnie już muszę rozstać się z Mamą, z siostrzyczkami, z Włodziem, z Lipnicą, z wszystkim tym, co się światem nazywa — lecz nie chcę tego dać poznać po sobie, a zresztą jest to moja własna wola i dobrze mi tak będzie”.

Gdy to pisała, była zaledwie dwudziestojednoletnią dziewczyną. Wydaje się, że całe jej dalsze życie będzie już tylko wariacjami na temat tego jednego motywu, który będzie powracał nieustannie i który ostatecznie zadecyduje o pięknie całego utworu — jak w fudze Bacha. Ten motyw składał się z następujących elementów, które wyznaczały jej postawę wobec Boga, siebie i innych: to bardzo mnie boli — nikt nie ma prawa zdawać sobie sprawy z mego bólu — we wszystkim pragnę urzeczywistniać wolę Bożą — dlatego jest mi dobrze tak, jak jest.

W napięciu tych czterech elementów kształtowała się tajemnica jej uśmiechu. Kształtowała się w starannie ukrywanym bólu, znanym tylko samemu Bogu. W pragnieniu nachylenia się nad drugim człowiekiem, który także przeżywa swoje słabości i który oczekuje od niej serdecznego ciepła. W wysiłku dostrzegania w tym wszystkim woli Najwyższego. Po latach — w liście do sióstr z 9 czerwca 1920 roku — wyrazi to krótko i zdecydowanie: „Jego chwała i na tym dosyć”.

Czy to było łatwe? Wyobrażam sobie teraz Starą Matkę, która pochylona nad zapisywanymi kartkami *Testamentu* cicho westchnęła. To nie było łatwe. To było trudne. W jej pokoju w Pniewach, nocną już porą, przy zapalonej lampie, przesuwały się w pamięci obrazy jej zmagañ. Jak przezroczka: Petersburg, prześladowanie, Merentähti, wygnanie, Sztokholm, Aalborg, Pniewy, Rzym... Ciągle trzeba było tak samo i ciągle od nowa. Nieraz ten wysiłek dochodził do granic wytrzymałości. „Z pewnością, wygnanie to nic przy-

jemnego. Ciężko mi spędzać całe godziny z małymi 9—10-letnimi dziećmi na opowiadaniu bajki o Czerwonym Kapturku. Sądzisz, że nie odczuwam goryczy obecnego położenia? Czuję i dobrze to czuję. Może byłoby mi lepiej, gdybym pojechała do Ciebie, lżej, mniej boleśnie, kochana, ale przecież nie mam prawa porzucić sióstr, moich dzieci, wszystkich, którzy tam pozostali, którzy mnie oczekują i wzywają. (...) Pozostanę tutaj tak długo, dopóki będę mogła choć trochę usłużyć moim siostram”.

W liście do siostry jawi się jako „dobry pasterz, [który] nie porzuca tak łatwo swych owieczek”. Ale w *Historii Kongregacji* ukazuje się jako człowiek trawiony tęsknotą jak śmiertelną niemal chorobą. Brak sióstr, zwłaszcza Aliny Zaborskiej, dosłownie ją wyniszczał. „W grudniu już mi sił nie starczyło. Czułam się tak wycieńczona tęsknotą, niepokojem, cierpieniem, że stchórzyłam i zatelegrafowałam do siostry Zaborskiej, aby przyjechała. (...) Niedługo czekałam i siostra Zaborska była znów przy mnie. (...) Przyjechała około 15 grudnia 1914 roku. Byłam naprawdę fizycznie osłabiona. Odchuchała mnie. Uspokajałam się przy niej, wracałam do sił”. Do tego dodała krótki komentarz, jakby próbę usprawiedliwienia, a jednocześnie oskarżenia siebie. A może po prostu stwierdzenia: to niełatwo — ciągle tak samo i ciągle od nowa. Naprawdę niełatwo. „Dziś, gdy patrzę na ten czas, ciężkiej, co prawda, próby, wyrzucam sobie brak odwagi i brak ufności — poddawałam się z nadto smutkowi. Co prawda zawsze mówiłam swoje «fiat» i Bogu ból i łzy ofiarowywałam, ale nie dość energicznie reagowałam. Byłam jak ten pług nieczynny, który rdzą się

pokrywa. A rdza osłabia i niszczy. (...) To była nagany godna słabość, ale naprawdę strasznie cierpiałam”.

I jeszcze jeden obraz-przezrocze, zachowany dla nas w postaci dwóch zdań otwierających i zamykających list pisany do sióstr 17 maja 1920 roku. Tym razem z Rzymu, gdzie ważyły się losy Zgromadzenia. Jego być albo nie być. Oto pierwsze zdanie: „Dzieci moje, mimo odczytu znalazł się czas na liścik, bo siedzę w kancelarii św. Kongregacji i czekam”. A oto ostatnie: „Kończę — wyrzucili mnie, jutro znowu muszę przyjść czekać, ale niech i to Pana Boga chwali”. Między nimi „zwyczajna” treść dotycząca życia w Pniewach i zachęcająca do miłości Serca Jezusowego. Jak długo musiała tak czekać? Ile razy musiała tak czekać?

Czas i czekanie, które są tajemnicą każdej matki. Czas i czekanie, które zadecydowały o tajemnicy uśmiechu Starej Matki z Pniew. Czuli się rzeczywistą Matką Zgromadzenia. Zdawała sobie sprawę, że dzięki temu ma wyjątkowo wielkie prawo swe siostry nazywać „najdroższymi Dziećmi”. A przede wszystkim wiedziała, że to, co pisała w dwunastej prośbie *Testamentu*, zawiera jej tajemnicę. Tajemnicę jej uśmiechu. Że jednocześnie zawiera tajemnicę prawdziwego macierzyństwa: zapomnienie o sobie i troska o dziecko. Bo dziecko zawsze chce widzieć swą matkę uśmiechniętą i dziecko nie ma prawa wiedzieć o tym, ile ją ten uśmiech naprawdę kosztuje. Dziecko ma jedynie prawo do szczęścia. O sobie należy nie pamiętać.

Stara Matka pochyliła się nad kartką i pisała dalej dwunastą prośbę: „Bo też niemało hartu potrzeba duszy, by nie dać się wyprowadzić z tej jasnej pogody. Nie tak łatwo

być «słoneczną», gdy niepokój szarpie, gdy ludzie męczą i dręczą, gdy nawał pracy chwilki spokoju nam nie zostawia, gdy choroba podkopyje siły ciała i ból fizyczny i moralny nas szarpie, gdy dusza upada pod ciężarem krzyża. Niełatwe to! I tylko dusza poddana woli Bożej, dusza szukająca szczęścia w woli Bożej, w jasnych regionach Bożych, potrafi mimo wszystko zachować w sobie tę świętą pogodę, to jasne, słoneczne Boże szczęście”.

Wyobrażam sobie, że następnego dnia rano miało miejsce zdarzenie — choć w rzeczywistości miało ono miejsce wiele lat później, w roku 1937 (myślę jednak, że mamy niekiedy prawo do takich wyobrażeń) — które opisała siostra Urszula Górską: „Gdy opuszczałyśmy kaplicę, udając się do refektarza, Matka poprosiła nas na chwilę do swego pokoju i zapytała: «Dzieci, czy miałyście dzisiaj jakieś zmartwienie — a może otrzymałyście jakąś złą wiadomość?» Kiedy zaprzeczyłyśmy, odpowiedziała: «No, to nie chodźcie z tak smutnymi minami, ani nawet w kaplicy, bo myślę, że sam Pan Jezus się wystraszy»”.

Stara Matka chciała, aby jej Dzieci były zawsze radosne. Stara Matka pragnęła, aby jej Dzieci były dla drugich prawdziwymi matkami. Ale dotąd tylko ją nazywa się tak archaicznie, ciepło i zdrobniale: Matuchna...

Myśląc Ojczyzna...

„Droga Matko, wracasz na ziemię ojczystą” — 11 maja 1989 roku, w czwartek wieczorem, w Ogrodach Watykańskich Jan Paweł II żegnał relikwie Błogosławionej. Nazajutrz miały wyruszyć w drogę powrotną do kraju. Dokładnie w półwiecze po jej śmierci miały znaleźć się w Macierzystym Domu. W Pniewach. Jednak Następca Piotrowy chciał je wpraw — ku olbrzymiemu zaskoczeniu, ale i radości jej duchowych córek — pożegnać w Mieście, w którym tak wiele modliła się, cierpiała, dla którego pracowała i w którym odeszła na spotkanie Oblubieńca. — „Długa była Twoja droga, która Cię z ziemi ojczystej wyprowadziła. Wyprowadziła na szlaki Ewangelii. (...) Wracasz teraz, wracasz do naszej Ojczyzny...”

Głos Papieża był wyraźnie wzruszony. Widać było, że przyszła pora żegnać kogoś bliskiego. Trudno powiedzieć, jak bardzo. To tajemnica jego serca. Kilka motywów łączących go z Urszulą zaledwie wspomniał: miłość dusz, poddanie się drogom Opatrzności, wielkie wędrowanie po świecie, bliskość tajemnicy Odkupienia poprzez kult Konającego Serca Jezusa, patronowanie bliskiej już czasowo pielgrzymce papieskiej do Skandynawii (odbyła się ona w dniach od 1 do 10 czerwca 1989 roku), praca dla Rzymu, swój ostatni pobyt na polskiej ziemi przed udaniem się na konklawe w roku 1978 w domu urszulańskim w Warszawie. W tle tych wszystkich motywów można odnaleźć jeszcze jeden,



wprost nie nazwany, ale przecież przewijający się w tym papieskim rozważaniu w Ogrodach Watykańskich. Ojczyzna. Matka Urszula wraca do Ojczyzny.

Przed piętnastu laty, jeszcze jako kardynał krakowski, napisał poemat, w którym dał chyba najbardziej przenikliwą i głęboką w całej swej poezji wykładnię tego, co czuł, gdy wymawiał to święte słowo. Ojczyzna. *Myśląc Ojczyzna...* Niemożliwe, żeby teraz, klęcząc w Watykańskich Grotach przed trumną Błogosławionej, w jego sercu nie wracało echo wierszy tego poematu. Wierszy, które wyrażały jego więź także z tą polską kobietą, z tą zakonnicą, z tą córką tego samego co on narodu.

Ojczyzna — kiedy myślę — wówczas wyrażam siebie i za-
korzeniam,

mówi mi o tym serce, jakby ukryta granica, która ze mnie
przebiega ku innym,

aby wszystkich ogarniać w przeszłość dawniejszą niż każdy
z nas:

z niej się wylaniam... gdy myślę Ojczyzna — by zamknąć ją
w sobie jak skarb.

Pytam wciąż, jak go pomnożyć, jak poszerzyć tę przestrzeń,
którą wypełnia.

„Obecny papież — kontynuował w Grotach Watykańskich swe rozważania Jan Paweł II — którego nigdy nie znałaś osobiście i Ciebie on też nigdy osobiście nie poznał, po prostu jest za młody, ten papież, który mówi tym samym językiem, jakim Ty mówiłaś, ten papież liczy na Twoje wsparcie...” Jan Paweł II snuł refleksje o różnicy pokoleń,

o rozziwie czasu, który rozdziela ludzi tej samej ziemi. (Choć w przypadku Karola Wojtyły jego osobiste spotkanie z Urszulą było przecież możliwe — gdy odchodziła, Karol miał już 19 lat. Nie spotkali się jednak.) Ale różnica pokoleń i rozziw czasu nie uniemożliwiają przecież tego szczególnego rodzaju spotkania, które odbywa się na tej samej ziemi, które staje się bogactwem tej ziemi i które przekracza granice czasu. Ziemi, która jest Ojczyzną. Treścią Ojczyzny jest bowiem odnajdywanie swej osobistej tożsamości poprzez zakorzenienie w przeszłości. „Ojczyzna — gdy myślę — wówczas wyrażam siebie i zakorzeniam”. Klęczący w Grotach Watykańskich papież wyrażał się więc i zakorzeniał, ogarniając wszystkich „w przeszłość dawniejszą niż każdy z nas”. Ogarniając ród Halka-Ledóchowskich.

Ziemia stała się łożyskiem świateł zapalanych głęboko w ludziach, płynęły wciąż jednakowo te same rzeki i wciąż na nowo opływał ziemię strumień mowy wspierający historię.

Ojczysta „ziemia stała się łożyskiem świateł zapalanych w ludziach”. Papież rozważał te światła, którymi na polskiej ziemi stali się Ledóchowscy, mający w herbie trzy krzyże i z dumą powtarzający rodzinne zawołanie: *Avorum respice mores* — „Bacz na obyczaje przodków”. Wspominał więc rycerza Halkę, który w 1457 roku otrzymał na Wołyniu wioskę Ledóchów. Wspominał dwóch braci Ledóchowskich, którzy polegli na stokach Kahlenbergu, gdy wraz z Sobieskim pospieszyli na odsiecz Wiednia, ratując zagrożony przez islam świat chrześcijański. Wspominał Antoniego Ledóchowskiego, posła na Sejm Czteroletni, i jego syna, Igna-

cego Hilarego, uczestnika wojen napoleońskich i bohaterskiego obrońcę twierdzy Modlin przed rosyjską armią feldmarszałka Dybicza podczas powstania listopadowego. Wspominał dzieci Antoniego, syna Hilarego — tu genealogia Ledóchowskich dziwnie zagęszczała się światłami wyrosłymi z łożyska polskiej ziemi — a jednocześnie rodzeństwo Błogosławionej: Marię Teresę, błogosławioną od 1975 roku, Włodzimierza, generała jezuitów, zmarłego w opinii świętości, Ignacego, generała wojsk polskich, zmarłego w takiej samej opinii w roku 1945 w obozie koncentracyjnym Dora-Nordhausen. A przede wszystkim wspominał i zakorzeniał się w polską tradycję rozważając dokonania Urszuli.

Gdy dokoła mówią językami, dźwięczy pośród nich jeden: nasz własny. Zagłębia się w myśli pokoleń i ziemię naszą opływa i staje się dachem domu, w którym jesteśmy razem.

Urodziła się i wychowała w Austrii. W domu mówiono przeważnie po niemiecku, choć ojciec, Antoni Ledóchowski, bardzo dbał o to, by dzieci nie tylko znały język polski, ale i miały poczucie przynależności do polskiego narodu i polskiej tradycji. Jego żona, Józefina Salis-Zizers, Szwajcarka z pochodzenia, nie patrzyła na to niechętnym okiem. Przeciwnie, u swych dzieci jeszcze tę miłość dla nie znanego sobie kraju pogłębiała. Mimo że jej córki, uczęszczając na prywatną pensję Pań Angielskich, poznawały jeszcze inne języki obce, a przez to i inne kraje, i inne kultury — stąd łatwo można by sobie wyobrazić, że w domu panowała atmosfera kosmopolityzmu — właśnie Józefina ostatecznie zachęciła męża do powrotu do Polski. Do kupna dworku

i osiedlenia się w Galicji, w Lipnicy Murowanej. Uważała, że cierpiący na nostalgię mąż ma prawo wrócić ostatecznie do Ojczyzny. Że dzieci, które tyle słyszały od niego o bohaterskich dziejach narodu polskiego, mają prawo wrócić do ziemi, w której polska mowa przyjmie ich pod swój dach. Przyjęła ich tak dalece, że Urszula była gotowa dla dobra Polski — a wbrew własnym pragnieniom — na najbardziej nawet szaleńczy krok. „Jestem szczęśliwa — pisała dnia 3 czerwca 1886 roku do swej przyjaciółki Ilse von Düring — że żadna rewolucja jak ta z roku 63 nie wybuchła przed moim wstąpieniem do klasztoru; nie zaręczam, czy bym nie uciekła, by pomóc. Nie pojmuję, jak można przewycięzać takie uczucia. Często sobie mówię: przecież wszyscy mamy jedną prawdziwą ojczyznę i każdą narodowość Bóg jednako kocha, jakże więc można, pielgrzymując przez tę ziemię, taką wartość temu przypisywać, w jakim pułku służy się Bogu, gdy się Mu tylko wiernie służy — ale to się nie na wiele zda, nie stanę się przez to chłodniejszą”.

Tak zwarci wśród siebie jedną mową, istniejemy w głąb własnych korzeni, czekając na owoc dojrzewania i przesilenia.

Pierwsza połowa dwudziestego wieku była wyjątkowo bogatym czasem tych dojrzewania i przesilenia: rewolucja 1905 roku, wybuch Wielkiej Wojny w roku 1914, powstanie Niepodległej w roku 1918, przybliżająca się tragedia II wojny światowej w roku 1939. Dla Urszuli Ledóchowskiej zdarzenia te były wyzwaniem do coraz bardziej wnikliwego odkrywania własnych polskich korzeni. I nie tylko do tego: do coraz większego zatroskania o to, by i inni, dzieci tej

samej polskiej ziemi, poprzez szacunek dla swej mowy pozostali do końca wierni swej Ojczyźnie. Było to umiłowanie wzruszające, pełne poświęceń, a jednocześnie jakże dalekie od jakiegokolwiek nutki szowinizmu. Często nawet niezrozumiałe dla środowisk polonijnych. Jednym ze źródeł bolesnych konfliktów i napięć, jakie Urszula przeżywała w Petersburgu, był jej projekt kazań i konferencji duchowych w języku rosyjskim dla Rosjan katolików, urządzanych na terenie polskiego kościoła św. Katarzyny. Najbardziej — i, niestety, skutecznie — zaoponował przeciwko temu arcybiskup Wnukowski. „Za nic nie chciał pozwolić — wspominała w *Historii Kongregacji* — by Rosjanie w samej stolicy mieli rosyjskie kazania. Mówił, że te wszystkie wymagania pochodzą z pychy, mają Pana Jezusa w Najświętszym Sakramencie, to powinno im wystarczyć, zresztą mogą czytać francuskie książki, bo nie ma jeszcze katolickiego tłumaczenia Ewangelii na język rosyjski, za nic nie pozwoli na tę kaplicę dla Rosjan. (...) Rosyjski rząd pozwolił na kaplicę, katolicki biskup zabronił. Był to cios dla nas, pragnących tej kaplicy misyjnej dla Rosjan, czekających na nią”.

Nie był to, niestety, jej ostatni konflikt z biskupami. W roku 1909 w Petersburgu walczyła o prawa dla katolików rosyjskich na terenie polskiego kościoła św. Katarzyny. Natomiast dziesięć lat później w Danii będzie walczyć o prawo do polskości i powrót do kraju dla opuszczonych dzieci i sierot polskich robotników. Najbardziej był temu przeciwny miejscowy biskup katolicki, który wyobrażał sobie, że dzieci te ulegną zduńszczeniu i jako takie staną się w przy-

szłości ostoją miejscowego katolicyzmu. Jego negatywna opinia o Urszuli na pewno niekorzystnie zaciążyła na jej późniejszych trudnych rozmowach w Rzymie w sprawie założenia nowej gałęzi urszulańskiej.

Tak zwarci wśród siebie jedną mową, istniejemy w głęb własnych korzeni...

Ta polska mowa odkrywa bowiem, że jesteśmy katolikami. I tego katolicyzmu zakorzenionego w polskiej mowie trzeba strzec. To dla tej sprawy wyjechała w roku 1907 do Petersburga, by pracować w internacie dla dziewcząt przy polskiej parafii św. Katarzyny. To dla tej samej sprawy przemierzać będzie kraje skandynawskie, zbierając pieniądze na sierociniec w Aalborgu. „Dziwne — pisała do Włodzimierza 17 sierpnia 1919 roku — jak Duńczycy chciwi są na nasze polskie dzieci. Pewien jezuita zapytał mnie, czy mam miejsce na jedno dziecko. Odpisałam, że nie, ale jak będzie miejsce, dam znać. Tymczasem dziecko zaadoptowała już pewna rodzina duńska. Ojciec jezuita prędko unieważnił adopcję, napisał do ministerstwa, że ja przyjmuję i już. Inaczej dziecko by zostało protestantem. Oczywiście, wezmę je. Będzie spało w koszu od bielizny, ale będzie uratowane dla Boga i Ojczyzny. Co robić: wczoraj też otrzymałam list ekspres od redemptorystów, czy mogą zaraz przywieźć dwuletnią sierotkę, bo inaczej zostanie zaadoptowana przez protestantów. Rozumie się, że przyjąłam. Aż mi się w głowie mąci, skąd wezmę na to, by wszystkie ubrać i nakarmić. Ot i bieda! Ale jak z mą malczarnią klęczę w kaplicy, to zawsze myślę, że przecież Pan Jezus dla tych niewiniątek

nas nie opuści i da to, czego dla nich potrzeba”. Miesiąc później — 23 września — donosiła bratu: „Moich polskich dzieci tu opuścić nie mogę. Tu misja nie mniej ważna od afrykańskich. Nie mogę spokojnie patrzeć na to, że panie z Misji Protestanckiej adoptują nasze polskie dzieci... Robię szaleństwa, ale żal mi dzieci, a Bóg widocznie błogosławi. W ostatnim czasie przyjąłem piątkę nowych dzieci. Łóżka, kołdry dużo kosztują, ale raz po raz dobrzy ludzie przysyłają po 200 koron, tyle właśnie, by pokryć te wielkie wydatki”.

Związek polskości i katolicyzmu był dla niej rzeczą oczywistą. „Polska — śmiem powiedzieć z dumą i radością — jest jedną z najwierniejszych cór Kościoła katolickiego — wyznawała podczas odczytu w Wyższej Szkole Katolickiej w Kopenhadze w roku 1915. — W naszym kraju miłość Ojczyzny i miłość Kościoła łączą się nawzajem — jedno jest siłą drugiego. Kochamy Ojczyznę, bo takie jest przykazanie Kościoła, kochamy Kościół, bo jest podwaliną i rękojmią życia narodowego. Zapewne niewiara utorowała sobie drogę do Polski. W Ojczyźnie mojej znajdują się — jak wszędzie — choć mniej liczni niż gdzie indziej: źli, obojętni katolicy, ateści, ale nawet oni przyznają, że wiara katolicka jest najmocniejszym fundamentem Polski, że potrzebujemy wiary, aby być i stawać się Polakami”.

Ojczyzna: wyzwanie tej ziemi rzucone przodkom i nam, by stanowić o wspólnym dobru i mową własną jak sztandar wyśpiewać dzieje.

W roku 1915 zwrócił się do niej Michał Łempicki, by zechciała współpracować na terenie Skandynawii na rzecz powstałego z inicjatywy Henryka Sienkiewicza i Ignacego Paderewskiego Szwajcarskiego Komitetu Generalnego Pomocy Ofiarom Wojny w Polsce. Chodziło o to, by przypomnieć światu o narodzie, który nigdy nie wyrzekł się niepodległości, mimo że od prawie półtora wieku jest wymazywany z map Europy. Po krótkim wahaniu wyraziła zgodę. Zaczęła przemierzać skandynawskie kraje, pisząc, wydając odezwy, wygłaszając odczyty, urządzać konferencje. Dziś trudno je dokładnie zliczyć. Było ich w sumie około osiemdziesięciu, w sześciu językach: francuskim, niemieckim, angielskim, szwedzkim, duńskim i norweskim. Tych ostatnich nauczyła się tylko dlatego, by móc zwracać się do swych słuchaczy bezpośrednio w ich własnym języku. To wzbudzało dla niej szacunek i uznanie. Poruszało europejskie sumienia. Ona zaś pozostawała we wspomnieniach słuchaczy jako płomienna kobieta, zakochana w swym kraju, której czarowi nie można się było oprzeć. Przedstawiciele misji dyplomatycznych reprezentujący ciągle jeszcze zaborcze wobec Polski państwa stwierdzali to z wyraźną irytacją. „Tak, ty jesteś nieśmiertelny, kraju moich przodków — mówiła z pewnym patosem podczas odczytu w Kopenhadze w roku 1916 — Ojczyzno ukochana, Polsko moja! Nieśmiertelna przez twą odwieczną sławę, nieśmiertelna przez twoją sztukę i literaturę, która nie może być wymazana z pamięci narodów; nieśmiertelna przez miłość Ojczyzny, która żyje w sercach twych dzieci i która nie ma równej, śmiem to powiedzieć z czołem wzniesionym, ze szlachetną dumą! (...)”

Jesteś nieśmiertelna, o moja Polsko, gdyż żyjesz w sercach twych dzieci. My cierpimy, umieramy, ale przez śmierć idzie się ku zmartwychwstaniu. My umrzemy, ale ty zmartwychwstaniesz! Mimo naszych dzisiejszych cierpień, mimo agonii — patrz, twoje dzieci z miłością cię otaczają i śpiewają z nadzieją w sercu: «Jeszcze Polska nie zginęła!»”

Po latach, już w niepodległej Polsce, często będzie wracała myślami do swych skandynawskich odczytów i konferencji. Było jej przykro, że odzyskana niepodległość nie przez wszystkich jest należycie doceniana. Że zbyt wiele jest egoizmu. Że zwłaszcza polska inteligencja zapatrzyła się tak dalece w siebie, że zapomniała o prostym ludzie, który rzeczywiście żywi ten kraj i broni go. I który oczekuje od niej duchowej pomocy i opieki. „Ta miłość gaśnie — żarliwie przemawiała w roku 1926 w Kaliszu. — Musimy sobie jasno z tego zdać sprawę. Nie ma już tego szlachetnego bólu nad nieszczęśliwą, w kajdany okutą, rozdartą Ojczyzną, który łączył serca jednym wielkim, szlachetnym pragnieniem odzyskania wolności. Nie ma już tego wielkiego celu: żyć dla oswobodzenia Ojczyzny, któremu wszyscy w zwartych szeregach służyli. (...) W gorączkowych walkach wewnętrznych zapominamy o tym, że nasz lud na kresach traci wiarę, traci miłość Ojczyzny i pierwszy padnie ofiarą propagandy niespokojnego sąsiada!”

Do inteligencji miała o to wszystko żal, ale rąk nie załamывała. Narzekaniem i biadoleniem niczego się nie zbuduje — o tym wiedziała nie od dzisiaj. Zbyt długo już żyła na tym świecie: przekroczyła przecież siedemdziesiątkę. Była świadoma swych lat i tego, że sam już jej wiek może

odstręczać młodych słuchaczy — była dla nich po prostu poczciwą babcią. „A teraz zapytacie może — przemawiała do młodzieży akademickiej w Warszawie w roku 1936 — po co ta stara o Polesiu mówi, czego chce od nas? Proszę nie myśleć, że rzucam wędkę, by złapać powołania zakonne. (...) O czym innym myślę. Wszak młodzież męska musi choć rok czy dwa służyć Ojczyźnie, w wojsku — czemu by młodzież żeńska, szczególnie dziś, kiedy tyle jest bez pracy, nie poświęciła rok, dwa swojego życia służbie Kościoła, służbie Ojczyźnie, nie pracowała dla tego ludu, który jest naszym, który ma prawo, byśmy mu rękę podali, byśmy wskazali mu wyższe horyzonty, byśmy go uczyli kochać Boga, kochać Ojczyznę, tę Polskę kochaną, dla której przodkowie wylewali swą krew”.

Wzywała ochotniczki do pracy, a sama na Polesie wysyłała swe siostry. I to te najbardziej wykształcone — by w wioskach zagubionych wśród bagien i moczarów, odległych o wiele kilometrów od stacji kolejowej i lekarza, zakładać szkoły i przedszkola, opiekować się chorymi, uczyć racjonalnej pracy, wprowadzać cywilizację do domów. Była głęboko przekonana, że tylko taka cicha praca zneutralizuje bolszewicką propagandę.

Zapatrzona w Kresy Wschodnie nie mogła jednocześnie nie dostrzegać tego, co dzieje się nad zachodnią granicą Polski. 20 marca 1939 roku pisała do Włodzimierza: „Co będzie z Polską? Wszak Hitler tak samo zabierze Poznań, jak zabrał Pragę, to jasne! W rękę Boga jesteśmy”.

Temu poddaniu się woli Bożej towarzyszyło przekonanie o możliwości wybuchu nowej wojny. Zapewne jej się oba-

wiała — jak każdy — ale jednocześnie przygotowywała do niej swe Zgromadzenie. Przecież ta wojna nie mogła zdmuchnąć płomienia zarówno Niepodległej Polski, jak i jej Dzieła. Co do tego była w pełni przekonana. Stąd już w lutym 1938 roku pisała z Pniew do sióstr przełożonych: „Na ostatku, Dzieci moje, parę słów o możliwości wojny. Dużo o tym mówią, przygotowują się do tego — ale — to jeszcze nie znaczy, że wojna będzie. Jednakże na wszelki wypadek — musicie zrozumieć, że każda, o ile zostanie z domem swoim odcięta od Domu Macierzystego, powinna odważnie, rozsądnie dom swój prowadzić już licząc na swój rozum, a o rozum niech prosi Pana Boga. Niech nie urządza dziecinnych płaczów, rozpaczy. Możemy być rozłączone i potem znów się połączyć. Pamiętajmy, że mamy Dom Generalny w Rzymie i do niego należymy. Po wielkiej wojnie zakony mające Dom Generalny w Rzymie zostały złączone. Te, które miały Domy Generalne w poszczególnych krajach, zostały rozdzielone raz na zawsze. Dlatego to szczęście, że mamy Dom Generalny w Rzymie!”

Jednocześnie do końca modliła się o odwrócenie nadchodzącej tragedii. Przecież wszystko — jak wierzyła — znajduje się w rękach Wszechmocnego. „Matka — wspominała s. Brygida Rodziewicz — ciężko już chora w dniu 18 maja 1939 roku pojechała odwiedzić nasze siostry pracujące w domu na Villino koło Rzymu. Tam rozmawiała z każdą z sióstr. Wieczorem wróciła i czuła się bardzo źle. Położyła się i rekreacja odbyła się w jej pokoiku z kilku przełożonymi. Pamiętam, że na tej rekreacji Matka oświadczyła gotowość złożenia życia w ofierze, aby nie było wojny, i o na-

wrócenie Hitlera. Pamiętam też, że przepraszała nas obecne za swoje niedopatrzienia. W nocy Matka ciężko zachorowała”.

Ucząc się nowej nadziei, idziemy poprzez ten czas ku ziemi nowej. I wznosimy ciebie, ziemio dawna, jak owoc miłości pokoleń, która przerosła nienawiść.

Uczyła nowej nadziei. Jan Paweł II wiedział to aż nadto dobrze. W imię tej nadziei sam pielgrzymował do Polski. W imię tej nadziei wzywał naród do wytrwania i zawierzenia Bogu i Matce Najświętszej podczas długiej nocy stanu wojennego. W imię tej nadziei wysyłał teraz relikwie Błogosławionej do kraju. Właśnie teraz — na kilka tygodni przed tak decydującymi dla Polski i Europy wyborami 4 czerwca. Opuściła kraj tuż przed wybuchem wojny i upadkiem II Rzeczypospolitej, wysyłał ją jako zwiastuna narodzin III Rzeczypospolitej. Jako Nauczycielkę nowej nadziei. „Żegnając Cię — kończył swą modlitwę Jan Paweł II — nie rozstajemy się. Nie rozstajemy się, Kościół nigdy nie rozstaje się z tajemnicą świętych obcowania. Nie rozstaje się ze swoimi świętymi i błogosławionymi. Oni stanowią jego przyszłość. Stanowią jego największą nadzieję. Wskazują nieustannie drogę, a równocześnie wciąż wracają do nas, są z nami. Stanowią żywy przykład dla nas. (...) Na Twoje wsparcie liczymy”.

Dziś jest natchnieniem dla tych wszystkich, którzy swą pracą i sercem pragną przyczynić się do dobra Polski. Którzy z radością odkrywają w niej patronkę — tak drogiej

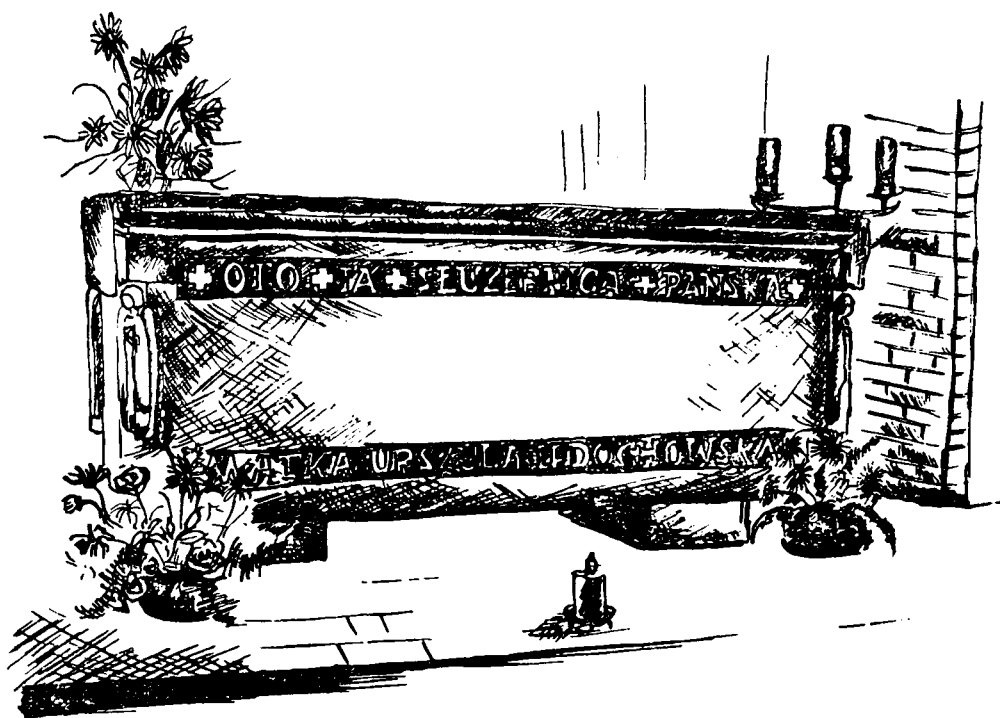
dla każdego Wielkopolanina — pracy organicznej i społecznikowskiej.

Nazywano ją Królową Polesia. Była przyjmowana przez króla Norwegii i przyjmowała prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Rozmawiała z politykami i kołatała do ministerialnych urzędów. Odznaczona Krzyżem Niepodległości, Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi. Honorowa Obywatelka Pniew, a jednocześnie zakonnica w szarym habicie. A przede wszystkim Polka. Matka Polka.

Sarkofag

„Mała wieżyczka nad kapliczką św. Olafa w Pniewach, malutki w niej dzwonek, a jednak głos jego rozchodzi się daleko, daleko... Słyszać go na rynku miasteczka o jakiś kilometr oddalonego, słyszać go po drugiej stronie jeziora (...). Dźwięk jego rozchodzi się po łąkach i polach, a powtarza dzwonek św. Olafa swoim językiem spiżowym słowa złotymi literami wypisane nad drzwiami domu Bożego: «Przyjdźcie do Mnie wszyscy»”. Tak oto inaugurowała Urszula wydawany przez siebie od października 1924 roku kwartalnik *Dzwonek Św. Olafa*. Dziś nie ma już małej kapliczki. Przebudowano ją w obszerny kościół, a wiernych oprócz „Św. Olafa” wzywa na spotkanie z Panem — w niedziele i większe uroczystości — duży dzwon „Urszula”, którego dźwięk przekracza zapewne granice Pniew. Tylko zapraszający napis pozostał nie zmieniony. Kogoś, kto skorzystał z tego Jezusowego zaproszenia i kto tu się znalazł po latach, musi zdumiewać roztaczający się po przekroczeniu progu świątyni widok. Kaplica została rozbudowana w kierunku zachodnim. Natomiast w miejscu, w którym wznosił się niegdyś ołtarz główny, na osi północ-południe, mieści się teraz kaplica Błogosławionej. Jej dominującym elementem jest monumentalny Sarkofag z białego piaskowca. Tutaj spoczęło ciało Urszuli, gdy po półwieczu nieobecności powróciło 28 maja 1989 roku do Pniew. W ten sposób spełniło się życzenie między innymi ich mieszkańców. „Po

otrzymaniu wieści o zgonie Matki z Rzymu — wspominała siostra Stanisława Prądyńska — zjawili się u mnie w Pniewach przedstawiciele mieszczan i ludu wiejskiego z prośbą, ażeby zwłoki Matki przewieziono do Pniew, bo «chcą mieć prochy świętej u siebie». Również J. Em. ks. kardynał Hlond powiedział do mnie, że skoro tylko wojna się skończy, trzeba będzie prochy Matki sprowadzić do Polski, bo to są relikwie”.



Dawny ołtarz został więc zastąpiony nowym — Sarkofagiem. Przy starym ołtarzu Matka spędziła niegdyś wiele godzin na klęczkach. W cichej adoracji. Teraz jej grób sam stał się ołtarzem. Niemal codziennie odprawiana na nim Msza św. jest świadectwem, że Matka jest kolejnym „żywym

kamieniem duchowej świątyni” — Kościoła. Przecież jej ciało, będące prawdziwą „świątynią Ducha Świętego”, nieustannie gorzało ku chwale Najwyższego. „Włodziu — pisała do brata w kwietniu 1889 roku, tuż przed ślubami — Ty możesz zrozumieć, co się w takim biednym sercu dzieje, które widzi przed sobą cel tak wysoki, tak wzniosły, tak jasny — a przecież niezrozumiały. Im więcej wnikam w znaczenie ślubów świętych, tym bardziej widzę, że całkowicie chyba na łożu śmiertelnym pojmem wielkość tego, co ma być moim udziałem. Żebym tylko miłować umiała!”

Urszula zmarła w Rzymie 29 maja 1939 roku. Była więc podeszłą w latach kobietą — liczyła ich już siedemdziesiąt cztery. Nie spełniło się zatem jej pragnienie, o którym pisała dwukrotnie do swej przyjaciółki Ilse von Düring w 1886 roku — roku wstąpienia do zakonu: „Czy często myślisz o śmierci? Jak chciałabyś najchętniej umierać? O czym najczęściej i najchętniej myślisz, jak jesteś sama? (...) Miałabym jedno pragnienie, by umrzeć młodo. Świat wydaje mi się tak błahy, tak przewrotny. Chętnie odwiedzam grób ojca: tam tak cicho i spokojnie, iż prawie wydaje mi się, że należę już do królestwa zmarłych. Jednak woła Boża nade wszystko; jeśli przeznaczone mi jest długie życie, chcę je z Jego ręki przyjąć”. Dane jej więc było przyjąć długie życie. Jak przyjęła życie, tak przyjęła i śmierć — w zupełnym pogodzeniu się z wolą Najwyższego, mimo że ta śmierć wzięła ją niejako z marszu. Nie żeby chwila odejścia ją zaskoczyła. Choroba trawiła jej organizm w widoczny sposób od kilku już miesięcy, a pobyt w poznańskim szpitalu Przemienienia Pańskiego wczesną wiosną 1939 roku

nie pozostawił cienia wątpliwości. Rak. Lekarze nie podjęli się nawet operacji. 20 marca pisała do brata: „Ja raczej gorzej, sama widzę, że mowy nie ma, bym przed Wielkanocą przyjechała do Rzymu. Będzie, co Bóg chce. Czasem bardzo cierpię, za Ojca Świętego, za Zgromadzenie — i o Tobie nie zapominam, złoty Ojczulku, bo Ty idziesz z Ojcem Świętym. Módl się za mnie, niech Bóg zrobi ze mną, co chce, i wierzę, że choćby mnie zabrał, to Zgromadzeniem opiekować się będzie. A teraz pytanie: widzisz, jak przychodzą tak silne bóle, to siostry chcą dać zastrzyk znieczulający (nie morfina) — ja nie chcę, bo boję się środków, które usypiają rozum, i przecież chcę coś znieść dla Boga. Z drugiej strony żal mi sióstr, które ze mną cierpią, gdy bardzo boli, i w nocy nie śpią, gdy ja nie śpię z bólu. Dla miłości Boga nie chcę zastrzyków, dla miłości sióstr — chcę. Co jest ważniejsze? Jak myślisz?”

Pobyt w szpitalu na tyle wzmocnił jej siły, że mogła powrócić do czynnego życia. 25 kwietnia wyjechała z Pniew, 3 maja opuściła Polskę, dwa dni później była już w Rzymie. Zamieszkała w domu przy via Regina di Bulgaria. Była w pełni aktywności: konferencje dla sióstr, rozmowy indywidualne, interesanci, sprawy urzędowe, nawet spotkanie z przełożonymi domów na terenie Francji. Tę aktywność przerwały straszliwe bóle, które pojawiły się w nocy z 18 na 19 maja. Cierpiała sama, nie chcąc nikogo zbudzić. Dopiero nad ranem zwlokła się z łóżka i udała się do siostry Zaborskiej. Wezwano lekarza i powiadomiono o. Włodzimierza. Ten zalecił przewiezienie siostry do kliniki. Co jakiś czas przyciskając do ust swój zakonny krzyż, szeptała: „Jezu,

mój Jezu”. Wreszcie nadeszła chwila, w której padło jej pytanie: „Czy ja umrę?” Od tylu lat myślała o śmierci, pragnęła jej nawet, ale teraz, właśnie teraz musiała stanąć wobec jej zbliżania się. Stanąć świadomie i przyjąć to najwyższe doświadczenie woli Bożej. Najwyższe i ostateczne — bo na wieczność całą. „Jak Bóg zechce” — odpowiedziała wierna Alina. Operacja przyniosła tylko nieco ulgi w cierpieniach. Na życzenie Matki przywieziono ją z powrotem na via Regina. Tu, w swoim zakonnym domu żegnała się z najbliższymi i ze światem. 29 maja, według ówczesnego kalendarza liturgicznego w drugi dzień Świąt Zesłania Ducha Świętego, około drugiej po południu zaczęło się konanie. Włodzimierz trzymał jej ręce w swych dłoniach i kierował do niej ostatnie słowa umocnienia na przejście: „Siostrzyczko moja kochana! Pan Jezus jest z tobą i idziesz do Niego. Czeka tam na ciebie mamusia i Matka Teresa. Słodkie Serce Jezusa, mam ufność w Tobie”. O 17.15 odeszła.

Uroczysta Msza św. pogrzebowa odbyła się 1 czerwca w kościele parafialnym, którym dla mieszkańców via Regina di Bulgaria jest bazylika Santa Maria degli Angeli i dei Martiri. Trudno wyobrazić sobie w Rzymie bardziej godne i wspaniałe miejsce. I to nie tylko dlatego, że jest to kościół, w którym zazwyczaj odbywają się główne oficjalne — lecz nie papieskie — ceremonie religijne. Tu, na przykład, książę Neapolu, a późniejszy król Wiktor Emanuel III poślubił w roku 1896 księżniczkę Helenę di Montenegro. Tu także odbyło się poświęcenie prochów Nieznanego Żołnierza, zanim ich uroczyscie nie przeniesiono na Piazza Venezia i złożono na Altare della Patria. Wielkość i niezwykłość bazyliki

Santa Maria degli Angeli — Najświętszej Maryi Panny Aniołów i Męczenników — wynika z samej jej historii. Na początku IV wieku cesarz Dioklecjan zarządził budowę największych w stolicy cesarstwa term, które zajmowały teren prostokąta o bokach 356 na 316 metrów. Termy te wznosili niewolnicy chrześcijańscy, ofiary najbardziej krwawego i okrutnego ze wszystkich prześladowań w dziejach Imperium Rzymskiego. Wznosili termy i ginęli przy tej katorżniczej pracy, nie wiedząc, że po wiekach Michał Anioł zaadaptuje centralną aulę wznoszonego przez nich kompleksu na kościół ku czci Królowej Aniołów, a zarazem Królowej właśnie ich — Męczenników, świadków wiary aż do końca. Do tego też kościoła zachodziła podczas swych rzymskich pobytów Urszula. To tutaj właśnie odnalazła kiedyś inskrypcję, która musiała na niej wywrzeć wielkie wrażenie, skoro umieściła ją w *Testamencie*:

*Ai piedi di Gesù
sono rose le spine.
E' dolce di soffrire.
E' gioia di morire.*

Można to przetłumaczyć następująco — i to tłumaczenie odbiega nieco od tego, którego dokonała Urszula:

U stóp Jezusa
ciernie są różami.
Słodko jest cierpieć.
Radością jest umrzeć.

Kłęcząc dzisiaj przed Sarkofagiem, należałoby jeszcze dodać: „Pełnią nadziei jest spoczywać”. Błogosławiona spoczywa u stóp Ukrzyżowanego Jezusa.

Przed wielu laty, będąc jeszcze w Krakowie, malowała duży obraz, kopię Velasqueza. Malowała, modliła się i myślała o swojej śmierci. „Pokochałam klasztor krakowski — pisała w *Historii Kongregacji* — przez dwadzieścia jeden lat w nim przebywałam. Dobrze mi tam było. Malując obraz Ukrzyżowanego, który do niedawna wisiał jeszcze w ciemnej kaplicy w klasztorze krakowskim, ciągle sobie powtarzałam, że ten Ukrzyżowany, którego maluję, patrzeć się będzie na mnie, gdy leżeć będę w trumnie ostatniej nocy w tej kaplicy. Bóg inaczej chciał”.

„Bóg inaczej chciał” — gdyż Urszula, pisząc *Historię* na początku lat dwudziestych nie mogła przewidzieć, że siostry z Krakowa sprawią jej wielką radość i na jej złoty jubileusz ślubów zakonnych ofiarują jej właśnie *Ukrzyżowanego*. Wówczas to odkryła na jego odwrocie napis, uczyniony ręką ukochanej przez nią przełożonej krakowskiej, Matki Stanisławy Sułkowskiej: „Obraz ten podług Velasqueza również i obraz Przenajświętszej Rodziny podług Murilla, i św. Cecylii podług Rafaela (w wielkim ołtarzu i w chórze muzycznym) wymalowała z wielką miłością i gorliwością o wzrost chwały Bożej i pobożności w sercach, modlących się przed nim, ukochana nasza Matka Urszula Ledóchowska, której za to niech Pan Bóg da Siebie samego. Amen. Kraków, 30 XII 1899”. Wróciła więc nadzieja sprzed lat. 15 kwietnia 1937 roku Urszula pisała do Włodzimierza: „Malując ten obraz w Krakowie zawsze o tym myślałam, że

w ciemnej kaplicy przed tym obrazem będzie stała moja trumna, a na jubileusz oddały Matki z Krakowa ten obraz i ufam, że znowu u Jego stóp ostatnie chwile na powierzchni ziemi spędzę”.

I tym razem jej pragnienie nie zostało spełnione. Urszula została pochowana w Rzymie, na Campo Verano. Dwa lata wcześniej sama wybrała to miejsce jako grobowiec dla swej rodziny zakonnej. Wraz z otaczającymi ją wtedy siostrami uklękła i modliła się za pierwszą spośród nich, która w nim spocznie. Nie wiedziała, że modliła się za siebie. 22 kwietnia 1959 roku dokonano ekshumacji. Ku radosnemu zadziwieniu obecnych ciało nie uległo rozkładowi. Zostało obmyte i na powrót pochowane w nowym habicie. 2 grudnia tegoż roku przeniesiono je uroczyście do kaplicy Domu Generalnego w Rzymie przy via del Casaletto. Tam pozostało aż do 1989 roku, by ostatecznie powrócić do Pniew. Dopiero wtedy spoczął na niej wzrok Ukrzyżowanego.

Obraz Velasqueza jest niezwykle w głoszonej przez siebie prawdzie. Urszula, kopiując go, musiała wielokrotnie zastanawiać się nad posłaniem, jakie hiszpański artysta pragnął poprzez ten obraz przekazać światu. Bo u Velasqueza ciało Chrystusa nie jest ciałem martwym — mimo że przedstawia chwilę ostatnią. Gdy „dokonało się”. Gdy „jeden z żołnierzy przebił Mu bok i natychmiast [strużkami] wypłynęła krew i woda”. Nie bije z niego owo przerażające dotknięcie śmierci, jak to widać zwłaszcza na słynnym obrazie Andrea Mantegna *Cristo morto*. Mantegna podkreśla w swym Chrystusie leżącym na sarkofagu ów majestat śmierci, za którym idą — nieubłaganie — przemijanie, zniszczenie i rozpad.

W obrazie Velasqueza mamy do czynienia jednocześnie z ciałem Chrystusa Zmarłego i Zmartwychwstałego. Bo jedynie ono rozświetla ciemności tego świata, „gdy mrok ogarnął całą ziemię”. Ono tym ciemnościom nadaje poświatę nadziei. Krzyż jest zapowiedzią zmartwychwstania. Velasquez pragnął wyrazić tę właśnie prawdę. Śmierć Chrystusa jest zwiastunem życia. Jest progiem prawdziwego życia, którego jeszcze nie znamy. Stąd nasza dzisiejsza niepewność nie jest tyle niepewnością samego progę, ile raczej chwili, w której przyjdzie go nam przekroczyć.

Dziś Ukrzyżowany patrzy na Spoczywającą w Sarkofagu. Blask Jego ciała wskazuje, że Urszula przekroczyła już bramę życia. I że teraz jej ciało czeka na chwałę zmartwychwstania. „U stóp Jezusa pełnią nadziei jest spoczywać”.

W imię tej nadziei przy Sarkofagu gromadzą się ludzie. Pątnicy tej ziemi.

W imię tej nadziei każdego dnia schodzą się tu siostry, duchowe córki Błogosławionej. Trwają w modlitewnej zadumie. Niekiedy — bywa — jedna z nich wyjmie z kieszeni jej *Testament*. Bo czy jest na świecie bardziej stosowne miejsce, by raz jeszcze usłyszeć słowa „starej, bardzo kochającej Matki”? By na nowo zaczerpnąć jej mądrości dla pokonywania ciężarów dnia? By cicho szepnąć: „Matko, byłam Ci dziś bardzo wierna”? Niekiedy — bywa — jedna z nich podejdzie i nieśmiało ucałuje marmur Sarkofagu. A potem odejdzie do swych zadań — z tajemnicą swej miłości do Matki.

W imię tej nadziei rosną nowe urszulańskie zastępy.

Grób Matki stał się prawdziwym kamieniem węgielnym Zgromadzenia.

* * *

Odnowienie ślubów zakonnych:

*Wszechmogący i miłosierny Boże, w Trójcy Świętej Jedy-
ny, wobec Matki Najświętszej, Jasnej naszej Gwiazdy Morza,
Patronów Zgromadzenia i wszystkich Świętych, oraz wobec
Ludu Bożego, świadoma wezwania do wyłącznej służby Tobie
w Kościele, ponawiam i potwierdzam z całego serca śluby
czystości, ubóstwa i posłuszeństwa, które złożyłam przy mojej
profesji. Pokornie proszę Twoją nieskończoną Dobroć przez
Serce Jezusa Konającego o udzielenie mi łaski wiernego wy-
pełnienia ich aż do śmierci. Amen.*

Merentähti

W auli Domu Matki Założycielki wisi obraz malowany ręką Błogosławionej. Jest to kopia Murilla — *Zwiastowanie*. O innym obrazie — o *Ukrzyżowanym* Velasqueza — wiemy więcej. Wiemy bowiem, o czym rozmyślała wtedy Urszula, gdy sięgała po pędzel i paletę. Natomiast o malowanym przez siebie *Zwiastowaniu* nie wspomniała nic w swej *Historii Kongregacji*. Nie znam też żadnego jej listu poświęconego tej sprawie. Pozostanie to już tylko jej tajemnicą. A przecież nie sposób przejść obojętnie obok tego płótna. Między nim a Sarkofagiem istnieje bowiem pewne tajemne powiązanie, które — trudne do wyrażenia — przedziwnie przenika życie Urszuli. „Błogosławionaś, łaski pełna, Pan z Tobą...” — mówił do Maryi Anioł. A na Sarkofagu Błogosławionej widnieje napis, będący Maryjną odpowiedzią: „Oto ja, służebnica Pańska”.

Ten sam tajemny związek odkrywamy we wspomnieniach siostry Andrzei Górskiej: „Zapytałam [kiedyś] Matkę, co to jest świętość i co robić, by ją osiągnąć w naszym urszulańskim życiu, takim — jak mi się wydawało — bardzo prostym. Matka i tym razem poważnie przyjęła moje pytanie i patrząc na mnie serdecznie powiedziała: «Odpowiem ci krótko: świętość nasza urszulańska to każdego dnia na nowo i coraz pełniej — fiat, magnificat i służba». Zapytałam trochę zdumiona: «Czy tylko tyle?» A Matka z uroczym uśmiechem powiedziała: «To aż tyle!»”



Rozmowa ta odbyła się kilka miesięcy przed śmiercią Urszuli. Młoda wówczas siostra Andrzeja musiała być zdumiona szybkością i zwięzłością otrzymanej odpowiedzi. Nie wiedziała, że odpowiedź ta kształtowała się u Urszuli od wielu już lat. Nie wiedziała nic o malowanym przez nią obrazie *Zwiastowanie*. Nie знаła jeszcze *Testamentu* starej, kochającej Matki. A przede wszystkim nie mogła nawet przypuszczać, że kilka lat wcześniej, w sierpniu 1932 roku, przyszło Urszuli napisać pewien list, który ją wiele kosztował. Niełatwy, trudny list, w którym musiała wobec swej duchowej córki bronić i tłumaczyć to, czego — jak jej się dotąd wydawało — bronić nie musiała. Są bowiem takie sprawy między matką a córką, o których się nie mówi. Po prostu są oczywiste. Niestety, dla siostry K. oczywistymi

nie były. „Dziecino, jedno nie w porządku — pisała. — Czemu chcesz — i na to nakręciłaś pokój Zgromadzenia — zmienić to nasze urszulańskie nabożeństwo do Matki Boskiej Gwiazdy Morza na Gwiazdę Zaranną? Szerzyłaś to wśród uczennic — czemu? Ostatecznie, to zawsze ta sama Matka Boska, ale Gwiazda Morza — to wspomnienie pierwszych początków Kongregacji naszej. Tyle ta Gwiazda Morza ma w sobie wspomnień, do tylu wdzięczności obowiązuje nas — a moja K. bierze na siebie to, że zaszczepić chce w Zgromadzeniu miłość do Gwiazdy Zarannej, raczej zmienić Gwiazdę Morza na Gwiazdę Zaranną — właściwie dlaczego?”

„Tyle ta Gwiazda Morza ma w sobie wspomnień...” Te wspomnienia to Urszuli prawdziwy skarb. Wielokrotnie wracała do nich, zwłaszcza w trudnych chwilach. Marentähti... Gwiazda Morza... Tak nazwała małą posiadłość w Finlandii, którą zakupiła podczas swego pobytu w Petersburgu. Tu założyła szkołę i pensjonat. Tutaj też odbyła się uroczystość poświęcenia figury Matki Boskiej Gwiazdy Morza. „Maria Teresa — wspominała Urszula w *Historii Kongregacji* — przysłała mi pieniądze (500 rubli) na ten posąg. Wykonała go rzeźbiarka w Petersburgu. W ogrodzie, tuż nad brzegiem morza, usypany został kopiec, podtrzymywany dużymi kamieniami. Tam ustawiliśmy posąg Matki Boskiej z koroną gwiazd, ręce wyciągnięte, jak gdyby powiedzieć chciała: «Przyjdźcie do mnie, ja pocieszę, uspokoję, pomogę». Kwiatami ubrana — kopiec w kwiatkach — patrzyła na bezbrzeżne morze rozpościerające się u jej stóp. Dzień poświęcenia naznaczony był na 16 lipca. Ksiądz Machault, Francuz, przyjechał z Petersburga, by poświęcić

naszą Gwiazdę Morza. Poprzedniego dnia deszcz padał, rozpacz w sercach — jak to będzie z poświęceniem? Ale nazajutrz jasne słońeczko zaświeciło, więc i radość wielka, i zaaferowanie niemałe. Trzeba było ubrać zielenią, kwiatami, których mało, cały kopiec, wszystko przygotować, ćwiczyć śpiewy (ułożyłam wiersz do Gwiazdy Morza, panna Ranuszkiewicz melodię skomponowała), ale to wszystko z taką wesołością w sercach: oddamy dom, osadę, mającą powstać szkołę pod opiekę naszej Jasnej Gwiazdy Morza! Szesnastego więc około czwartej po południu już Finowie, którym dałyśmy znać, że będzie uroczystość, zaczęli zbierać się w naszej kapliczce. Rozpoczęło się nabożeństwo, potem procesja przy odmawianiu różańca do statuy. Potem śpiew. Tam uklękliśmy, kapłan poświęcił posąg naszej Jasnej Gwiazdy Morza, przemówił wysławiając dobroć Maryi, zachęcając do ufności. Potem śpiew. Dzieci, siostry śpiewały, morze lekko szumiało śpiewając z nami. Słońce rzucało promienie na biały posąg naszej Matki, a w sercu rozlana radość, ufność, pewność. Niech będzie co chce, Maryja przyświecać nam ciągle będzie, rozhukanego morza życia nie potrzebuje się bać dusza, która potrafi oczy podnieść do Jasnej Gwiazdy, do Maryi!”

Lubiła przychodzić w to miejsce, usiąść obok Maryi i patrzeć w bezkres morza. Zachowało się nawet zdjęcie z tamtych cudownych lat: Urszula siedząca na kamieniach, stanowiących koronę kopca. W rękach chyba różaniec. A na tle drzew biały posąg Merentähti, Gwiazdy Morza. „Przed nami morze bezbrzeżne — zawarty w *Historii Kongregacji* opis tchnie świeżością, widomy znak, jak bardzo to miejsce

zapadło w jej serce. — Coraz to inne — to lazururowe, to różowe, czarne, białe, to spokojne jak tafla szklana, to wzburzone, niespokojne. Za domem duży plac otwarty, okolony lasem. Kapliczka bardzo biedna, ale w niej Pan Jezus”. To miejsce ją uspokajało. Ono dodawało sił wobec szykan doznawanych w Petersburgu. A przede wszystkim pozwalało przemyśleć sens swej maryjnej pobożności. Miała tu czas i nastrój, by sięgnąć pamięcią do zdawało się bardzo już odległych, krakowskich czasów, gdy z olbrzymim wzruszeniem sięgała po pędzel i malowała *Zwiastowanie*. Lubiła rozważać ten przełomowy dla dziejów świata moment, gdy Najwyższy posłał do ubogiej Nazaretańskiej Dzieweczki swego Anioła. „Bądź pozdrowiona, pełna łaski...” Wskazujący palec Gabriela intrygował. Nie pozostawiał wątpliwości. Podniesiony w górę, objawiał autorytet samego Boga. To On powoływał. Pozostawała więc tylko jedna odpowiedź: „Oto ja, służebnica Pańska, niech mi się stanie... Niech się stanie... Fiat”.

Może właśnie tu, w Merentähti, Urszula odkryła, że odpowiedź Maryi dana Bogu jest właściwie dwuczłonowa. Przedzielona czasem, stanowi istotową jedność. W Nazarecie była zgoda i całkowite poddanie się woli Najwyższego, w Ain Karim, u Elżbiety, było uwielbienie Pana. Było *Magnificat*. Całkowite poddanie się Bogu i jednocześnie uwielbienie Go jest najpiękniejszą odpowiedzią człowieka na Boże wezwanie i wybranie. Maryja udzieliła takiej właśnie odpowiedzi. Jednakże, rzecz niezwykła, uwielbienie Pana nastąpiło dopiero w chwili spotkania z Elżbietą. W chwili, gdy Elżbieta wybiegła jej naprzeciw. Między *Fiat* a *Magnificat*

jest bowiem pewne napięcie czasu. Napięcie czasu wypełnione wielkim trudem i wysiłkiem. Przede wszystkim trudem i wysiłkiem ducha. To prawda, droga z Nazaretu do Ain Karim była uciążliwa. Ale ponad tę, głównie fizyczną, uciążliwość większe jeszcze były niepokoje i wątpliwości Maryi. Anioł powiedział jej o Elżbiecie. Elżbiecie trzeba więc było pomóc, okazać szczególną miłość i troskliwość. Trzeba było oddać przysługę jej — kobiecie, w tym co najbardziej piękne i wzruszające w jej kobiecości. I co jednocześnie budzi niekiedy tyle obaw. Trzeba było pomóc w jej rodzącym się macierzyństwie. Ale jednocześnie był Józef, którego trzeba było opuścić. Józef, który ją bardzo kocha i który po jej powrocie, po trzech miesiącach, od razu zauważy, że sama jest Matką. Kochający i czysty Józef, który niczego nie będzie rozumiał. Co wybrać? Idąc skalistą palestyńską drogą, przeżywała trudne chwile. Dopiero kiedy Elżbieta wybiegła jej naprzeciw, kiedy sama bez jakiegokolwiek słowa wyjaśnienia — skąd ona mogła to wiedzieć? — pochyliła się przed nią jako Matką Pana, zrozumiała, jak bardzo ją Pan prowadzi. Jak trzeba nieustannie wsłuchiwać się w Jego słowa i wiernie iść za nimi. Jak właśnie służba drugiemu człowiekowi jest najlepszą odpowiedzią daną Bogu na Jego wezwanie i wybranie. Zatem *Magnificat*. Zatem „Wielbi dusza moja Pana...”

Niełatwa jest to służba. Tyle wymaga zaparcia się siebie, tyle pokory i tyle zawierzenia. Siedząc u stóp Merentähti, zapatrzona w morski bezkres Urszula rozważała swe heroiczne boje o nadanie właściwego kształtu internatowi i szkole dla dziewcząt w Petersburgu. Ileż tu było pomówień, ludz-

kiej złośliwości, zwykłego niezrozumienia — i to ze strony tych, którzy najbardziej powinni być zatroskani o powodzenie jej wysiłków: ze strony syndykatu parafii św. Katarzyny. A w dodatku te nachodzenia ze strony urzędników carskich, ta ich walka z wszelkimi przejawami życia zakonnego, ta jej z kolei konieczność niszczenia dokumentów wskazujących na związek z Rzymem i osobiście z papieżem Piusem X. Urszula patrzyła na wzburzone morze i instynktownie zwracała swój wzrok na figurę Matki Bożej. Ona nie zawiedzie, Ona obroni, Ona zaprowadzi do bezpiecznego portu. Ona — Gwiazda Morza...

„Tyle ta Gwiazda Morza ma w sobie wspomnień...” Ze wzruszeniem wracała pamięcią do chwili, kiedy późną wiosną 1913 roku zawitała do Nettuno nad Morzem Tyrreńskim. Do Italii przyjechała wtedy na wyraźne życzenie Ojca Świętego, w celu podreperowania swego zdrowia. Weszła do zakrystii kościoła parafialnego — i aż serce jej zabiło z radości. Na ścianie wisiał stary obraz Matki Najświętszej Gwiazdy Morza: Maryja z Dzieciątkiem na rozhukanym morzu w łódce. Oczywiście opowiedziała o nim swej siostrze. Do tego zdarzenia nawiązała jeszcze w liście pisanym do Marii Teresy w Nettuno dnia 1 czerwca: „Cieszę się na spotkanie z Tobą, ale żałuję «Stella Maris» — czułam się tutaj jak w niebie, blisko prawdziwej Gwiazdy Morza. Odzyskałam zdrowie, a co ważniejsze, ufność głęboką w cudowne wstawiennictwo pięknej Gwiazdy Morza z Południa, która — ufam — opiekować się będzie ubogim domkiem Gwiazdy Morza z Północy. Dziękuję Ci, Siostrze kochana, za to, żeś mi przygotowała to szczęście i tę wielką łaskę.

Wstąpiła we mnie nowa moc, by dalej płynąć po burzliwym morzu życia bez trwogi i bez zniechęcenia się. Zawdzięczam to Tobie”.

W Rzymie czekała ją jeszcze jedna wzruszająca niespodzianka. Maria Teresa poleciła zrobić fotografię nettuńskiej Gwiazdy Morza. Na odwrocie małych obrazków wydrukowano wiersz-modlitwę Urszuli. Oprócz nich była jeszcze jedna wielka fotografia. Tę po powrocie do Finlandii Urszula umieściła w kaplicy w Merentähti. „Obraz ten w kaplicy — wspominała w *Historii Kongregacji* — jeszcze bardziej zachęcił naszą gromadkę do specjalnego nabożeństwa do Matki Boskiej Gwiazdy Morza. O, czułyśmy dobrze, że łódka naszego Zgromadzenia płynie na bardzo niespokojnym morzu, że lada chwila burza może się zerwać i że wołać trzeba nieustannie: Gwiazdo Morza, ratuj, przyświecaj, wskazuj drogę!”

„Tyle ta Gwiazda Morza ma w sobie wspomnień...” Czy siostra K. nie potrafi uszanować jej bólu, kiedy trzeba było opuścić na zawsze Merentähti? „Szóstego sierpnia [1914 roku] — wspominała w *Historii Kongregacji* — w dzień Przemienienia Pańskiego, odbyła się ostatnia dla mnie Msza święta w naszej ładnej kaplicy. Grałam na organach, śpiewaliśmy *Nie opuszczaj nas*. Jak to bolało! Poszłyśmy jeszcze razem do naszej Jasnej Gwiazdy Morza. Koniki już czekały. Pożegnanie... Zdaje się, że nie było ani jednego oka suchego. Serce jęczało z bólu, ale dzięki Bogu było i zgadzanie się z wolą Bożą, które ból czyni świętym. (...) Wsiadamy do bryczek. (...) Powiewamy chustkami. Jeszcze, jeszcze... i Merentähti kochane znika mi z oczu...”

„Tyle ta Gwiazda Morza ma w sobie wspomnień...” Dlaczego więc siostra K. chce „zamienić Gwiazdę Morza na Gwiazdę Zaranną — właściwie dlaczego?” Czy nie wie, jak ona, Urszula, w roku 1920 gorączkowo szukając nowej drogi dla swego Zgromadzenia, codziennie zachodziła do Cudownego Obrazu Madonna della Strada w rzymskim kościele Il Gesù? I jak niegdyś Gwiazda Morza miała ją spokojnie i pewnie przeprowadzić przez burze i zawieruchy życiowe, tak teraz Madonna della Strada miała jej wskazać dalszą drogę? „Co rano idę do kościoła Il Gesù — pisała do sióstr 14 maja 1920 roku. — Tam modłę się w kapliczce M. B. della Strada, przed którą św. Ignacy Mszę świętą odprawiał i modlili się wszyscy święci jezuitów: św. Franciszek Ksawery, św. Stanisław Kostka, św. Alojzy, św. Jan Berchmans, św. Franciszek Borgiasz itd. I wołam do Gwiazdy naszej, by świeciła i dalej prowadziła, i wiem, że wysłucha”. Wysłuchała. Powstało nowe Zgromadzenie. Do niego należy teraz siostra K. I ona tego nie rozumie?

„Nie, Dziecino — stara Matka tłumaczyła swej duchowej córce z pełną dobroci stanowczością — to częste, że Kongregacje żywią cześć do Maryi pod wyłącznym wezwaniem i mają do tego swoje racje. I tak Redemptoryści — do M. B. Nieustającej Pomocy, Siostry Miłosierdzia — do M. B. Łaskawej, Sodalicja św. Piotra Klawera — do M. B. Dobrej Rady itd., a nasza Kongregacja do M. B. Gwiazdy Morza. Wszak historia naszego Zgromadzenia z tą nazwą tak ściśle złączona, a Ty chcesz zastąpić wezwaniem Gwiazdy Zarannej... Czy to w porządku?”

Był jeszcze jeden powód, dla którego Urszula z taką nie-

chęcią patrzyła na próby odejścia od ukochanego przez siebie tytułu Maryi Gwiazdy Morza. Był to powód bardzo osobisty, zawierający tajemnicę jej maryjności. Nie napisze o nim wprost siostrze K. Jeśli ona jako córka jej ducha zechce pójść konsekwentnie za nią, na pewno tę tajemnicę odkryje sama. Przecież jest ona zawarta w jej modlitwach i rozważaniach. Może wówczas doświadczy także na sobie samej, co naprawdę znaczy napięcie między Zwiastowaniem a Nawiedzeniem, między *Fiat* a *Magnificat*. Napięcie, które jest dwuczłonową odpowiedzią człowieka na Boże wezwanie i wybranie. Napięcie, w którym streszcza się istota urszulańskiego życia i urszulańskiej świętości.

Siedząc pod figurą Merentähti, zapatrzona w burzliwe morze, Urszula odkrywała tę maryjną prawdę, zdaje się tak oczywistą. Niekiedy wiele jest cierpienia i bólu między pokornym *Fiat* a pełnym uwielbienia *Magnificat*. Maryja doświadczała tego wielokrotnie — od przepojonej niepokojem zapowiedzi Symeona, przez szukanie zagubionego Synka, aż po Golgotę. Istotnie, miecz wielokrotnie przenikał jej serce. Ale pośród bólu i łez odkrywała w sobie cudowny pokój. Była zjednoczona z Synem. Do końca zjednoczona. Dlatego też pełna łaski. I dlatego — w konsekwencji — Niewiasta Mężna pod krzyżem Jezusa, prawdziwa Królowa Męczenników. Podobnie i nasze życie — uświadamiała sobie Urszula — także to najbardziej osobiste, jest trudną drogą przez rozszalały żywioł. Dlatego trzeba pewnej Przewodniczki. Dlatego trzeba Gwiazdy Morza. To jedynie dzięki Niej można odkryć w sobie — mimo cierpień, niezrozumienia, nawet krzywdy — to, że w najdalszej i najbardziej podsta-

wowej głębi człowieczego serca panuje pokój. Panuje pokój — bo człowiek jest zjednoczony z Bogiem na wzór Maryi. Wówczas okazuje się nieoczekiwanie, że cierpienia, niezrozumienia, krzywdy — choćby największe — nie są ostatecznym wymiarem człowieka. Mogą go głęboko przenikać, ale ostatecznymi nie są. Ponad wszystko jest Pan. I to jest cudowne odkrycie! Odkrycie na wzór Pawłowego wyznania: „Któż nas może odłączyć od miłości Chrystusowej? Utrapienie, ucisk czy prześladowanie, głód czy nagość, niebezpieczeństwo czy miecz?”

To prawda, odkrywanie tego ostatecznego, fundamentalnego pokładu naszej duszy może być niekiedy czymś bardzo bolesnym. Bo jest to proces oczyszczania. Czyż nie miał racji Michał Anioł, porównując pracę rzeźbiarza z kimś, kto jedynie odsłania te cudowne postaci, które już tkwią gdzieś ukryte w bryle marmuru? Czyż nasze życie wewnętrzne nie jest, w swej istocie, odsłanianiem twarzy Chrystusa, która w nas już jest od momentu chrztu św.? A że to boli? Urszula uśmiechnęła się tylko do swoich myśli. To niech boli! Najważniejsze, żeby człowiek mógł odkryć w sobie ten ostateczny fundament, to podstawowe odniesienie do Boga. To tutaj ukazuje się przecież najbardziej prawdziwe źródło człowieczego pokoju i radości. Reszta — to tylko usilna praca, by zawsze mieć na swej twarzy i w swych oczach szczery uśmiech wyrastający z tego właśnie pokoju i z tej właśnie radości. Reszta — to już tylko apostołowanie tym trudnym, ale jakże prawdziwym i mądrym uśmiechem. Ta reszta — to nasze wierne i pełne ufności pójście za Maryją Jasną Gwiazdą Morza. To dlatego Urszula napisała kiedyś:

„Matko moja, Maryjo, uproś mi nieustanny «dobry humor», to szczęście wewnętrzne, które daje Bóg. Wszak mogę się zawsze cieszyć, bo zawsze mogę być złączona z moim Jezusem”. Czy siostra K. nie zna tej modlitwy?

Dlaczego więc siostra K. chce odejść nie tylko od historii, ale i od ducha Zgromadzenia? Dlaczego nie pojmuje prawdy o Maryi Merentähti, Maryi Gwieździe Morza? „Nie, nie odstępujemy od tego, co nasze, co Zgromadzenia — z wewnętrznym żarem kończyła Matka swój list. — Nie chcemy wprowadzać innowacji niepotrzebnych — po cóż? Nasze, nasze, tj. Zgromadzenia — to musi nam być najdroższe — to przede wszystkim...”

Idąc od Domu Matki Założycielki do klasztornej kaplicy, od *Zwiastowania* do Sarkofagu Błogosławionej, od jej nieustannego *Fiat* do heroicznego *Magnificat*, odkrywamy nieoczekiwane, że Urszula była w swym życiu prawdziwą ikoną Maryi. Ikoną — czyli żywym obrazem. Kto ją widział, widział kolejne w dziejach Kościoła cudowne urzeczywistnienie tajemnicy Nazaretańskiej Dzieweczki. Kto spotykał się z jej uśmiechem, ten widział uśmiech mądrej dobroci, z jaką Matka spod Jezusowego krzyża nieustannie patrzy na swoje dzieci. Patrzy i zaprasza do podobnej drogi. Ona bowiem już tę drogę pokonała.

* * *

Gwiazdo Morza, Panno Święta,
Ześlij jasne swe promienie
W duszę moją. Wniebowzięta,
K'niebu serca zwróć pragnienie!

Gwiazdo Morza! Ucisz burze,
Duszę moją co miotają.
Gwiazdo cudna, tam, na górze,
Rozkaż wiatrom, niech ustają!

Gwiazdo Morza, o Maryjo,
Niech me serce — jak to morze —
Tylko niebios toń odbija,
Gwiazd miganie, blaski zorzy.

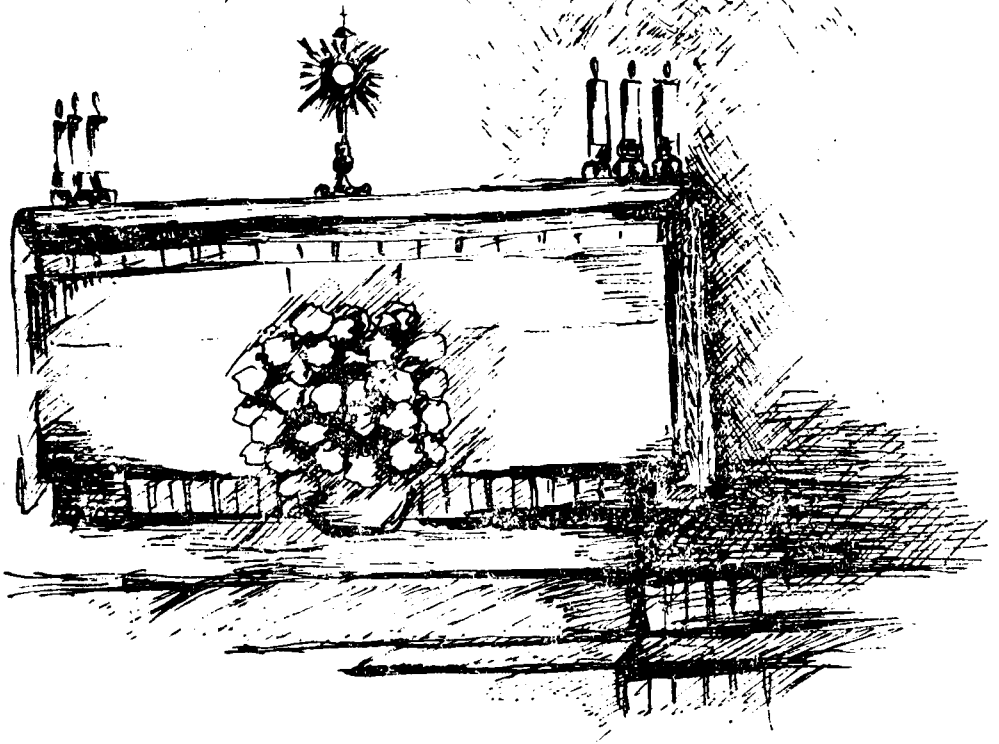
Gwiazdo Morza! Głębie duszy
Niech promienie złocą słońca.
Niech Twe tchnienie je poruszy —
Jak wiatr morze to bez końca.

Gwiazdo Morza! Ku błękitom
Niechaj dusza ma się wzbija,
Ku miłości jasnym szczytom,
Ku mej Gwieździe, o Maryja!

Najświętszy Sakrament

Na rzymskiej Piazza Venezia przez długi czas intrygowało mnie jedno miejsce. Było to przed wielu już laty, podczas studiów w Wiecznym Mieście. Gdy wracałem z Gregoriana do Kolegium Polskiego, gdzie mieszkałem, musiałem czekać na autobus właśnie na Piazza Venezia. Kiedyś spostrzegłem, że nie opodal, na rogu Pałacu Weneckiego, znajdują się niewielkie drzwi, przez które co jakiś czas wchodzi i wychodzi pojedyncze zazwyczaj osoby. Początkowo myślałem, że są to jacyś urzędnicy lub pracownicy muzeum. Musiałem jednak zmienić zdanie. Wchodzący i wychodzący nie stanowili jakiegś ściśle określonej grupy ludzi, ponadto skupienie na ich twarzach sprawiało, że wydawali się jacyś inni od reszty setek i tysięcy przechodzących każdej godziny przez centrum Rzymu. Wreszcie kiedyś sam ośmieliłem się przekroczyć tajemniczy próg. Uchyliłem drzwi i ku mojemu zdumieniu zobaczyłem małą kapliczkę Matki Bożej, a dalej, za kolejnymi drzwiami, wystawiony Najświętszy Sakrament. Przed nim adorujące Go siostry hinduskie oraz zwykli ludzie z ulicy, którzy weszli tu na chwilę, aby się modlić. Było to niezwykle, zdumiewające odkrycie. W samym sercu Wiecznego Miasta, pośród hałasu tysięcy samochodów, oaza ciszy i skupienia. I Pan Jezus, wystawiony, który nieustannie czeka na przechodnia...

To wspomnienie wraca, kiedy przybywając do Pniew widzę, jak w klasztornej kaplicy siostry adorują Najświętszy



Sakrament. Każdego dnia — oprócz niedzieli — jest wystawiony w godzinach konania — od dwunastej do trzeciej po południu, kiedy to zasłona w świątyni się przedarła, ciemność ogarnęła całą ziemię, a Jezus zawołał donośnym głosem: *Eli, Eli lema sabachthani*. Tuż obok, szosą na Szczecin z szumem pędzą samochody. Natomiast tu — inny świat: Wystawiony i cisza modlitwy. Zapewne przejeżdżający nic o tym nie wiedzą. Zresztą, gdyby wiedzieli — czy zatrzymaliby się w tym miejscu i przyszli na chwilę adoracji? Pytanie, niestety, retoryczne. Tym bardziej więc rośnie znacze-

nie klęczących tutaj sióstr. Między dwunastą a trzecią po południu trwają przy Wystawionym jak niegdyś Maryja i Jan przy Konającym. Ta cicha wierność wzrusza.

Dzisiejsza kaplica swym wyglądem nie przypomina pierwotnej, której budowę rozpoczęto latem 1921 roku. Poświęcenie jej kamienia węgielnego nastąpiło 22 sierpnia. „Krzyż z drzewa zatknięty na środku budowy — wspominała ten moment Urszula w *Historii Kongregacji*. — Czy to nie oznacza, że oprócz radości będą i krzyże, że ta kaplica będzie pociechą w krzyżach, które życie oddane pracy mozolnej na pewno z sobą przyniesie?” 31 maja 1922 roku kaplicę poświęcił biskup Łukomski. Między sierpniem i majem siostry modliły się w kaplicy zastępczej. Można więc mówić o trzech kaplicach w dziejach Pniew: tej pierwszej — tymczasowej, drugiej — poświęconej przez biskupa Łukomskiego, na koniec — obecnej. Przy wszystkich dzielących ich różnicach jest jednak jeden element, który pozostaje dla nich czymś wspólnym — codzienna adoracja. Właśnie ta — w godzinach Jezusowego konania.

Jak bardzo Urszuli zależało na tej adoracji, świadczą jej listy z jesieni 1921 roku. „Nasza myśl — pisała do sióstr w Aalborgu 5 listopada — zwrócona jest do adoracji, która rozpocznie się w nowej kaplicy. Kiedy? — nie wiem jeszcze — od 12 do 15 godziny na cześć Konającego Serca Jezusa. Musimy więc i całym zachowaniem naszym, cnotą naszą, miłością naszą łączyć się z tą adoracją na pociechę Konającego Serca Jezusa. Myślę, że przede wszystkim musimy z miłością przyjąć każdy krzyżyk, jaki Bóg na nas zsyła. Musimy wolę naszą zupełnie zgodzić z wolą Bożą. Powta-

rzajmy ciągle, gdy troska gryzie: *Fiat* na wszystko i *Deo gratias* za wszystko. To jest prawdziwa miłość Boża, prawdziwa służba Boża. Odważnie, Dzieci moje! Wierzcie mi, że z Wami czuję, z Wami cierpię. Rozumiem, że ciężko, ale, Dzieci moje, w tej adoracji na pociechę Boskiego Serca Jezusa musimy my kłaść silny fundament — krzyżyków naszych, małego konania nędznych serc naszych. Wiem, że mnie rozumiecie, Dzieci moje. Łączymy się w naszym nieustannym *Fiat* im trudniej, im bardziej serce boli — i cieszymy się, że właśnie tak okazujemy Jezusowi naszą miłość. A wszak tego chcemy jedynie — kochać, i kochać, i kochać Jezusa naszego”.

Tuż przed Bożym Narodzeniem, 18 grudnia, powiadamiała siostry, że adoracja już jest: „Miałyśmy wielkie mrozy. Dziś odwilż — z czego się bardzo cieszę, bo opał szalenie drogi. Kaplica pod dachem. Z powodu mrozów nie mogli pracować, ale teraz na pewno znowu się zabiorą. Mamy już codzienną adorację od 12 do 15 po południu. To tak ładnie, tyle ciepła dodaje życiu naszemu. A myślę, że dostanę pozwolenie, by to zaprowadzić we wszystkich domach naszych — co daj Boże, by się udało”. Ta adoracja miała być czynnikiem jednoczącym całe Zgromadzenie. Urszula pisała bowiem dalej: „Łączcie się myślą i sercem z nami w tej adoracji wynagradzającej za grzechy narodu naszego i na wyproszenie dobrych kapłanów — na pociechę Konającego Serca Jezusa. Bądźcie od 12 do 15 w kapliczce naszej maleńkiej — nowa jeszcze nie do użycia — u stóp Monstrancji. Tam się spotykać możemy codziennie”. I na koniec listu typowa dla niej zachęta: „Pamiętajmy, Dzieci moje,

że nasze jedyne zadanie — uświęcenie nasze. Oto wola Boża dla nas, nic więcej — więc tego też tylko szukajmy. Mniejsza o to, czy nam wszystko idzie według woli, smaku, zachcianek — byleby Pan Jezus był chwalony i z nas zadowolony. Im więcej mamy okazji do ofiar, tym lepiej, bo też tym więcej okazji do okazywania Panu Jezusowi miłości naszej. Nie ma miłości bez ofiar”.

Niestety, z zaprowadzeniem tej adoracji nie zawsze układało się po myśli Urszuli. Niekiedy zderzała się z murem niezrozumienia. „Miałam wielką przykrość teraz — skarżyła się bratu w liście z 3 grudnia 1922 roku. — Prosiłam o kaplicę w Zakładzie w Poznaniu — mam tam 7 siostr profesek i 72 panny. Ks. Kardynał przyrzekł, a Ks. Biskup dał pozwolenie na kaplicę, na odprawianie Mszy św., ale nie na Przenajświętszy Sakrament. A o to najwięcej chodzi, bo bez Przenajświętszego Sakramentu nie ma życia zakonnego i wpływu nie wywrzemy na nasze panny. Ja byłam zresztą pewna, że gdzie 6 profesek jest, tam przez to samo wolno mieć Przenajświętszy Sakrament — czy nie? Z początku byłam strasznie zbita — ale wszak i w tym nie wola, ale dopuszczenie Boże, więc dla mnie i wola Boża. (...) Napisałam już bardzo pokorny list do Księdza Biskupa, prosząc o pozwolenie na Przenajświętszy Sakrament. Jest to i policzek nam dany, bo wszystkie Zgromadzenia w Poznaniu mają Przenajświętszy Sakrament — ale wszak i to dobre. I przewalczyłam tę boleść — jak Bóg chce”.

„Bez Przenajświętszego Sakramentu nie ma życia zakonnego... Tyle ciepła dodaje życiu naszemu...” Dla Urszuli posiadanie kaplicy z Utajonym w Hostii było wręcz warun-

kciem zaistnienia domu zakonnego. To dopiero On stanowił dla niej prawdziwe ognisko domowe. Natomiast bez obecnego Pana Jezusa dom stawał się dla niej dziwnie pusty i zimny. Jakby nie-dom. Tak pojmowała to przez całe swe życie zakonne. Tak szczególnie dramatycznie przeżywała to w Petersburgu. Najpierw była radość, że Pan Jezus jest razem z nimi. „Tobie zawdzięczamy — pisała w październiku 1907 roku do Marii Teresy — naszą małą kapliczkę, która została poświęcona w poniedziałek, 21 października. Mamy zatem już Najświętszy Sakrament w naszym pensjonacie. Kaplica jest mała, bardzo mała, ale to nic — kochamy ją tym więcej. Jest piękna jak marzenie, zakątek nieba na ziemi: błękitna i biała — z białą figurką Matki Bożej. Dziękuję Ci, Siostrzyczko droga, za uzyskanie dla nas pozwolenia na przechowywanie Najświętszego Sakramentu w naszym domu”. Potem przyszły prześladowania. Atmosfera wobec katolików stawała się nieznośna. Należało unikać wszystkiego, co mogłoby drażnić policję. „Na Wielkanoc [1911 roku] — czytamy w *Historii Kongregacji* — przyszło od księdza arcybiskupa rozporządzenie, by zamknąć naszą kaplicę w Petersburgu. To był cios dla nas, prawdziwy cios. Tak dobrze nam było w tej małej, niebieskiej kapliczce z Panem Jezusem, z codzienną Mszą świętą. A teraz mieli nam zabrać Pana Jezusa! O ile pamiętam, było to w drugie święto wielkanocne. Po południu przyszedł ksiądz, zabrał Pana Jezusa, lampkę zgasiłyśmy, siostry płakały — było jak po pogrzebie. Nie rozebrałyśmy kaplicy, ale została bez Pana Jezusa, bez Mszy świętej”.

Podobnie było w Merentähti. Na przełomie marca i kwiet-

nia Urszula pisała do Marii Teresy: „Napotykam na nowe trudności. Wyjeżdżam w poniedziałek o 8 rano do Merentähti. Planuję wrócić tego samego dnia wieczorem. Muszę jutro odesłać naszych księży. Ksiądz z Helsinek został już wypędzony. Biskup lęka się o mnie. Jeżeli zastaną u nas księży, czeka nas z pewnością wygnanie. Stąd wniosek, że w Merentähti pozostaniemy bez księdza, dopóki sprawy się nie wyjaśnią. Jest to prześladowanie w całym tego słowa znaczeniu. (...) Pomyśl, zostaniemy w Merentähti bez Najświętszego Sakramentu. Czy nie mogłabym otrzymać relikwii Krzyża Świętego, by choć w części zastąpił brak Pana Jezusa?” „W Merentähti — donosiła siostrze 14 kwietnia — od dwóch tygodni bez księdza i Pana Jezusa, bez Mszy świętej. Ot, kraj swobody i cywilizacji” — opatrzyła to wszystko gorzkim, nieco ironicznym komentarzem. Co to za „cudowny” kraj, który chlubi się wobec całego świata swobodą i cywilizacją, a jednocześnie walczy z Utajonym! Zaraz jednak szukała wyjścia dla siebie. Nie potrafiła, wręcz nie wyobrażała sobie życia bez Wiecznie Obecnego. — „Poza tym jeszcze jedna sprawa, Siostrzyczko. Poproś Ojca Świętego — idź, jeśli to potrzebne — aby mi udzielono wszelkich pozwoleń, które przysługują placówkom misyjnym; spowiedź przed każdym kapłanem, Msza św. co dwa tygodnie z prawem przechowywania Najświętszego Sakramentu w tym okresie, przechowywania Najświętszego Sakramentu w maleńkiej puszcze srebrnej, którą z łatwością można mieć przy sobie w czasie rewizji. To straszne pozostać bez Najświętszego Sakramentu, a niebezpieczne przechowywać w cyborium. Przecież i pierwsi chrześcijanie podobnie

czynili, a my zapewne żyjemy w czasach jeszcze trudniejszych. Ja bym wolała pójść od razu na stos niż doświadczać powolnego konania obecnie”. Na końcu listu zamieściła dopisek, ilustrujący dramatyzm sytuacji: „Dziś u nas Wielkanoc. Bez Mszy, bez Komunii świętej. Wczoraj urządziliśmy same rezurekcję i śpiewaliśmy z całego serca Alleluja”.

Zatroskanie Urszuli o codzienne adorowanie Wystawionego wynikało z jej realistycznego radykalizmu. Realistycznego — bo dobrze wiedziała, że życie zakonne nie jest łatwe. Na jego drodze można spotkać wiele trudności, wiele krzyży, czasem i niezrozumienia. Nie kryła tego przed sobą, nie kryła przed swymi siostrami. Wstąpiły do Zgromadzenia, by walczyć o nadejście królestwa Bożego. A walka kosztuje. Musi kosztować. Chodzi więc o to, by raz ją podjąwszy, nie ustawać, nie tracić ducha, nie wątpić. Czyż Pan Jezus nie powiedział, że jeśli ktoś raz przyłożył rękę do pługa, nie powinien oglądać się wstecz? Często wracała do radykalizmu Jezusowych słów: „Kto nie bierze swego krzyża, a idzie za Mną, nie jest Mnie godzien”. Walczyła o to, by do końca być Jego godna. Walczyła dla siebie i swych duchowych córek. Wiedziała, że wiąże się to z najpiękniejszą, ale i najbardziej trudną cnotą — z wiernością. Z wiernością prawdziwą. Bo czasem bywa, że wierność wyradza się w upór. Upór — to taka dziwna wierność sobie, która wyraża się w sformułowaniu: „chcę być sobą”. Oczywiście, trzeba być sobą, ale jakie jest kryterium tego bycia? Najczęściej pojmowane jest ono jako przywiązanie do siebie, zgoda na swe słabości, nawet na zachcianki. Tak rozumiane „chcę być sobą” jest swego rodzaju narcyzmem, stagnacją, za-

mknięciem się w swoim tylko świecie. Prowadzi do skrajnego indywidualizmu, przypomina Leibnizową monadę bez drzwi i okien. Natomiast prawdziwa wierność wyraża się w sformułowaniu: „Chcę być takim, jakim pragnie mnie mieć mój Umiłowany, mój Oblubieniec”. Zakłada nieustanny wysiłek, by przekształcać się na miarę Jego oczekiwań. By ciągle pytać siebie, jakie są te Jego oczekiwania. By chcieć Mu się ciągle podobać. Coraz bardziej podobać. Tak pojęta wierność jest źródłem osobistego rozwoju, dynamizmu. Jednakże domaga się ona trwałego fundamentu. Inaczej nie wytrzyma napięcia czasu. Zagubi się. Taka wierność domaga się coraz większej miłości. Im bardziej się kocha, tym łatwiej znieść wszystko dla Umiłowanego. Urszula wiedziała o tym bardzo dobrze. Dlatego chciała, by siostry często trwały przed Oblubieńcem. By w tym cichym trwaniu zagłębiały się w Niego miłością silną i wierną. Co więcej, wiedziała, że samą tę miłość trzeba sobie wyklęczyć przed Wystawionym. Wiedziała, bo sama ją wyklęczała. „Najpiękniejszy obraz matki Urszuli — wspominała jedna z uczennic założonej przez nią szkoły — z czasów mego pobytu w Pniewach to jej postać skupiona w czasie modlitwy, zwłaszcza przed tabernakulum. Te adoracje, ta rozmowa duszy z ukochanym Bogiem na zawsze pozostaną mi w pamięci. Tak tylko święci mogą się modlić”.

„Gdy klęczysz u stóp tabernakulum — pisała do swych siostr w *Testamencie* — otwierając szeroko swe serce na pragnienie miłości, bądź pewna, że Jezus to pragnienie przyjmie. Choćbyś się czuła obojętna i zimna, dopomoże Ci do osiągnięcia miłości, jakiej gorąco pragniesz, i odda Ci za

Twą słabą, niedoskonałą miłość całą ogromną miłość swego Boskiego Serca. I Ty, mały, nędzny robaczek na ziemi, niedoskonały, grzeszny, staniesz się przedmiotem miłości Jezusa Twego, Zbawcy Twego, Boga Twego, i będziesz mogła na pewno powiedzieć: Jezus mnie kocha! O, jakież On dobry, Jezus nasz!”

Ta miłość do Oblubieńca pozwala w pełni zwrócić się do innych ludzi. Przedstawiać ich sprawy Utajonemu w Przenajświętszej Hostii. A jednocześnie pozwala przeżyć całą tajemnicę Jezusowej Paschy. Adoracja w Pniewach wyraża tajemnicę Wieczernika i tajemnicę Golgoty, tajemnicę Kapłaństwa i tajemnicę Konania. Zaczyna się bowiem modlitwą za kapłanów — by w swym posługiwaniu byli do końca wierni Temu, który nazwał ich swymi przyjaciółmi. Natomiast kończy się modlitwą za wszystkich konających. Chodzi bowiem o to, by wszyscy oni — kapłani i konający — zostali ogarnięci zbawczą miłością Jezusa.

Kłęczące w Pniewach siostry modlą się o zbawienie tego świata. W tej wspólnej modlitwie odkrywają swoją jedność. Jedność siostrzaną i jedność Kościoła. Tę jedność, o której pisała do nich Urszula w sam dzień Nowego 1921 Roku: „Dziś byłam z Wami w Waszej tam kapliczce i modliłam się z Wami z całego serca — tak czułam, że wszystkie moje dzieci u stóp Jezusa w monstrancji około siebie mam i razem tworzymy jedną całość, choć rozproszone na cztery wiatry. Niech Pan Jezus błogosławi każdej z osobna i da dużo, dużo łask i miłości jak najwięcej. Do Bożej miłości nam dążyć, jedno chcieć — Jezusa samego — oto nasze życie, a w Jezusie zawsze się spotkamy”.

* * *

Modlitwy siostr na rozpoczęcie i zakończenie adoracji Najświętszego Sakramentu:

O Jezu, odwieczny Arcykapłanie, Boski Ofiarniku, który w niezrównanym porywie miłości dla ludzi, Twych braci, sprawiłeś, że chrześcijańskie kapłaństwo wytrysnęło z Boskiego Serca Twego, nie przestawaj wlewać w Twych kapłanów ożywczych strumieni Twojej nieskończonej miłości.

Żyj w nich, o Panie, przeistaczaj ich w Siebie, uczyni ich mocą łaski swojej narzędziami swego miłosierdzia; działaj w nich i przez nich i spraw, by przyoblekłszy się zupełnie w Ciebie przez wierne naśladowanie Twych godnych uwielbienia cnót wykonywali mocą Twego Imienia i Twego ducha uczynki, któreś sam zdziałał dla zbawienia świata.

Boski Odkupicielu dusz, spojrzysz, jak wielu jest jeszcze pograżonych w ciemnościach błędu; policz owieczki zbląkane krążące nad przepaścią; wejrzyj na tłumy ubogich, głodnych, nieświadomych i słabych, jęczących w opuszczeniu.

Wracaj do nas, o Jezu, przez Twych kapłanów; ożyj w nich rzeczywiście, działaj przez nich i przejdź znowu przez świat ucząc, przebacząc, pocieszając, poświęcając się i nawiązując na nowo święte węzły miłości, łączące Serce Boże z sercem człowieczym. Amen.

* * *

O najlaskawszy Jezu, Miłośniku dusz, blagamy Cię przez konanie Serca Twego Przenajświętszego i przez boleści Matki Twjej Niepokalanej, obmyj we Krwi Twojej grzeszników całego świata, którzy w tej chwili konają, i tych, co dziś jeszcze umrzeć mają.

Serce Jezusa Konającego, zlituj się nad konającymi.

Et super hanc petram...

Kiedy po raz pierwszy znalazła się na placu św. Piotra, poczuła się jakby oszołomiona otwartą nagle przestrzenią. W roku 1907 nie było jeszcze Via della Concilliazione. Do Bazyliki prowadziła wówczas płatanina małych uliczek i domów, zasłaniających dzisiejszą, jasną perspektywę. Nie można więc było przeżywać tego potęgującego się cudownego wzruszenia, w miarę zbliżania się do San Pietro od strony Zamku św. Anioła. Zapewne na Plac przybyła idąc Borgo Santo Spirito, od Kurii Generalnej Jezuitów, gdzie mieszkał i pracował jej brat Włodzimierz. Poczowała się objęta kolumnadą Berniniego — jak ramionami. Dawało to poczucie dostojeństwa, potęgi, a jednocześnie pełnego bezpieczeństwa. Taki jest mój Kościół katolicki, musiała zapewne pomyśleć, właśnie taki... Maria Teresa pokazywała jej okna papieskiego apartamentu, zarys Kaplicy Sykstyńskiej, Spiżową Bramę. Weszły do środka. W Bazylice dominowała wznosząca się nad grobem św. Piotra wspaniała konfesja Berniniego. Urszula powoli, ze wzruszeniem zbliżała się do tego świętego miejsca. Przy balustradzie okalającej ołtarz i konfesję, uknęła. Po długiej chwili wzniosła swój wzrok do góry, w stronę kopuły Michała Anioła. Bardziej niż samo to arcydzieło sztuki architektonicznej zachwyił ją niebieski napis biegnący wzdłuż złotej, mozaikowej wstęgi znajdującej się u podstawy kopuły: *Tu es Petrus et super hanc petram aedificabo Ecclesiam meam et tibi dabo claves Regni Coelorum* — „Ty



jesteś Piotrem — Opoką i na tej opoce zbuduję Kościół mój i tobie dam klucze Królestwa Niebieskiego”.

Et super hanc petram... — „i na tej opoce...” Urszulę ogarnęło głębokie wzruszenie. Nad grobem prostego Rybaka

z Galilei, który stał się prawdziwą Opoką, wznosi się ten baldachim i ta kopuła — te cuda ludzkiego geniuszu. To właśnie tutaj w sposób widzialny dopełnia się misterium Boga, który na wieki i na wieczność „wywyższa pokornych”. Urszula czuła, że jest u samych źródeł chrześcijaństwa i Kościoła. U źródeł jego autentycznej potęgi. Potęgi jego ducha. Potęgi, która jest jego nieomylnością.

Kłęcząc u grobu św. Piotra musiała zapewne przypomnieć sobie listy, pisane przed laty do swej przyjaciółki Ilse von Düring. W czasie tej korespondencji Urszula była najpierw „panienką” z Lipnicy Murowanej, a potem młodą zakonnicą w Krakowie. Zawiązała się serdeczna korespondencja, w której nie zabrakło problemów związanych z religią i wiarą. Ilse była protestantką, wiele więc ją od Urszuli różniło, zwłaszcza gdy chodziło o rozumienie samego Kościoła. Urszula natomiast z całą otwartością — choć zarazem szacunkiem i taktem — ukazywała jej swoją wiarę i przekonanie o wyższości Kościoła katolickiego. „Kościół jest nieomylny — pisała do Ilse 9 kwietnia 1896 roku. — W Piśmie Świętym wyraźnie jest powiedziane, że Chrystus przekazując Piotrowi klucze Królestwa Niebieskiego, powiedział: «Ty jesteś Piotr, czyli skała, i na tej skale...» itd.” Miała świadomość, że jednoznaczność tych sformułowań może przyjaciółce sprawić pewną przykrość, więc zaraz dodała: „Piszę tak szorstko, ponieważ Cię serdecznie kocham, a Twoje poglądy sprawiają mi ból!”

Et super hanc petram... Korespondencja z Ilse pozwalała sformułować myśli, które stanowiły treść jej stale pogłębiającej się wiary. „Ilzo — pisała do przyjaciółki 3 listopada

1895 roku — wierz mi, daleko mi do Twojej gorliwości i do Twojego żaru miłości. Ty zbyt dobrze o mnie myślisz, jestem przecież tak bardzo słaba, że tylko Bóg, który jest Miłością, mógł w miłosierdziu swoim przyciągnąć mnie do siebie. A jednak, Ilzo, stoję mocno na opoce Piotrowej i jestem pewna, że ani ogień, ani woda nie mogą mnie zmóc, gdy Ty błądasz się, kierując się własnym jedynie rozumem, szukając nieustannie na wszystkich morzach świata. Ja nie potrzebuję szukać, odkrywać, nie oglądam się na prawo i lewo. Promień światła, który rozjaśnia drogę mego życia, prowadzi prosto do Boga — tym promieniem światła jest nauka naszego świętego, katolickiego, nieomylnego Kościoła. Gdyby Kościół katolicki był omylny, jego nauka nie byłaby dla mnie światłem, lecz błędnym ogniem. Tak, Ilzo, oddałabym życie za wiarę w nieomylność Kościoła...”

Ta jej prosta i głęboka wiara umacniała się dzięki kolejnym spotkaniom z Piusem X. *Ignis ardens* — „Płonący ogień”, jak powszechnie określano osobowość tego papieża i jego pontyfikat, idąc za dość tajemniczą przepowiednią Malachiasza — był dla niej ojcowski, serdeczny, a przy tym rozciągał wokół siebie czar osobistej świętości. Jego słowa umacniały ją i dodawały otuchy w podejmowaniu przedsięwzięć śmiałych i — jak na owe czasy — niekonwencjonalnych. Dzięki niemu — opoce Kościoła — jej praca w dalekim Petersburgu rysowała się w sposób jasny i precyzyjny. Po prostu czuła, że pośród prawosławnej Rosji jest jego wysłanniczką, że pełni zleconą jej przez niego misję. To rozwiewało wszelkie wątpliwości. „Byłyśmy więc samoistnym domem zakonnym o *Konstytucjach* krakowskich, lecz same

w stolicy carów — pisała w *Historii Kongregacji*. — Bóg Panem jedynym i Opiekunem, a następcą Jego na ziemi — nasz Ojciec Święty Pius X. O tak, pociechą i zachętą była dla mnie dobroć, troskliwość istnie ojcowska Ojca Świętego! Wiedziałyśmy, że tam, w Rzymie, serce Ojca o swych dzieciach pamięta, pomimo iż troska o cały Kościół na barkach jego ciążyła”. Gdy podczas audiencji całowała jego dłonie, czyniła to z wielką czcią. Był dla niej prawdziwą ostoją i symbolem katolicyzmu. Każdy jej następny przyjazd do Rzymu pogłębiał te odczucia. Głęboka wiara w Kościół łączyła się z radosnym nastrojem dziecka, które czuje się w pełni bezpieczne, gdyż ma swój Dom i ma swego kochającego Ojca. „Z jaką radością witałam z daleka, z okna wagonu — wspominała swoje przybycie do Wiecznego Miasta w roku 1911 — kopułę bazyliki św. Piotra — rysuje się jako niebieski obłok unoszący się w powietrzu. Tam Ojciec Święty, ojciec Włodzio, Maria Teresa, tam serce katolicyzmu tak srogo prześladowanego w Rosji”.

Po śmierci Piusa X zawsze podczas swych rzymskich pobytów udawała się na jego grób. W sposób istotny łączył się dla niej z grobem św. Piotra. Był kolejną skałą wzniesioną na Opoce w ramach przedziwnej tajemnicy Kościoła jako świętej budowli wznoszonej z duchowych kamieni. To dopiero w świetle tej Opoeki nabierały pełnego sensu kolejne, niejednokrotnie męczeńskie świadectwa wiary w Chrystusa innych ludzi. To dopiero na tej Opoce można było beatyfikować i kanonizować kolejnych błogosławionych i świętych Kościoła. Bo właśnie tak buduje się jeden, święty, katolicki Kościół, gdzie przeszłość, terażniejszość i przyszłość

mają ten sam Piotrowy fundament. „Parę słów do dzieci moich kochanych — pisała do sióstr 5 maja 1920 roku. — Dziś byliśmy razem na Mszy świętej u grobu Piusa X i później w krypcie św. Piotra. Jutro pójdziecie ze mną na beatyfikację bł. Paziów z Ugandy”.

Et super hanc petram... Na opoce, którą jest papież, chciała zbudować swoje Zgromadzenie. W tym celu przyjechała w roku 1920 do Rzymu. Od samego początku przeczuwała jednak, że na drodze do urzeczywistnienia tego zamiaru stoją jakieś przeszkody. „Mam wrażenie — pisała do Marii Teresy 12 lutego 1920 roku — że o. Włodzimierz przeczuwa wielkie trudności w Rzymie. Zdaję się na Boga i mimo wszystko cieszę się ogromnie na przyjazd do Rzymu. Pójdę na grób Piusa X — On mi na pewno dopomoże”. Nie myliła się. W Watykanie napotkała jakiś dziwny opór. Niby spełniała wszystkie życzenia urzędników kurialnych, przedstawiała coraz to nowe dokumenty, których żądano, a jednak sprawa nie posuwała się naprzód. Czary goryczy dopełniła audyencja u Benedykta XV. Przyjął ją bardzo oficjalnie, raczej surowo — jakżeż dalekie na jego tle było wspomnienie ciepła i serdeczności Piusa X! Pozwoliwszy usiąść, skarcił Urszulę za jej dotychczasowe włączenie się po świecie. Był wyraźnie do niej nieprzychylnie usposobiony. Dopiero uwaga, że czyni wszystko zgodnie z radami i sugestiami swego brata, o. Włodzimierza, uspokoiła nieco papieża. Na koniec udzielił błogosławieństwa na pracę nowego Zgromadzenia, ale poczucie jakiegoś niezrozumienia pozostało. Dla Urszuli był to fakt boleśnie przeżywany. „W chwili gdy nasza przyszłość wisiała na włosku — komentowała to

w *Historii Kongregacji* — Maria Teresa znów zaczęła mnie zachęcać, byśmy się do jej Zgromadzenia przyłączyły. Myśl ta, aż do rozstrzygnięcia kwestii przez Świętą Kongregację, była dla mnie prawdziwą deską ratunku. (...) Maria Teresa zwróciła się więc do [biskupa Streichera od Białych Ojców], by o tych planach wspomniał Ojcu Świętemu. Gdy to uczynił, okazało się, że Ojciec Święty jest naszemu połączeniu stanowczo przeciwny. *Elle ne vaut pas* (Ona nie jest jej warta) — miał się wyrazić o mnie. Rozumie się, że Marii Teresie nie dorównuję. W tych jednak słowach dał Ojciec Święty do zrozumienia, że czarno na mnie patrzy. Dlaczego? Wszak mnie nie znał, nic o mnie nie wiedział. Dlaczego tak ostro mnie sądził? Ale nie ma złego, co by na dobre nie wyszło — temu zawdzięczam, że ojciec Włodzio zajął się mną w sposób szczególny. Powiedział nawet do Marii Teresy: «Tak ją oczernili w Watykanie, że muszę ją wziąć pod opiekę»”.

Komentarz w *Historii Kongregacji* pisany był z pewnego dystansu czasowego, nie zawiera więc w sobie całej skali przeżyć Urszuli. Tymczasem ona tę papieską nieprzychylność po prostu odchorowała. Trzeba było nawet na jakiś czas odwlec jej powrót do kraju. Co prawda, w liście do siostr, w którym opisywała swoje spotkanie z Benedyktem XV, starała się przedstawić tylko pozytywne strony audjencji. „Do serca tulę moje dzieci — kończyła ten list — zmówcie Magnificat na podziękowanie, że wszystko u Ojca Świętego dobrze szło. Ufam, że i dalej pójdzie dobrze”. Jednakże w liście pisanym do Włodzimierza nie kryła swych uczuć: „Płaczę, ale wierzaj mi — z tego, com tu wycierpiała, z tego

co mnie oczernili, nic, nic bym nie chciała z życia mego wykreślić. (...) Czuję się złamaną, Ojczulku — straciłam wiarę w swe dzieło...” Na koniec dodała jeszcze jedną uwagę: „Myślę, że jak zobaczę moje małe dzieci, to wszystko wróci”. Wróciło. Dwa tygodnie później, 2 lipca, pisała z Aalborga do brata: „Co do Ojca Świętego — to, Ojczulku, nie aby się tłumaczyć, ale aby Ciebie uspokoić — powiem Ci, że choć z pewnością jestem winna, ale swoją drogą w każdej chwili gotowam oddać życie za Niego. Będę uważała na to, co mówię może nierozważnie, ale w sercu — mimo strachu, jaki czuję przed Ojcem Świętym — jest wielka, wielka miłość do Zastępcy Chrystusa”.

I była to w jej przypadku miłość niekłamana. Co prawda, nie ta — pełna dziecięcej ufności i bezpośredniości — jaką miała do Piusa X, ale na pewno pełna poddania i szacunku, jaka przynależy Następcy świętego Piotra. Ponad poczucie osobistej krzywdy trwała w niej — a może nawet i się doskonaliła — miłość do Kościoła. Miłość, dla której nie ma ofiary zbyt małej — łącznie z ofiarą własnego życia. Miłość do Kościoła, którego widzialnym symbolem jest osoba papieża. „Ogromne wrażenie — opisywała uroczystości beatyfikacji męczenników ugandyjskich — robi ten pochód z Ojcem Świętym niesionym na sedia gestatoria, kroczący przez całą bazylikę aż do wielkiego ołtarza. Ojciec Święty siedzi na fotelu — bielusienki — i błogosławi na prawo i lewo, a widok ten wyzwala entuzjazm tłumów, któremu nikt chyba oprzeć się nie zdoła! Oto nasz wielki, święty, katolicki Kościół!”

Tej miłości, pełnej szacunku i oddania, pozostała wierna

do końca. 23 stycznia 1922 roku pisała do Marii Teresy: „Jestem od kilku dni w Goździchowie, naszej filii dla 50 biednych dzieci — na odludziu, gdzie wieści ze świata nie dochodzą. Dziś, jak piorun z jasnego nieba, spadła na mnie wiadomość, że Ojciec Święty nie żyje. Nawet nie słyszałam, że był chory. Bardzo to przeżywam. Znałam go i kochałam, choć w ciemnych barwach przedstawiano mu moją osobę”. Rzeczywiście, mocno przeżywała jego śmierć, tym bardziej że tuż przed tym wydarzeniem doszła do niej wieść, iż Benedykt XV podczas spotkania z Włodzimierzem przekazał jej swe osobiste błogosławieństwo. Widać, na skutek życzliwych relacji kardynała Dalbora papież zmienił swe negatywne dotąd zdanie. „Doznałam wielkiej pociechy — pisała w *Historii Kongregacji* — że ten Ojciec Święty, który mnie prawie do swej śmierci ignorował i nawet nigdy o mnie nie zapytał — jak Pius X — ani ojca Włodzia, ani Marii Teresy, teraz, przed samą śmiercią, przesyła mi swoje błogosławieństwo. Wielki, święty papież — *requiescat in pace!*” Jak więc go można nie szanować i nie czcić? Jak nie kochać Kościoła?

Et super hanc petram... Kto będzie teraz nową opoką Kościoła? Malachiaszowa przepowiednia określała go jako *Fides intrepida* — „Nieustraszona wiara”. „Kto zostanie wybrany na papieża? — zapytywała w liście Marię Teresę. — Jaki będzie jego stosunek do nas? Wszystko jedno, Bóg rządzi Kościołem, Bóg kieruje nami, niech się spełni Jego wola...”

Bóg sprawił, że na nowego papieża wybrano kardynała Achille Rattiego, dawnego nuncjusza w Warszawie. Urszula leżała wtedy ciężko chora, udzielono jej nawet Sakramentu

Chorych, licząc się z możliwością śmierci. I wtedy właśnie przyszedł telegram od Włodzimierza i Marii Teresy z wiadomością o dokonanej wyborze i o tym, że nowy papież, Pius XI, przysłał jej swe osobiste błogosławieństwo. W jakimś sensie wróciły więc dla niej czasy dobrego i serdecznego dla niej Piusa X! Urszula nie posiadała się z radości. Pius XI zna ją przecież osobiście, Pius XI był u niej w Pniewach, Pius XI o niej pamięta!

Ten serdeczny, osobisty stosunek trwał między nimi do końca. Urszula wyjechała do Rzymu w marcu 1926 roku i niemal zaraz po przybyciu została przyjęta przez papieża. Bywała u niego wielokrotnie. On zaś żywo interesował się rozwojem jej Dzieła. Jak wspominała siostra Aniela Łozińska, „dzięki Piusowi XI uzyskała Matka niezwykle prędko pierwsze, a potem definitywne zatwierdzenie Konstytucji Zgromadzenia. Pius XI swoim osobiście wyrażonym życzeniem przeprowadził zatwierdzenie statutu dla koadiuterek, co było dla młodej kongregacji prawdziwie opatrnościowe. Pius XI dał Matce pieniądze na kupno domu w Rzymie, interesował się jego przebudową, cieszył się z pracy sióstr we Włoszech. Gdy Matka po roku przedstawiła Ojcu Świętemu rachunki z dwóch milionów ofiarowanych przez niego, Pius XI powiedział: «Wielu osobom dawałem pieniądze, ale Matka jest pierwszą, która zdaje mi sprawę, na co zostały zużyte». (...) Ks. biskup Tymieniecki powiedział mi kiedyś żartem: «Byłem na audiencji u Ojca Świętego, a Ojciec Święty każdego biskupa polskiego bawi rozmową o matce Ledóchowskiej». Ksiądz kard. Hlond na jubileuszu Matki powiedział nam, że gdy wyjeżdżał już jako arcybiskup do

Poznania, Ojciec Święty specjalnie polecił mu, by opiekował się dziełami Matki i dopomagał jej, w czym będzie mógł. Kiedy w 1934 roku byliśmy we dwie na półprywatnej audiencji u Piusa XI, Ojciec Święty przechodził wokoło, błogosławił i podawał rękę do pocałowania. Gdy doszedł do nas, zatrzymał się i przemówił po francusku: «Czy siostry są od matki Ledóchowskiej? Czy może z Pniew? Słyszałem, że Matka chorowała. Jak się teraz miewa? Proszę powiedzieć, że ją błogosławię i życzę sobie, by była zdrowa». Podobno na półprywatnych audiencjach Ojciec Święty do nikogo nie przemawia”.

Urszula odwzajemniała mu to ojcowskie, a jednocześnie przyjacielskie uczucie coraz większą czcią i umiłowaniem nie tylko jego osobiście, ale i samego Kościoła. Wydaje się nawet, że w miarę przybywania lat jej umiłowanie Kościoła nieustannie wzrastało i dojrzewało. Że coraz więcej było w niej żaru, a zarazem zrozumienia tego wyzwania, jakim dla swego czasu był Ojciec Święty. A był wyzwaniem olbrzymim, gdy w latach dwudziestych i trzydziestych świat ogarniał totalitarystyczny szal — brunatny, czarny i czerwony. Pograżony w nienawiści świat zdawał się nieuchronnie zdążać do tragedii drugiej wojny. „Gdy rzucamy okiem na ten świat — pisała w *Dzwonku Św. Olafa* w artykule noszącym jakże znamienity tytuł *A ja tobie powiadam, iżś ty jest opoka...* — pełen odstępstw od Boga i Jego prawd, a potem spojrzymy na Papieża, który tam z Watykanu nieustannie czuwa nad powierzoną sobie owczarnią, zajmuje się wszystkimi jej sprawami, trzyma swą rękę na wielkim sercu Kościoła, by każde uderzenie tego wielkiego serca stało się uderze-

niem jego własnego serca (...), pochylić musimy głowę przed tą wspaniałą postacią prawdziwie dobrego pasterza. Ale już nie tylko Pasterzem — Wojownikiem jesteś, Ojczy nasz Święty, boś w walce ze złem nieugięty. Jak to sam w zeszłym roku powiedziałeś: «Mogą mi życie odebrać, ale nie ustąpię, gdy chodzi o prawo Boże». Nie ustąpiłeś nigdy i muszą się korzyć przed Tobą nieprzyjaciele Twoi, korzyć się przed Twą odwagą, przed Twą siłą — *Fides intrepida!*”

Według najgłębszego przekonania Urszuli, ta wyjątkowa rola Ojca Świętego — prawdziwej opoki Kościoła — niesie dla katolików określone obowiązki, od których nie mogą się oni uchylić. Przede wszystkim winni przy nim wiernie stać i go bronić. Bo tym samym bronią fundamentu swego życia i swej katolickiej wiary. „Widząc to, rozumiejąc to — pisała dalej — my, którzy wierzymy, którzy nie tylko z paszportu (metryki), ale z życia jesteśmy dziećmi Kościoła świętego katolickiego, powinniśmy coraz bardziej przyłgnąć do naszego Ojca Świętego, coraz wierniej stać przy Nim, coraz bardziej być gotowymi Go bronić, coraz to goręcej modlić się za Niego. Tak często, niestety, nawet wśród katolików spotkać się można z obojętnością dla Głowy Kościoła! O, bo się nie rozumie, jak wielki krzyż dźwiga na swych barkach ten Sługa sług Bożych, jak na tym krzyżu Jego ciąży cały świat, jak co minuta ze wschodu czy z zachodu, z południa czy północy spadają Nań nowe gromy, pod którymi ugiąć Mu się nie wolno — bo On stać musi jak Maryja, Matka Jezusa, u stóp Krzyża, stać samotny, On jeden, aby podtrzymać wszystkich”.

Ta wierność Ojcu Świętemu i Kościołowi powinna wyra-

zać się w bardzo konkretnych formach. Nie chodzi przecież o pustosłowie czy zwykłą uczuciowość. Chodzi o czyn. Czyn i postawę katolika. Dlatego też Urszula zwracała się z gorącym apelem do olafitek — swych dawnych i obecnych uczennic: „Dzieci moje, jakbym pragnęła wlać w serca wasze czułą, dziecięcą miłość do naszego Ojca Świętego, miłość, która by streściła się w tych postanowieniach: 1) chcę wier- nie stać przy Kościele świętym katolickim, opierając się zawsze na nieomylności papieskiej; 2) nigdy nie wstydzic się tego, że jestem katoliczką i że wedle wiary mojej żyję; 3) chcę żyć według nauki i wskazówek Kościoła katolickiego, nie według pojęć świata i przepisów mody”.

Artykuł ten pisała Urszula w roku 1932, na dziesięcio- lecie wstąpienia na Piotrowy tron Piusa XI. Rok później opublikowała inny, zatytułowany: *Wielki jesteście Kościele nasz święty, katolicki!* Opisywała w nim potęgę Kościoła obchodzącego Rok Jubileuszowy — 1900 lat od zbawczej śmierci Jezusa Chrystusa. Opisywała z wielką radością i dumą — bo coraz bardziej przeżywała szczęście bycia członkiem tego Kościoła, bycia katoliczką. „A w Watykanie nasz Ojciec Święty, 76-letni starzec, codziennie przyjmuje tysiące, tysiące pielgrzymów. Przemawia jak prawdziwy Ojciec do swoich dzieci, błogosławi (...) i wszyscy wracają «z domu Ojca» uradowani, uspokojeni, uszczęśliwieni. Teraz czują silniej niż kiedykolwiek, żeśmy nie tylko z tej ziemi..., że do nieba dążymy i bezpieczni jesteśmy na tej Opoce Chrystusowej, której piekło nie zwycięży i że pod opieką Piotra-Rybaka, bylebyśmy się Go wiernie trzymali, dopły- niemy do Ojczyzny wiecznej. Tam nie będzie kryzysu, braku

pieniędzy, ani nienawiści, okrucieństwa, zbrodni — tylko miłość, spokój i szczęście wieczne. Dzieci moje, kochajmy nasz Kościół święty katolicki, żyjmy według jego nauki i bądźmy mu wierne. Nie bójmy się, *Christus vincit, Christus regnat, Christus imperat* na wieki, da nam to szczęście, które na wieki nie przeminie!”

Z tą miłością do Kościoła przygotowywała się na odejście z tego świata. W Poznaniu żyją jeszcze osoby, które pamiętają drobną staruszkę w szarym zakonnym habicie, idącą z uśmiechem przez ulice miasta. Z uśmiechem — bo przecież *Christus vincit...*

To było w roku 1933. Któż mógł przypuszczać, że dokładnie pół wieku później, podczas obchodów Jubileuszowego Roku Odkupienia, dnia 20 czerwca, kolejny Następca świętego Piotra o imieniu Jan Paweł II właśnie w Poznaniu, tak drogim jej mieście („Prosiła mnie księżna Ogińska, bym przejęła Dom św. Jadwigi w Poznaniu, mieszczący internat dla niezamożnych dziewcząt z różnych szkół... Szczególnie Poznań bardzo mi się uśmiechał, wszak raz po raz różne interesy wymagały, aby tam być, a bez pied-à-terre było to bardzo niewygodne”), zacznie swą homilię do miliona zgromadzonych na Łęgach Dębińskich pielgrzymów od słów: „«Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego!»?” Któż mógł przypuszczać, że w homilii tej będzie rozwijał wątek o wielkości Kościoła, który przed przeszło tysiącem lat zapuścił tutaj swe korzenie? „Powtórzyłem to wyznanie Szymona Piotra w dniu 22 października 1978 roku, kiedy z niezbadanych wyroków Bożej Opatrzności wypadło mi rozpocząć posługiwanie na Piotrowej stolicy w Rzymie. Dziś je powtarzam

tu, w Poznaniu, w miejscu, w którym wyznanie to najdawniej było wypowiedane na ziemiach piastowskich, po Chrzcie Mieszka w 966 roku. (...) Na tym Piotrowym wyznaniu od początku buduje się Kościół wedle słów Chrystusa: «Ty jesteś... Opoka, i na tej Opoce zbuduję Kościół, a bramy piekielne go nie przemogą». Tak więc wraz z wyznaniem pierwszego w Polsce piastowskiej biskupa, któremu było na imię Jordan, buduje się na tej ojczystej ziemi Kościół. (...) Rozrasta się społeczność tych, którzy w pierwotnym jeszcze ojczystym języku powtarzają Piotrowe wyznanie: Ty jesteś Chrystus, Syn Boga żywego». Któż mógł przypuszczać, na koniec, że do tej społeczności wierzących w Chrystusa i zbudowany przez Niego Kościół w szczególny sposób zaliczy Urszulę? Że on, Następca Piotra — on, Piotr naszych czasów — po raz pierwszy w dziejach Kościoła na polskiej ziemi, właśnie w Poznaniu, wpisze ją w poczet Błogosławionych? „W dniu dzisiejszym pragnę w szczególny sposób błogosławić Pana — ku radości milionowej rzeszy wierzących mówił dalej Papież — ponieważ dane mi jest wśród Was, drodzy Rodacy, dokonać wyniesienia na ołtarze — poprzez beatyfikację — Służebnicy Bożej, Matki Urszuli Ledóchowskiej. Wielka jest zapewne wspólna radość, że w czasie ojczystego jubileuszu Pani Jasnogórskiej, a zarazem w ramach Roku Odkupienia, może dokonać się ta beatyfikacja. Do chwały błogosławionych zostaje wyniesiona Córa znanego polskiego rodu. (...) Wpisując Matkę Urszulę Ledóchowską w poczet błogosławionych, pozostawiamy Ją Kościołowi w Polsce i Zgromadzeniu Sióstr Urszulanek, na chwałę Bożą, ku podniesieniu dusz ludzkich i wiecznemu ich zbawieniu”.

Przez całe swe życie kochała i słała Kościół. Po latach ten sam Kościół odwdzięczył się jej miłością i wyniesieniem na ołtarze. Odtąd wpatrzony w jej przykład zanoszą do Pana błagalną modlitwę: „Boże, Ojczy miłosierny, Ty raczyłeś powołać błogosławioną Urszulę do naśladowania Twojego Syna, którego posłałeś na świat, aby głosił Dobrą Nowinę i dał życie wszystkim, spraw, abyśmy za jej przykładem i przez jej wstawiennictwo przyczyniali się do zbawienia naszych braci...”

Sacra conversazione

Pius X — Rzym, Jerzy Matulewicz — Wilno, Maria Teresa — Rzym, Jan Beyzym — Madagaskar, Jan Baptysta Cieplak — Mohylów i Wilno, Wojciech Owczarek — Włocławek, Kazimierz Rolewski — Poznań, Elżbieta Róża Czacka — Laski k. Warszawy, Władysław Kornilowicz — Warszawa, Zygmunt Łoziński — Pińsk, Aleksander Żychliński — Poznań, Michał Sopoćko — Białystok, Andrzej Roman Szeptycki — Lwów, Jan Zieja — Polesie, Warszawa...

Nie wiadomo, czy ta lista jest pełna. Nie mamy pewności, czy zostały uwzględnione wszystkie miejsca. Chodzi o listę tych osób, które w swym życiu spotkała Urszula i które zostały już ogłoszone świętymi, błogosławionymi, sługami Bożymi, które odeszły w opinii świętości. Chodzi o wykaz tych miejsc, w których spotkali się z Urszulą ludzie niezwykli.

Są to problemy frapujące. Z jednej strony wskazują na niezwykle bogactwo Kościoła przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku, który to okres w ogólnym mniemaniu przeszedł do historii jako okres dekadencji. Prawdziwego *fin de siècle*'u. Ten pokaźny zastęp ludzi świętych jest świadectwem ciągłej żywotności ewangelicznej prawdy — na przekór wszystkiemu. Z drugiej natomiast strony budzi ciekawość: Co czuli, gdy się ze sobą spotkali? Jakie wywarli na sobie wrażenie? Co czuła i co przeżywała sama Urszula?

Te pytania przywołują przed oczy słynny obraz Guido da Pietro, zwanego Fra Angelico, będący głównym obrazem



ołtarzowym w kościele San Marco we Florencji. Przedstawia on siedzącą na tronie Maryję z Dzieciątkiem. Tron Maryi i Dzieciątka otaczają aniołowie, natomiast przed nim kłęczą święci Kosma i Damian. Z boku stoją inni święci. Z jednej strony widać Dominika i Piotra Męczennika, pośrodku nich Franciszka, z drugiej zaś strony Jana rozmawiającego z Markiem, oraz Wawrzyńca. Uderzające w tym obrazie nie jest przede wszystkim to, że Fra Angelico zgromadził na nim postaci pochodzące z różnych, czasowo nieraz bardzo odległych od siebie epok. Taki zabieg można odnaleźć już u artystów wcześniejszych niż Angelico. Istotna nowość polega na czymś innym. Oto bowiem — mimo wyraźnie istniejącej jeszcze symetrii kompozycji, czym Angelico nawiązywał do dotychczasowej tradycji malarstwa gotyckiego — artysta wprowadził swych świętych w pewien ruch. Jego święci nie są od siebie architektonicznie oddzieleni, jak to było jeszcze w malowanym przez niego obrazie *Madonna di Cortona*. Oni się ze sobą po prostu spotkali. Oni ze sobą rozmawiają i dyskutują. W ten sposób Fra Angelico pierwszy wprowadził do malarstwa europejskiego bardzo popularny — zwłaszcza w Renesansie — temat tzw. *sacra conversazione* — świętej rozmowy. W ten też sposób zasugerował nam pewne pytanie: Na czym polega spotkanie świętych? O czym mogą ze sobą rozmawiać? Co ich naprawdę łączy?

Zapewne było to także osobiste pytanie, które nurtowało Fra Angelico. Umarł w opinii świętości i przeszedł do historii Kościoła i do historii sztuki także pod imieniem Beato (Błogosławiony) Angelico. Sława o jego pobożności zacho-

wała się wśród ludzi, skoro w XVI wieku, sto lat po jego śmierci, Giorgio Vasari tak o nim pisał w swych słynnych *Żywotach najslawniejszych malarzy, rzeźbiarzy i architektów*: „Był ten nie dość wielbiony zakonnik w swoich pracach i w postępowaniu najłagodniejszym i najskromniejszym człowiekiem, a w obrazach swych prostym i pobożnym. Święci, jakich malował, mają w sobie więcej tchnienia świętości i bardziej zbliżają się do świętych niż jacykolwiek inni. Miał w zwyczaju nigdy nie przerabiać ani nie poprawiać swoich obrazów, lecz zostawiać je w tym stanie, w jakim powstały za pierwszym razem, gdyż jak sam powiadał, wierzył, że taka była wola Boża. Mówią niektórzy, że brat Angelico nie wziął pędzla do ręki, zanim nie odmówił modlitwy. Nie namalował krucyfiksu nie zapłakawszy nad nim i stąd widzi się w twarzach i ruchach jego postaci świetność jego duszy, wielkiej i utwierdzonej w religii Chrystusowej”. Angelico malował świętych i zapewne sam do nich się zwracał i z nimi rozmawiał. Oddając pędzlem ich niebiańską chwałę, próbował dotrzeć do tego, czym oni żyją w niebie, jaka jest treść ich spotkania w wieczności. Być może sam przygotowywał siebie na spotkanie z nimi. *Sacra conversazione* stała się więc nie tylko i nie przede wszystkim tematem jego obrazu w kościele San Marco, ile raczej problemem jego życia. To musiało znaleźć swój wyraz w jego malarstwie. Stąd Giorgio Vasari, komentując inny jego obraz, *Koronację Matki Boskiej* — a uwagi te w równej mierze mogą się odnieść do obrazu z kościoła San Marco — tak pisał: „wydaje się, że te duchy błogosławione nie mogą inaczej wyglądać w niebie — lub — powiedzmy raczej — nie mogłyby lepiej

być wyobrażone. Wszyscy święci i święte są tam nie tylko żywi, ale i niezwykle delikatnie malowani, pełni słodczy, a koloryt tego obrazu, zaiste, jest dziełem świętego lub anioła. Nie bez powodu nazywano też tego malarza Bratem Anielskim, Frate Angelico”.

Pytanie Fra Angelico podejmowali inni. *Sacra conversazione* — święta rozmowa — stała się ulubionym tematem dla wielu wielkich malarzy włoskich. Dzisiaj to pytanie stawiamy sobie w związku z Urszulą. Na swej życiowej drodze spotykała osoby święte. Rozmawiała z nimi. Co w niej się wówczas dokonywało? Co czuła? Co zabierała ze sobą na przyszłość jako swój duchowy skarb?

Nie chodzi tu o samą tylko treść przeprowadzonej rozmowy. Pod tym względem w literaturze chrześcijańskiej prawdziwym skarbem, a jednocześnie wyjątkowym świadectwem *sacra conversazione* jest następujący fragment *Wyznań* świętego Augustyna, opisujący jego rozmowę z matką, świętą Moniką: „Gdy zbliżał się dzień, w którym miała odejść z tego życia — ów dzień Ty znałeś, a my nie wiedzieliśmy o nim — zdarzyło się, jak myślę, za tajemnym Twoim zrządzeniem, że staliśmy tylko we dwoje, oparci o okno, skąd się roztaczał widok na ogród wewnątrz domu, gdzieśmy mieszkali — w Ostii u ujścia Tybru. Tam właśnie, z dala od tłumów, po trudach długiej drogi nabieraliśmy sił do czekającej nas żeglugi. W odosobnieniu rozmawialiśmy jakże błogo. Zapominając o przeszłości, wyciągając ręce ku temu, co było przed nami, w obecności Prawdy, którą jesteś Ty — wspólnie zastanawialiśmy się nad tym, czym będzie wieczne życie zbawionych, to, czego oko nie widziało ani ucho nie

słyszało, i co w serce człowiecze nie wstąpiło. W tęsknocie otwarliśmy nasze serca dla niebiańskiego strumienia płynącego z Twojego źródła, źródła życia, który u Ciebie jest, abyśmy na tyle zroszeni jego wodą, na ile to było dla nas możliwe, zdołali w jakiś sposób dosięgnąć myślą owej wielkiej tajemnicy. (...) I gdy tak w żarliwej tęsknocie mówiliśmy o niej (tj. o Bożej Mądrości), dotknęliśmy jej na krótkie mgnienie całym porywem serca. Westchnęliśmy i zostawiając przy niej uwiązane pierwociny ducha, wróciliśmy do gwaru naszych ust, gdzie każde słowo zaczyna się i kończy — jakże odmiennie, Panie, od Słowa Twego, które w samym sobie trwa, nie starzejąc się, a odnawiając wszystkie byty”.

Sacra conversazione zawiera w sobie jeszcze jeden, trudny do oddania element treściowy. Człowiek spotykając na swej drodze świętego, zostaje zauroczony jego świętością. Zauroczony i wzruszony. To zauroczenie i wzruszenie przekształcają się w niezmierny podziw wobec samego Boga, który potrafi tak wielkich rzeczy dokonać w człowieku. Wielbi się wtedy przede wszystkim kolejny cud Jego wszechmocy. Ten cud, podziwiany przez innych, wrażliwych na świętość ludzi, sami święci również odnoszą do Boga. Oni najlepiej bowiem wiedzą, jak bardzo są słabi i nędzni — i jak potężna jest w nich Boża łaska, która dokonała w nich tak wielkich rzeczy. Stąd zwracają się do Boga z Maryjnym hymnem *Magnificat*. Musiał o tym dobrze wiedzieć także Fra Angelico, skoro w swej pierwszej *sacra conversazione*, w centrum obrazu umieścił Matkę Bożą z Dzieciątkiem dźwigającym w swej ręczce oznaki królewskiej władzy. Wielkość Maryi

to wielkość Nazaretańskiej Dzieweczki, która dostąpiła tej łaski, iż może na swych kolanach trzymać Jezusa.

Trudno uchwycić wszystkie spotkania Urszuli z ludźmi świętymi. Zachowały się o nich jedynie strzępy relacji. Na pewno wywierali na niej wielkie wrażenie, niekiedy do tego stopnia, że wracała do nich po latach. Tak było, na przykład, w przypadku biskupa Łozińskiego. „Wkrótce po naszym powrocie — po sześcioletnim wygnaniu w Skandynawii — mówiła o swojej pracy na Polesiu — do wolnej Polski, śp. ks. bp Łoziński, ordynariusz diecezji pińskiej, prosił mnie o to, bym w jego diecezji otworzyła domy. Tyle razy mnie o to prosił, nalegał i jakoś nigdy nie doszło to do skutku. (...) Dopiero po jego śmierci zaczęła się praca na Polesiu i coraz bardziej się rozszerza. (...) Mam przed sobą kilka nowych fundacji na Polesiu i wierzę, że przyczyną tego rozwoju tamtejszej pracy jest orędownictwo u Boga śp. ks. biskupa Łozińskiego, którego grób otaczają ze czcią należną świętym, modląc się tam i wyprasząc sobie łaski. Mówi się nawet o cudach, jakie się za jego wstawiennictwem dzieją”.

Wiele też zawdzięczała swej starszej siostrze Marii Teresie, wyniesionej na ołtarze w roku 1975 przez Pawła VI. Maria Teresa była jej najwierniejszą — obok Włodzimierza — powierniczką i orędowniczką jej spraw w Stolicy Świętej. Urszula była przekonana o jej autentycznej świętości. „15 czerwca [1920 roku] wieczorem — czytamy w *Historii Kongregacji* — opuściłam Rzym. Pożegnanie z Marią Teresą, która okazała mi wiele dowodów dobroci, bardzo było bolesne. Co wieczór u niej przesiadywałam. Czasem —

jak zdrowie jej pozwalało — spędzałyśmy czas razem w ogrodzie. Czy ją jeszcze zobaczę? Taka słaba! Któż mógł wtedy przypuszczać, że był to ostatni raz, kiedy moją dobrą, ukochaną, świętą siostrę widziałam”.

Chyba jednak najbardziej przeżywała tajemnicę *sacra conversazione* — świętej rozmowy — z papieżem Piusem X. Dawała temu wyraz stosunkowo często przy różnych okazjach. Po raz pierwszy poznała go podczas audiencji w marcu 1907 roku, kiedy to wyjawiała mu zamiar pracy w Petersburgu. Pius X zapalił się do tego pomysłu. To przesądziło o dalszych dziejach Urszuli. Udała się do Rosji, a papież osobiście interesował się jej dziełem. Już 14 grudnia tegoż roku przesłał jej własnoręcznie skreślone błogosławieństwo: „Umiłowanej córce, Matce Marii Urszuli, i wszystkim drogim siostronom urszulankom w Petersburgu udzielamy z serca Apostolskiego Błogosławieństwa”. Odwiedziła go jeszcze trzykrotnie — w maju 1910 roku, w listopadzie 1911 oraz w czerwcu 1912.

W międzyczasie pisywała na jego temat do siostry. Nie wstydziła się wobec niej ujawniać swoich najskrytszych uczuć. „Czy pójdziesz w tych dniach do Ojca Świętego? — zapytywała w styczniu 1909 roku. — Powiedz mu, że tęsknię za nim, że myśl zobaczenia Go w przyszłym roku dodaje mi mocy i odwagi. Wprost niepojęte to uczucie przywiązania i dziecięcego oddania, które Ojciec Święty wzbudził we mnie. To jakaś niezwykła, tajemnicza ale potężna siła przyciągania”.

Okazało się, że działanie tej „tajemniczej i potężnej siły” nie jest tylko jednostronne, że także i Pius X znajduje się pod urokiem świętości Urszuli. Podczas audiencji w roku

1910 wydarzyła się rzecz niezwykła: papież zaproponował jej swoistą umowę — wzajemną codzienną modlitwę u stóp Jezusa! Widać, odnalazł w niej kogoś duchowo bardzo bliskiego sobie, skoro nie zważając na swój papieski autorytet prosił „zwykłą” siostrę zakonną z dalekiego Petersburga o modlitewną pamięć. Urszula była pod tak wielkim wrażeniem tego pełnego pokory i prostoty gestu, że nie zapanowała nad sobą, wybiegła z pokoju i — zapewne ku wielkiemu zdziwieniu i zaskoczeniu dostojnych prałatów antykamery, którzy byli odpowiedzialni za niczym nie zakłócony przebieg audiencji — przyprowadziła przed oblicze Ojca Świętego siostrę Zaborską. Chciała, by jej wierna przyjaciółka stała się świadkiem tej prawdziwie „świętej rozmowy” — *sacra conversazione*.

Do tego zdarzenia wracała często. Miało ono miejsce 6 maja, a już cztery dni później, 10 maja, Urszula niejako na gorąco pisała do Marii Teresy: „Myślę wiele o Ojcu Świętym i bardzo się za niego modłę. Od ostatniego z nim spotkania nie opuszcza mnie wrażenie, że dusza moja przywarła do niego jak bluszcz do dębu. Jestem pewna, że z jego duszy czerpię moc nadprzyrodzoną. W tym źródło mej radości i pociechy. Kiedy pójdziesz do Ojca Świętego, przekaż mu list z wyrazami mojej wdzięczności. Pragnęłabym, aby wiedział, co uczynił dla mnie podczas rozmowy, choć ja zrozumiałam to dopiero później”.

Zachował się też jej osobisty list do Piusa X z dnia 17 stycznia 1911 roku, w którym pisała o swej modlitewnej jedności z Następcą świętego Piotra: „Modłę się codziennie za Ojca Świętego i coraz więcej cenię sobie naszą umowę

i różaniec, który dał mi Ojciec Święty. Jest on zawsze przy mnie, to mój najdroższy przyjaciel, a gdy jestem udręczona, pociesza mnie myśl, że Ojciec Święty modli się za mnie każdego dnia i że w listopadzie tego roku pojedę do Rzymu...”

Temu zapewnieniu o modlitewnej pamięci i jedności towarzyszy skarga, chyba też typowa dla tych, którzy prowadzą *sacra conversazione*: „Ojcze Święty, chciałabym bardzo, bardzo być święta, kochać Boga z całego serca i modlić się jak święci — lecz nie potrafię, jestem zbyt słaba!” Niecały miesiąc później, 7 lutego, papież jej odpisał: „Niech Pan umocni umiłowaną córkę, matkę Urszulę, w obecnych trudnościach; niech ufa Opatrzności, która zawsze przybędzie jej z pomocą — nawet w największych strapieniach. W tym celu udzielam Jej z serca Apostolskiego Błogosławieństwa”.

Bardzo ją ten kolejny papieski gest dobroci pokrzepił. Na przełomie marca i kwietnia 1911 roku, kiedy na skutek rosyjskich prześladowań była zmuszona usunąć Najświętszy Sakrament z kaplicy w Petersburgu i Merentähti, pisała do siostry: „Przychodzą chwile, gdy mam ochotę wszystko rzucić, wszystko zostawić, wrócić do Krakowa. Tęsknię za odrobiną spokoju, za atmosferą duchową, wypoczynkiem. Nieraz wydaje mi się, że Bóg nie chce tego dzieła, skoro zsyła tyle trudności. A potem znów mówię sobie, że skoro Ojciec Święty jest ze mnie i z mojej pracy zadowolony, trzeba wytrwać w znoju i trudzie aż do ostatniego tchnienia. To na pewno niewygodne, ale to życie chrześcijańskie, życie Jezusa na drodze krzyżowej”.

Urszuli nie chodziło tu tylko o to, że Pius X jest z niej za-

dowolony jako bliski jej człowiek. Widziała w nim przede wszystkim Chrystusowego Namiestnika. Jego przyjaźń była dla niej znakiem szczególnej woli samego Boga. A jednocześnie wielkim wyzwaniem do kolejnych wysiłków i zmagañ. „Otrzymałam Twój liścik z Rzymu — pisała do Marii Teresy. — Nie masz pojęcia, jak byłam szczęśliwa, czytając słowa Ojca Świętego, którego kocham i czczę bardzo. Wydaje mi się, że to sam Chrystus zwraca się do mnie za pośrednictwem Ojca Świętego. Jeśli pójdziesz do niego, przekaż mu całą mą wdzięczność, miłość i przywiązanie. Jego pamięć o mnie podtrzymuje w trudach, jest mą pociechą i radością. Modlę się za niego, myślę o nim. On jest dla mnie jakby wysłannikiem bezpośrednim Chrystusa. Zjednoczona z nim jestem u stóp Jezusa. Chciałabym, aby Ojciec Święty choć trochę wiedział, kim jest on dla mnie”.

Podobny w tonie jest także jej list zapowiadający wyjazd do Rzymu: „Muszę koniecznie spotkać się z Tobą, O. Włodzimierzem i Ojcem Świętym. Z radością myślę o nim. Jezus w niebie, on na ziemi — widzialny pośrednik między Bogiem i biednym robaczkiem. Kiedy się modlę, powtarzam Panu Jezusowi, że znajduję się u stóp Ojca Świętego — a zatem Bóg mnie łatwiej wysłucha, bo nasz Ojciec Święty jest naprawdę święty”.

Na audiencji była 9 listopada 1911 roku. Do apartamentów papieskich przybyła w stroju świeckim. Papież przywitał ją delikatnym żartem: *E questa signora, ha il permesso del governo?* — „A ta pani, czy ma pozwolenie od rządu?” „Ta pani” pozwolenia od rządu rosyjskiego na prowadzenie katolickiego klasztoru oczywiście nie miała, więc papież

udzielił jej i jej siostronom nadzwyczajnych dyspens umożliwiających dalszą ich działalność. Okazał daleko idące zrozumienie dla skomplikowanej sytuacji katolików w Rosji. Mimo wspaniałego nastroju Piusa X, audiencja zakończyła się nieoczekiwanie smutnym akcentem. Na pożegnanie papież powiedział do Urszuli: „Musi matka przyjechać w przyszłym roku, bo za dwa lata z pewnością już mnie nie zastanie”. Widać, czuł zbliżający się koniec. Przedtem jednak chciał ją jeszcze zobaczyć. Takie pożegnanie przed śmiercią zastrzeżone jest zazwyczaj tylko najbliższemu. Urszula musiała zapewne zdawać sobie sprawę z tego wyjątkowego wybraństwa. Święty w jej oczach papież chciał się pożegnać właśnie z nią...

Jak bardzo mu osobiście na tym zależało, świadczy fakt, że sam w jakiejś mierze wymógł na Urszuli kolejny wyjazd z Petersburga do Rzymu. Zima 1911 roku była dla niej ciężka. Zachorowała na tyle poważnie, że już myślała, iż nadeszły jej ostatnie dni. Na szczęście przemogła chorobę. Nieoczekiwanie przyszedł z Wiecznego Miasta telegram od brata: „Jeśli siły pozwolą, niech Urszula przyjedzie do Rzymu. Sanatorium w Nettuno przygotowane. Papież sobie tego życzy. Ledóchowski”. Wyjechała wiosną 1912 roku. W Rzymie usłyszała smutną wiadomość: Ojciec Święty jest chory. Przyjął ją dopiero na początku czerwca. Przywitał — jak zwykle z uśmiechem, ale treść rozmowy była trochę przygnębiająca. Papież wątpił w możliwość dalszej pracy w Rosji. Serdecznie jednak pobłogosławił Urszuli i jej dziełu. „Już więcej nie miałam go zobaczyć” — napisała po latach w *Historii Kongregacji* i w tym stwierdzeniu dosłyszeć można

nutkę żalu. Odszedł od niej ktoś, z kim przez tyle lat prowadziła prawdziwą *sacra conversazione*.

Wiadomość o jego śmierci, która nastąpiła 20 sierpnia 1914 roku, tuż na progu Wielkiej Wojny, przyjęła Urszula z głębokim bólem. „Dla nas był to wielki cios — pisała w *Historii Kongregacji*. — W chwilach tak ciężkich odebrał nam Bóg naszego Ojca, Opiekuna, Protektora. Byłam na requiem u Św. Katarzyny. Z jaką miłością całowałam jego podobiznę wystawioną przed katafalkiem! Odszedł, zostawił nas w biedzie i kłopotcie. Niech odpoczywa w pokoju!” Szybko jednak uświadomiła sobie, że święty Papież wcale jej nie zostawił. Że na pewno przebywa w niebie i właśnie dlatego może się dla niej stać jeszcze bardziej niż dotąd skutecznym Ojcem, Opiekunem i Protektorem. Że ich *sacra conversazione* wcale się nie skończyła, lecz przybrała inną tylko postać. Przecież święci — zjednoczeni w po trzykroć Świętym — są zawsze ze sobą.

Stąd też, kiedy w roku 1919 wybierała się do Rzymu, aby załatwić sprawy rodzącego się Zgromadzenia, pisała do Marii Teresy: „Nie pragnę nic innego, jak przyjechać do Rzymu. Siostrzyczko, wszystko we mnie drży z radości na myśl, że Was zobaczę, Ciebie, O. Włodzimierza, i Ojca Świętego (już nie Piusa X!) i Rzym — ten Rzym, który tak bardzo kocham. (...) Pójdę na grób Piusa X. Wierzę, że On będzie moim protektorem w niebie i nie pozwoli, aby moje dzieło zboczyło z właściwej drogi”.

Nie pozwolił. Pobyt Urszuli w Wiecznym Mieście wiosną 1920 roku zakończył się pełnym sukcesem — powstało jej

Zgromadzenie. A jednocześnie klęcząc u grobu świętego Papieża, Urszula otrzymała od niego kolejny znak nie tylko opieki, ale i nowego zobowiązania. Kolejny znak ciągłej żywotności ich *sacra conversazione*. „Kiedy [Matka] klęczała przy grobie Piusa X — wspominała siostra Brygida Rodziewicz — zbliżyła się do niej jakaś nieznajoma Francuzka i podając kartkę z tekstem rzekła: «Matka tak gorąco się modli, żeby Matka zechciała się modlić za kapłanów». Matka widząc w tym wolę Opatrzności, potwierdzającą osobiste pragnienia jej serca, przyjęła modlitwę jej podaną i po przetłumaczeniu na język polski, wcieliła ją do codziennych modlitw Zgromadzenia. Modlitwą tą: *O Jezu, odwieczny Arcykapłanie...* związała całe Zgromadzenie z wielką ideą współpracy z kapłanami w apostołstwie Chrystusowym”.

Tu wracamy do pytania, które przed wiekami postawił Fra Angelico: Co jest istotą *sacra conversazione*? Kiedy dopiero staje się możliwe to, o czym pisał święty Augustyn, że w żarliwej tęsknocie już na zawsze — a nie tylko na krótkie mgnienie — dotkniemy swym porywem serca Odwieczną Mądrość i będziemy mogli o Niej mówić rozmową bez ludzkich słów mierzonych przemijalnym czasem?

Wierzmy, że *sacra conversazione*, zaczęta przez świętych na tym świecie, osiągnie wieczną trwałość po przekroczeniu progu życia. To dlatego właśnie podczas konania Urszuli Włodzimierz trzymając jej rękę w swojej, mówił: „Siostrzyczko moja kochana. Pan Jezus jest z tobą i idziesz do Niego. Czeka tam na ciebie mamusia i Maria Teresa. Słodkie Serce Jezusa mam ufność w Tobie”.

A my — zadumani przy grobie Błogosławionej, odkrywający prowadzoną przez nią *sacra conversazione* — umacniamy fundament nadziei, że na nas także czekają Urszula i nasi ukochani święci, nasi Aniołowie... Że musimy tylko przekroczyć próg...

Praca

Po przekroczeniu bramy klasztoru w Pniewach ma się wrażenie wejścia do innego świata. Najdziwniejsze jest przy tym to, że początkowo trudno określić, na czym ta inność polega. Odczuwa się ją od razu, a zdefiniować niełatwo. Bo przecież nie chodzi tu tylko — ani przede wszystkim — o czysto zewnętrzny obraz klasztornych posiadłości. Gdzie indziej domy są bowiem bardziej okazałe, a ogrody wspanialsze. A jednak uderza tutaj atmosfera jakiejś zaczarowanej wyspy pośród normalności — czy może raczej nie-normalności — zewnętrznego świata. Naturalnie, nie wszystko można zrozumieć, nie wszystko też da się wypowiedzieć racjonalnym słowem. Ale przecież pragnie uchwycić się i nazwać to, czym człowiek w pewnych miejscach oddycha i czym — nawet nieświadomie — nasiąka. Bo to uchwycenie i nazwanie pozwala zrozumieć siebie. Pozwala także zrozumieć te, które ten klasztor od ponad siedemdziesięciu już lat zamieszkują — Szare Urszulanki od Konającego Serca Jezusa.

Długo się zastanawiałem nad tajemnicą klasztoru w Pniewach. Tajemnica ta tym bardziej stawała się frapująca, im częściej uderzała ona innych — moich przyjaciół czy znajomych — którzy po raz pierwszy przybywali do Pniew. Oni także odczuwali inność świata, w którym się znaleźli. Oni również nie potrafili powiedzieć, na czym ta inność polega. Dziś wydaje mi się, że znalazłem — przynajmniej dla sie-

bie — odpowiedź. Niezwykły świat klasztoru w Pniewach to przedziwna synteza trzech światów — świata modlitwy, świata uśmiechu i świata pracy. Synteza, gdyż te trzy światy łączą się ze sobą w organiczną całość. Nie chodzi bowiem tylko o łatwo postrzegalny tu fakt, że kaplica jest nieustannie



wypełniana modlitwą, życzliwy uśmiech można spotkać co krok, a praca ciągle czeka na każdą z sióstr. Chodzi o to, że te światy tworzą ze sobą nierozzerwalną jedność. Chyba właśnie dlatego będąc w Pniewach ma się poczucie innego świata. Na zewnątrz doświadcza się aż nadto pęknięcia, które wyraża się i streszcza w sponiewieranej, wyśmianej, odłączonej od tajemnicy samego człowieka pracy. Natomiast tutaj panuje harmonia. To ona nas uderza. Ona spr-

wia, że człowiek może być przywrócony sobie samemu. Przywrócony przez pracę.

Całodzienna praca złączona jest tu z modlitwą. To właśnie ten modlitewny gest złożonych i do Boga wyciągniętych siostrzanych dłoni sprawia, że praca nie jest tu wyzyskiem, lecz radosną ofiarą złożoną Panu.

Całodzienna praca złączona jest tu z uśmiechem. To właśnie on sprawia, że otwarte na Drugiego ręce sióstr są znakiem urzeczywistnianej przez nie na co dzień dobroci, a nie narzędziem upokarzającej katorgi.

Praca sióstr, która nie jest wyzyskiem ani katorgą. Praca sióstr, która jest ofiarą i dobrocią. Praca, która wyraża się poprzez dłonie — złożone i wyciągnięte do Boga, a otwarte na Drugiego.

Tajemnica urszulańskiej pracy. Tajemnica pracy Urszuli. Tajemnica jej rąk.

Nie miała „arystokratycznych”, subtelnych, wąskich o długich palcach dłoni. Gdy się ogląda jej zdjęcia nawet z lat młodości, widać wyraźnie ich dość szeroki zarys. Z biegiem lat te dłonie coraz bardziej były naznaczone pracą — zgrubiałe, pokryte żyłami. Pod tym względem uderzające jest jedno zdjęcie wykonane w roku 1924. Pośród gromadki dzieci z Domu Dziecka siedzą obok siebie kardynał Dalbor i Urszula. Dłoń kardynała, długa i szczupła, wychyla się spod narzuconego na ramiona płaszcza. Natomiast tuż obok zgrubiała dłoń Urszuli przytula siedzącego na jej kolanach chłopca. Prawdziwa dłoń matki. Dłoń matki prawdziwej.

Czy często patrzyła na swe spracowane ręce? Czy kiedyś

miała wolną chwilę, by móc się nad nimi zadumać? Być może nie. Nie uważała się za jakąś bohaterkę pracy, nie wypatrywała jej śladów na swych dłoniach. Po prostu pracowała. Nic więcej. Natomiast w pamięci swego otoczenia pozostała jako niezrównany wzór pracowitości, na który patrzono z podziwem, może nawet i świętą zazdrością. Móc tak pracować jak ona! Niejedna z sióstr wiele by za to dała.

Tak było u niej od początków jej zakonnego życia. W klasztorze krakowskim światło do późna w nocy paliło się w jej celi. Jedna z uczennic zanotowała: „Nie widziałyśmy u żadnej z sióstr wyrazu takiego zmęczenia na twarzy, zwłaszcza wieczorem, i zaczerwienionych od bezsenności i pracy oczu, jak to często widywało się u siostry Urszuli”. A mimo to nieustannie zdobywała sympatię radosnym uśmiechem i pogodą ducha. Tak jakby zmęczenie nie wpływało ujemnie na jej psychikę.

Jeszcze bardziej wyczerpujące życie czekało ją w Petersburgu, zwłaszcza wtedy gdy powstała szkoła w Merentähti. Swe zajęcia dzieliła między te dwa ośrodki, co wymagało hartu nie lada, bo z Merentähti do najbliższej stacji kolejowej było ponad 35 kilometrów. „Wszystkie wyjazdy — wspominała siostra Aniela Łozińska — które z konieczności musiały być częste, spadały na Matkę. W trzaskającym mroźnym powietrzu, w małym fińskim trzęsącym wózku, z chłopakiem na koźle, który bardzo często wywracał Matkę do rowu, jechała Matka zawsze niestrudzona, uśmiechnięta na myśl o radości, którą sprawi swym przyjazdem siostronom w Petersburgu, o naszej radości przy powrocie do Merentähti, do którego wiodła wąziutka mała dróżka, wyboista i kamienista, wśród ciąg-

łych małych lasków, a tak pusta, że rzadko spotykało się człowieka. Siostry opowiadały, że w pierwszym roku założenia szkoły w Merentähti, tj. w 1910, Matka dwa razy na tydzień tę podróż odbywała bawiąc trzy dni w Petersburgu i trzy dni w Merentähti, a jeden dzień przeznaczając na podróż, która nieraz trwała pięć godzin i dłużej. Nigdy Matka na tę drogę nie narzekała, nigdy się nie skarżyła”.

Nie oszczędzała się też podczas swego pobytu w Skandynawii: akcja na rzecz Polski, Instytut Języków dla dziewcząt, różnego rodzaju akcje dobroczynne, ochronka dla dzieci w Aalborgu. W *Historii Kongregacji* znajduje się jeden dość szczegółowy opis pewnej wenty zorganizowanej na rzecz jakiejś ochronki szwedzkiej. Traktowała ją jako formę wdzięczności za życzliwość i pomoc okazywaną sprawie polskiej. Wenta bardzo się udała, zebrano dwa tysiące koron, uczestnicy byli zadowoleni. Opis kończy się nieoczekiwanym komentarzem: „Było to straszne umęczenie, a ludzie myśleli, że mnie to bawi!” Zapewne, patrząc na jej twarz, mieli wszelkie dane, by właśnie tak sądzić. Przez cały czas była przecież radosna i uśmiechnięta...

Tak było do końca jej dni. „Pamiętam — wspominała siostra Franciszka Popiel — jak latem 1938 (a zatem za ledwie na rok przed śmiercią) przyjechała Matka do Mołodowa. Co rano wstawała o godzinie 5 wraz z nami, by w kaplicy odprawić dla nas głośną medytację. Po Mszy św. i śniadaniu — rozmowy i interesanci, sprawy, a w międzyczasie listy, listy bez końca! Po obiedzie co dzień nauka, potem pacierze, oficjum, krótki wypoczynek i znowu praca. Po kolacji i pacierzach — rekreacja. Kiedyś przejeżdżała

Matka przez Janów i krótko się tam zatrzymała. Dom był jeszcze nie zamieszkały i nie urządzony. Stół i krzesło, snopek słomy i worek owsa — oto całe umeblowanie. Dwie z nas przyjechały tu właśnie wtedy z Mołodowa, by w ogrodzie coś niecoś posadzić, i akurat miałyśmy szczęście przyjąć Matkę. Cóż to była za radość! Matka wszystko obeszła, wszędzie zajrzała, nawet się przedostała poprzez druty kolczaste na stary cmentarz, by obejrzeć ciekawą kapliczkę cmentarną. Gdy wróciła po tej wyprawie do janowskiego domku, wykorzystwała jeszcze kilka godzin, pozostających do odejścia pociągu, na pisanie listów. Stół stary, koślawy, krzesło skrzypiące, muchy nie dają spokoju, gorąco, ale Matka na to wszystko nie zważa i jak zawsze — pracuje. Nigdy nie zapomnę sylwetki Matki pochylonej nad papierem listowym. Coraz to nowe koperty, jedna za drugą ustawiają się rzędkiem, gotowe do wysyłki, w zeszytiku ewidencyjnym już prawie żaden list nie pozostaje bez odpowiedzi — ale nie ma obawy, że to koniec! Za chwilę listonosz nieubłagany, który nigdy o Matce nie zapomina i wszędzie ją umie odnaleźć, przynosi nową plikę listów. Pokuta pisania listów trwać będzie nieustannie aż do śmierci... U Matki wszystko było zawsze proste i naturalne. Jej życie pokuty i ofiary było dla tych, którzy Matki bliżej nie znali lub nie umieli głębiej patrzeć, omal niedostrzegalne. To było tak naturalne, że Matka tyle nocy spędzała w pociągu, że osobiście na każdy list natychmiast odpisywała, że z każdym rozmawiała, że wcześniej wstawiała i późno się nieraz kładła, że wszędzie było Matce aż za dobrze, że nigdy dla siebie niczego nie wymagała”.

To było tak naturalne... Można by sądzić, że wynikało to z jej umiejętności organizowania sobie dnia — ot, takie pogańskie *nulla dies sine linea*. Że było też — być może — prostym skutkiem jej względnie dobrego zdrowia, mimo chorób, na które co jakiś czas zapadała. „Ja zdrowa, ale kłopotów [mam] bez końca — pisała do Włodzimierza w lutym 1923 roku. — Czasem to mi się już tak nie chce. Trochę spokoju pragnę, a tu ani rusz. Jeżdżę ciągle — wszystkie domy prawie jeszcze potrzebują ciągłej pracy i materialnego postawienia na nogi. (...) Ostatecznie już tak bardzo długo nie będę mogła pracować — już zaraz będę miała 58 lat — to już się starość na dobre zaczyna — ale tymczasem wytrzymuję nadzwyczajnie”. Jednakże w tym samym liście znajdujemy jeszcze inne, głębsze, a dla niej ostateczne motywy jej ciągle na nowo podejmowanych wysiłków: „Pan Bóg dobry, bo daje tę łaskę, że coraz więcej rozumiem, że to wszystko sen, a Pan Jezus jedyną rzeczywistością życia mego — On wczoraj i dziś, i w godzinę śmierci, i na wieki. I to mnie podtrzymuje”.

Dokonywało się w niej zatem przedziwne przestawienie akcentów — trud pracy, zmęczenie, nieraz prawdziwe umordowanie — a więc to, co aż nadto fizycznie doświadczane i odczuwane, jawiło się dla niej jak sen, który przemija. Jak coś niemal nierealnego. Natomiast w pełni realny był dla niej jedynie Chrystus. Chrystus, który przekraczał wymiary ludzkiego czasu i oczekiwał na nią w wieczności. Jedyne On się dla niej liczył.

Kiedy pisała ten list, dojrzywały w niej dzieła, w których zawarła całe swe osobiste posłanie do założonego przez nią

Zgromadzenia — *Testament* i *Dyrektorium*. Tam też znajdujemy jej najpełniejszy wykład na temat pracy. „Jesteśmy służebnicami Pańskimi — czytamy w *Dyrektorium*. — Obok modlitwy praca jest naszą służbą miłości i pokuty, od której żadna z nas wymówić się nie ma prawa, bo jesteśmy Zgromadzeniem dobroczynnym, musimy wspierać, pomagać ubogim”. Nieco dalej natrafiamy na jeszcze jedno znamienne zdanie: „Praca nasza to nasza pokuta, to dalszy ciąg modlitwy — do pracy prowadzi nas nasz ślub ubóstwa, nasz ślub czystości, nasz ślub posłuszeństwa. Praca obok modlitwy — to nasza służba Boża, to nasza Wola Boża”.

Przedziwne jest to związanie przez Urszulę pracy z zakonnymi ślubami. Śluby ostatecznie i całkowicie oddają bowiem człowieka Chrystusowi, Boskiemu Oblubieńcowi. Człowiek je składający pragnie naśladować Jezusa w Jego ubóstwie, w Jego czystości i w Jego absolutnym posłuszeństwie woli Ojca. A jednocześnie oddaje się Jezusowi całkowicie — aby przez jego człowiecze ubóstwo, czystość i posłuszeństwo Chrystus mógł budować na ziemi swoje Królestwo. Naśladowanie Chrystusa i uczynienie siebie Jego narzędziem zbawczym — oto sens zakonnych ślubów, które dla świata ciągle będą czymś do końca niezrozumiałym. Natomiast Urszula czyni ze znoju i zmęczenia pracą prostą konsekwencją ślubów. Zdaje się mówić: zostałam, siostrzo, urszulanką Serca Jezusa Konającego; znaczy to, że musisz pracować na rzecz innych, może nawet i uboższych od ciebie. Co więcej, jeśli chcesz sprawdzić, jak dalece oddałaś się swemu Boskiemu Oblubieńcowi, czyli jeśli pragniesz wiedzieć, jak wiernie wypełniasz swe zakonne śluby, to popatrz na swoją pracę.

Ona powie ci prawdę o tobie. „Zrozumiej [więc] — pisała w *Dyrektorium* — że praca jest pokutą, że do tej pokuty jesteś zobowiązana — a nie będziesz ani uchylała się od pracy, ani na pracę narzekała, ani wybierała pracy według swego upodobania, bądź jak ta lampka przed Tabernakulum — pali się przed Jezusem cichutko — aż się spali, a ty — pal się w pracy cichutko, przed Jezusem i dla Jezusa, aż się spalisz — czy nie piękny twój los?”

„Czy nie piękny twój los?” Zapewne do tego pytania wracała stale, patrząc na swe uznozione pracą siostry. Po ludzku rzecz biorąc, nie oszczędzała ich. Po prostu wysyłała je tam, gdzie akurat najbardziej były potrzebne — na pola, do ochronek, na rusztowania, do fabryk, do szkół. Żadna praca nie była — w myśl jej najgłębszego przekonania — poniżająca, żadna mniej istotna niż inne, żadna niska czy mniej zaszczytna. Natomiast każda była ważna — bo była wyrazem pokuty i zarabianiem „na chleb dla dzieci naszych ubogich”. „Pamiętajmy zawsze — pisała w liście do sióstr 20 maja 1920 roku — nie przyszłyśmy, by tu prowadzić życie łatwe, lekkie, wygodne, nie na to, by sobie życie coraz lżej urządzić, ale na to, by namęczyć się dla Pana Boga i pracować w pocie czoła dla Jego chwały”. Tę konieczność ciągłej pracy opatrzyła nieco żartobliwym komentarzem: „Do pracy przyszłyśmy, dzieci moje — pisała kilkanaście dni później, 7 czerwca — na wypoczynek będzie czas w grobie”. Później jednak, w *Dyrektorium*, wyraziła tę myśl już całkiem serio: „Nie leń się, duszo zakonna, do pracy, nie szukaj odpoczynku — za te parę lat sumiennej pracy odpoczniesz w niebie na wieki”.

Jest rzeczą znamioną, że listy, które pisała z Rzymu do siostr w maju i czerwcu 1920 roku, a zatem wtedy gdy ważyły się losy Zgromadzenia, niezmiennie — niemal aż do znudzenia — poruszały trzy tylko tematy: konieczność wzajemnej miłości siostrzanej, konieczność wytężonej modlitwy i konieczność nieustrudzonej pracy. Jakby od urzeczywistnienia przez siostry tych trzech konieczności miało zależeć uznanie przez Rzym nowego urszulańskiego Zgromadzenia. I gdy uparcie szturmowała watykańskie dykasterie, jednocześnie myślała o swych pracujących w Aalborgu siostrach. Myślała w najdrobniejszych szczegółach. „Prędko już skończy się rok szkolny, niech wtedy każda sobie urządzi mały porządek dnia — pisała do siostr 19 maja, delikatnie im przypominając, że zbliżające się wakacje wcale nie są dla nich czasem odpoczynku — i mi przyśle, pytając się s. Zaborskiej, w czym powinna pomagać, żeby w przytułku pomagać, by ulżyć przytułkowym, w garderobie, bo cerowania jest bez końca. Bardzo bym chciała, by była 1–2 godzin wspólnego cerowania — to nie męczące, a dużo można tak naprzód popchnąć. Nic nie mam przeciwko naukowej pracy 1–2 godzin, o ile to wchodzi w zakres naszej pracy. A z początku trzeba się wyspać, by dalej nowymi siłami pracować. I modlić się, modlić się, dzieci moje — nie mówię godzinami siedzieć w kaplicy, ale modlić się przy pracy, w chwilach wolnych, czekając — zawsze, zawsze [odnawiać] ten zwrot duszy do Boga, choć nam trudno i ciężko i nudno nawet. Modlitwa to praca, to walka, to nawet cierpienie — byleby wytrwać!”

„Byleby wytrwać...” Wiedziała, że nie jest to łatwe —

ta ciągła praca od rana do wieczora. Wiedziała, że następny dzień będzie wyglądał ludzaco podobnie — że znowu będzie czekał ogrom pracy, którą trzeba będzie podjąć z uśmiechem. Że wieczorem będzie już tylko zmęczenie. Że w każdy kolejny dzień będzie tak samo. Aż do samego końca. I że jedynie złączenie takiego życia z ostatnią drogą Skazańca może dać siłę do prawdziwej — o tym też wiedziała — radości. „I [dlatego] ślubami świętymi przybijają się do krzyża — pisała w *Testamencie*, jakby sama była zadziwiona tym cudem siostrzanej wolności, która całkiem dobrowolnie wybrała dla siebie coś tak niezwykłego — i zobowiązują się iść za Jezusem Ukrzyżowanym — ubogie za ubogim Jezusem, spracowane za spracowanym, krzyż dźwigające za krzyż dźwigającym, ukrzyżowane za Ukrzyżowanym...”

Czy nie piękny, szara siostrzo, twój los?

Szkoła

Od roku, od września 1990, do klasztoru pniewskiego wrócił radosny gwar dziewczęcych głosów. Ten gwar dociera niemal wszędzie — dziewczęta spacerują w alejach parku, czasem wesołą gromadą spieszą do „Aniołów Stróżów”, czyli do swego internatu, niekiedy zawitają jeszcze do kaplicy, by pomodlić się przed Utajonym lub pokłonić się Błogosławionej. A budynek, do którego każdego dnia poza sobotą i niedzielą zdążają, tętni pulsem ich szkolnych odkryć, niepokojów, ćwiczeń, klasówek, sukcesów i niepowodzeń. Ten gwar nie zakłóca jednak klasztornej atmosfery, przeciwnie, niekiedy odnosi się wrażenie, że dotychczas jakby go brakowało dla dopełnienia tego, czym Pniewy w swym ostatecznym — to znaczy zamierzonym przez Urszulę — kształcie powinny być.

Ten gwar wrócił tu po prawie trzydziestu latach. Dnia 20 lipca 1962 roku zupełnie niespodziewanie — upłynęło już przecież sporo czasu od zakończenia tzw. wypaczeń stalinowskich w łonie „wiecznie żywej idei Lenina” — do Pniew przybyła grupa pracowników Kuratorium Oświaty, osławionego Urzędu do Spraw Wyznań oraz innych urzędów i wręczyła „Obywatelce Przełożonej Zgromadzenia SS. Urszulanek S.J.K. w Pniewach” pismo zawiadamiające, że na najbliższy rok szkolny 1962/63 nie zatwierdza obywatelki Krystyny Winnickiej na stanowisko dyrektora Prywatnego Technikum Gospodarczego i Prywatnej Zasadniczej Szkoły Go-

spodarczej SS. Urszulanek, samo zaś Technikum zamyka. Swej decyzji nadaje „rygor natychmiastowej wykonalności”. Tym samym obywatelka Winnicka, czyli siostra Augustyna, przestała prowadzić szkołę, która istniała w Pniewach od chwili przybycia Matki Urszuli. Budynek szkoły i dwa budynki internatu zaczęły odtąd służyć Państwowemu Technikum Gospodarczemu i Państwowej Zasadniczej Szkole Gospodarczej. Szkołę oddzielono od reszty klasztoru. Siostram, które musiały przechodzić do dalszej części ogrodu, gdzie mieścił się internat i przedszkole dla dzieci, wytyczono wąską dróżkę pod murem. Wyraźnie chciano je od dziewcząt odizolować. Bo a nuż zaraziłyby się bakcylem takiej szkoły, jaką przed laty wymarzyła sobie Urszula?



Te marzenia nosiła w sobie i precyzowała od wielu lat, właściwie niemal od chwili wstąpienia do klasztoru w Krako-

wie. Już bowiem w okresie nowicjatu mogła pomagać wychowawczyniom w prowadzonej przez urszulanki szkole. We wrześniu 1889 roku podjęła pracę w pełni nauczycielską, ucząc przedmiotów matematyczno-przyrodniczych oraz języka francuskiego i niemieckiego. Po rocznym pobycie w Beaugency, we Francji, gdzie uzyskała dyplomy uprawniające do nauczania języka francuskiego, prowadziła w Krakowie zajęcia z romanistyki. Uczennice były nimi zafascynowane. Jedna z nich, Natalia Horodyska, będzie wspominała po latach: „Matki wykład nie mógł być mniej lub więcej interesujący, porywał zawsze. Wszystko jedno, czy była to lekcja historii sztuki, literatury czy gramatyki francuskiej, z chwilą kiedy swoim szybkim, elastycznym krokiem wchodziła na katedrę i obejmowała klasę bystrym spojrzeniem, przykuwała z miejsca naszą uwagę do swej woli uczenia tego, czego nauczyć chciała. Metody miała swoje własne, przemyślane, przedziwnie konsekwentne i niezawodne w skutkach. Uważała, że wykładowca nie tylko musi znać swój przedmiot, ale musi go umieć wyklądać i nie nudzić nigdy! Dlatego też lubiłam nawet gramatykę francuską, pomimo że jest trudną, a nie cierpiałam łatwiejszej, niemieckiej. Ale bo też umiała matka uczyć tej francuskiej gramatyki. Wymyślała ciągle jakieś nowe tematy ćwiczeń stylistycznych i nowe sposoby stosowania do nich reguł gramatycznych lub ortograficznych. (...) Matka nie tylko umiała, ale lubiła uczyć. Wyczuwałyśmy to dobrze. Na wykładach nigdy nie była zmęczona, zawsze mówiła z niegasnącym zapałem. Nawet wieczorem, w czasie ostatniej rekreacji, kiedy widoczne było na niej utrudzenie pracowi-

tym dniem, jeśli poruszony został temat z jej ulubionych przedmiotów, prostowała się i z ożywieniem komentowała naszą dyskusję”.

Była nie tylko świetnym dydaktykiem, ale i ukochaną przez wszystkie uczennice wychowawczynią. Ilekroć pokazywała się na korytarzu, otaczał ją wianuszek uczennic. Przyjmowała to z wielką naturalnością. Wiedziała, że ją kochają. Ale wiedziała też, że ją kochają właśnie dlatego, iż ona je kocha. Nie żałowała przecież dla nich ani czasu, ani sił. Każdego dnia od godziny trzeciej do szóstej po południu była w swej celi do ich dyspozycji. Wielce sobie ceniła te osobiste rozmowy, podczas których mogła najbardziej skutecznie oddziaływać na swe „małe”, jak je niekiedy żartobliwie nazywała. „Z pracy w pensjonacie — wspominała ją siostra Antonina Żabianka — mam przed oczyma taki miły obrazek: w czasie rekreacji siedzą na ziemi młodsze dzieci i rozkosznie się bawią, a matka Urszula — nie gdzieś z boku, ale wśród nich na niskim stołeczku. Bawi się jak one. Jest rozpromieniona, śmieje się wesoło, cała oddana obowiązkowi, którym Bóg chciał, by w danej chwili Jemu służyła. Była naprawdę dla dzieci kochającą matką, umiała zniżyć się do ich poziomu umysłowego — tak dobrze rozumiała dusze dziecięce! W pensjonacie dla starszych dziewcząt uczennice kochały ją i ceniły prawdziwie głęboko, bo też w ponurych murach zakładu była im słońcem przez uśmiech i radość, jakie wokoło rozsiewała. Widziałyśmy w niej wzór pracy obowiązkowej i przykład pociągającej pobożności. (...) W praktyce [jej miłość Boga] objawiała się wielką cierpliwością, zadowoleniem ze wszystkiego, umar-

twieniem, a przede wszystkim ciągłą gotowością do służenia innym z przekreśleniem osobistych planów”.

Po dwudziestu jeden latach pracy w Krakowie Urszula udała się do Petersburga, by tam prowadzić internat dla dziewcząt przy polskim gimnazjum żeńskim. Jednakże wkrótce jej ulubioną placówką stała się założona przez nią w roku 1908 szkoła w Merentähti. Początkowo przyjeżdżała do niej z Petersburga każdego tygodnia na dwa, trzy dni, później jednak, wobec prześladowań władz carskich, osiadła w Finlandii na stałe. Do stolicy imperium przybywała już tylko w razie konieczności. Merentähti było prywatnym gimnazjum z rosyjskim językiem wykładowym. Uczennice musiały więc zdawać egzaminy do następnej klasy w państwowych szkołach rosyjskich. Zdawały jednak bez trudu. Poziom szkoły był wysoki. Jej urok polegał nie tylko na tym, że można w niej było uczyć tajnie języka polskiego, historii i literatury polskiej. Cały system szkoły — opracowany przez Urszulę — służył kształtowaniu charakterów, a nie tylko poszerzaniu samej wiedzy. Zwykle lekcje przedpołudniowe kończyły się spacerami konwersacyjnymi z nauczycielkami języków obcych. Natomiast po obiedzie odbywały się spacery nadmorskie, służące zdobywaniu sił fizycznych. W zimie jeżdżono na nartach. „Czasami — wspominała siostra Eryka Monkiewicz — szczególnie jesienią, spacer zamieniał się na «ciężkie roboty», jak kopanie ziemniaków z m. Urszulą na czele, układanie drewna opałowego w szopie, sprzątanie po letnich budowach, itp. Była to praca uczciwie wykonywana, a nie zabawa w pracę. Wracałyśmy do domu zmęczone, ale radosne. Garnęły się do pracy nawet najsłabsze dziewczęta.

Po ruchu na świeżym, nieraz bardzo mroźnym powietrzu przygotowane posiłki szybko znikwały z talerzy”.

Wieczorem czekała na wszystkich rekreacja z Urszulą. Chyba najbardziej oczekiwany przez wszystkich punkt całego dnia. „Rekreacje należały — wspominała po latach siostra Pia Leśniewska — do najlepszych chwil w ciągu dnia. Matka przychodziła czasem z jakąś książką, zwyczajną powieścią i czytała. Przerzywałyśmy czytanie uwagami, rozwijała się dyskusja. Naprowadzała i kończyła konkluzją budzącą to, co najlepsze w duszy dziewcząt. Innym razem rozmawiała z nami na różne tematy, opowiadałyśmy o swoich sprawach, snułyśmy wspomnienia z domu, przedstawiałyśmy nasze problemy. Matka słuchała, odpowiadała i nieznacznie kierowała rozmowę na tematy głębsze. Przejście od spraw codziennych do poważniejszych następowało tak prosto i naturalnie, że nie spostrzegaliśmy, kiedy zmieniał się temat rozmowy. Forma opowiadań Matki była żywa, interesująca, pobudzająca wyobraźnię, nasze umysły i serca, i na długo pozostawała w pamięci. Rozmowa z Matką przynosiła spokój, pozwalała uzyskać równowagę duchową, wyzbyć się gryzących trosk, czasami zrzucić z siebie ciężar przewinień”.

Ten iście sielankowy obraz Merentähti przerwał wybuch Wielkiej Wojny — w samym środku lata, 1 sierpnia 1914 roku. Urszula, mająca paszport austriacki, musiała opuścić terytorium rosyjskie. Siostra Zaborska doradzała wyjazd do Krakowa. „To długo nie potrwa — mówiła, pewna swych czysto rozumowych racji. — Ludzie już nie są dziś tacy niemądrzy, by dać się zabijać. Parę tygodni minie i wróci pokój, a tymczasem dopomoże matka w Krakowie siostram”.

Nie wiadomo, w jakim stopniu te jej przerażająco naiwne racje podzielali inni mieszkańcy Merentähti. W każdym razie, nawet jeśli wyjazd Urszuli miał trwać zaledwie kilka tygodni, to i tak był to dla nich wyjazd właśnie o tych kilka tygodni za długi. „W Merentähti — pisała Urszula w *Historii Kongregacji* — wiadomość ta wywołała straszny ból: «Matuchna wyjedzie!» Przecież dzieci moje tak mnie kochały i wiedziały też, jak ja je Kocham”.

Trzeba było opuścić ukochane dzieci i udać się na tułaczkę do Szwecji. I tam szukać nowych dzieci, którym pragnęła przekazać choć cząstkę swej wiedzy i swego serca. Które chciała wychować na porządnych i uczciwych ludzi. W Djursholmie założyła Spräkinstitutet — Instytut Języków Obcych dla skandynawskich dziewcząt. I choć oceniała je dość krytycznie — „nasze panny były miłe, ale to nie polskie natury. Płytkie, (...) jedno miały w głowie: bawić się, stroić, «have del bra» — jak mówią. (...) Ale w kontaktach z nami były bardzo miłe” — to tym bardziej nie rezygnowała z ważkich zadań wychowawczych. Co więcej, chciała, aby jej wychowanki same były tych zadań świadome, by zastanawiały się nad sobą i własne postępowanie poddawały krytycznej analizie. „Tak niedawno, moje drogie dzieci — mówiła na zakończenie roku szkolnego — przybyłyście do naszej szkoły, ażeby nauczyć się języków, zdobyć wiedzę i w ten sposób stać się pożytecznymi członkami społeczeństwa. Czas ten przeszedł tak szybko. Nasuwa się teraz pytanie: co te minione dni, tygodnie, miesiące wam dały? Powinny były pogłębić świadomość celu życia, zrozumienie, że życie ma swój kres, że jesteście odpowiedzialne za każdy wasz czyn. Czy

przyniosły one to wszystko? Każda z was powinna sama sobie dać na to pytanie odpowiedź. Ufam, że miniony rok pozostawił w waszych duszach zrozumienie obowiązku. Młodość lubi zabawy, młodość często myśli, że powinna być wolna od obowiązków. Tutaj spotykałyście się z czymś zupełnie innym. Nie mogę powiedzieć, że wasze życie było bardzo poważne, ale w każdym razie miałyście swoje obowiązki i powoli przyzwyczałyście się do ich wypełniania”.

„Tutaj spotykałyście się z czymś zupełnie innym...” Urszula nie mogła wprost powiedzieć skandynawskim dziewczynom, że chodziło jej o coś więcej niż tylko o wpojenie poczucia obowiązku. Że w sposób bardzo delikatny, ale i przejrzysty, chciała im pokazać, iż prawdziwym fundamentem dla człowieka odpowiedzialnego za swoje życie jest jego odniesienie do Boga. „Nasze stosunki nie rozwijały się na podłożu religijnym — stwierdzała realistycznie w *Historii Kongregacji*, choć można w tym odczuć także nutkę jej osobistego żalu. — Były to obojętne religijnie protestantki. Nie starałam się ich — jak to często za granicą bywało w klasztorach — na katolicyzm nawrócić. (...) [Z drugiej strony] nie kryłyśmy się z naszą wiarą przed uczennicami. Kaplica, nasze nabożeństwa stały dla nich otworem. Staralam się te płytkie umysły trochę pogłębić — i na tym koniec. Wierzę, że niektóre z naszych uczennic w późniejszym wieku zastanawiały się nad tym, co u nas widziały. O paru z nich wiem, że przeszły na katolicyzm dostawszy się do kręgów katolickich. Ufam, iż ziarenko rzucone prawie niezauważalnie swoje z czasem zrobiło”.

Wydaje się, że gdy zaczęła organizować szkołę w Pnie-

wach, przyświecała jej podobna myśl. Tak jakby chciała powiedzieć swoim nowym uczennicom: „tu macie się spotkać z czymś zupełnie innym”. Zupełnie innym — to znaczy dalekim od nieosobowego rygoru szkoły, zainteresowanej jedynie sumą przekazanej wiedzy. Szkoła w Pniewach miała być przedłużeniem domu, a jednocześnie prawdziwą kuźnią polskości, i to polskości bardzo szeroko pojmowanej, obejmującej także — a może przede wszystkim — wymiar religijny, tak smutnie nieobecny w Spräkinstitutet. Stąd w centrum jej wychowawczych celów stała postać matki, tak często deprecjonowana przez „postępowe” ruchy feministyczne i emancypacyjne. „Wychowywać dziewczęta — pisała później w *Dzwonku Św. Olafa* — to znaczy wychowywać matki rodzin. Wszak wiemy, że przyszłość narodu nie tyle w ręku naszych polityków, ile w ręku matek spoczywa. Na kolanach świętej matki wychowują się świątobliwi kapłani, dzielni urzędnicy państwowi, bohaterscy obrońcy Ojczyzny. Do tej pracy wychowawczej potrzeba ludzi, ludzi dobrej woli, o wielkich ideałach... O ile kochamy Ojczyznę, o tyle ta sprawa obchodzić nas powinna...”

Takimi ludźmi dobrej woli, takimi wychowawcami z prawdziwego zdarzenia miały być najpierw jej siostry. Stąd stawiała im niełatwe wymagania. Wymagania, w których osobista świętość miała iść w zawody z dobrocią. W których dobroć miała wypływać ze świętości i ją na co dzień potwierdzać. „Urszulanki Najświętszego Serca Jezusa Konającego — pisała w *Konstytucjach* — których głównym celem jest wychowanie i nauczanie dzieci i młodzieży żeńskiej, powinny prowadzić życie świątobliwe, aby mogły służyć

za wzór tym, które im powierzono. Bo jakżeby mogły zachęcać inne do wykonywania cnót, których by same nie posiadały, albo ganić błędy, którym by same podlegały? Konieczną więc jest rzeczą, ażeby Urszulanki N.S.J.K. żyły tak, aby wychowanki widziały w nich wzór życia, jakie prowadzić powinny, i żeby sama obecność sióstr była zachętą do pełnienia cnót i wykonywania dobrych uczynków”. Temu siłą rzeczy nieco prawniczemu ujęciu towarzyszył gorący apel, jaki częstokroć kierowała bezpośrednio do swych duchowych córek: „[tylko] bądźcie mi dobre!” Częściej jednak ujmowała ten apel w formie, która dotyczyła także i jej samej i która od razu przywoływała na myśl asyckiego Poverella: „Bądźmy dobre, do dobroci trzeba się przyzwyczajać, wprawiać się w nią. Na wzór Boskiego Mistrza bądźmy dobre i dla dobrych i dla złych, wielkich i małych, dla dzieci i dorosłych, dla sióstr naszych i obcych. Bądźmy dobre dla zwierząt, kwiatów, dla wszystkich stworzeń, bo każde z nich Bóg stworzył w swej dobroci”.

Były dobre, wraz z nią, pierwszą — aż do roku 1924 — dyrektorką pniewskiej szkoły. To nic, że początkowo warunki były bardzo skromne, by nie rzec wprost: prymitywne. Dziewczęta musiały przyjechać z własnymi łózkami, materacami, miednicami, dzbankami na wodę. Brakowało bowiem najbardziej podstawowych sprzętów. Nie brakowało natomiast humoru i radości. Dobroć sióstr wynagradzała wszelkie niedostatki. I to sprawiło, że Św. Olaf, jak powszechnie nazywano tę szkołę, dynamicznie się rozwijał. Uczennic przybywało. Jeśli w pierwszym roku szkolnym 1920/21 było ich zaledwie 12 (przy końcu roku 22), to w dru-

gim już 44. W dalszych latach ich liczba wahała się między 70 a 80. Po wojnie przekroczyła nawet 200. Należenie do Św. Olafa stało się marzeniem wielu dziewcząt. Ze swoistą dumą nazywały się też olafitkami — i tak już pozostało po dzień dzisiejszy.

Dobroci siostr towarzyszyła troska o ciągle polepszanie standardu materialnego szkoły. A może po prostu była ona kolejnym jej przejawem? Pytanie czysto retoryczne. W każdym razie co rok przybywało w szkole coś nowego: obszerne skrzydło wraz z salą rekreacyjną, pracowniami, sypialniami, kuchnią, mleczarnią, laboratorium chemicznym, odnowiony pensjonat, cukiernia, biblioteka. Po jakimś czasie rozbudowano dom pod wezwaniem św. Kalasantego, w którym umieszczono prawdziwy cud ówczesnej techniki: dynamo i akumulatory zapewniające elektryczne oświetlenie. A tuż obok znalazło się pomieszczenie na własną drukarnię. Również park zmienił swój wygląd. Zasadzono liczne drzewa i krzewy — świerki, brzozy, jaśminy, akacje i bzy, połączono go z ogrodem piękną aleją, pełną słońca i piasku, którą uczennice nazwały Sahara. Był to ulubiony teren ich codziennych spacerów. Po kilku latach aż trudno było uwierzyć w pierwotnie panujący tu prymityw. „Inaczej wszystko wtedy wyglądało w Św. Olafie — wspominała Urszula z okazji pierwszej okrągłej rocznicy tej placówki. — Cofając się myślą wstecz 10 lat, widzimy przed sobą te dwa stosunkowo bardzo małe jeszcze domki, klaszterek o czterech pokoikach z malutką kapliczką, pensjonat — niby duży — o czternastu pokojach: większych, mniejszych i malutkich. Naprzeciw «Św. Stanisława» (tak się nazywał sam budynek

szkolny) — czerwona parterowa rudera, przeznaczona na ochronkę, obok duża szopa, gdzie wszystko się umieszczało, co w domach miejsca nie znalazło (...); dalej coś w rodzaju ogrodu, w którym były wykopane głębokie «jary» dla wydobywania piasku”.

Miejszem, które skupiało i jednoczyło ze sobą siostry i olafitki, była kaplica. Uroczyście poświęcona przez biskupa Łukomskiego 31 maja 1922 roku, kryła Skarb, który promieniował swą cichą, nieustanną obecnością — Najświętszy Sakrament. Wprawdzie szkoła miała dawać uczennicom wykształcenie zawodowe, to znaczy kształcić kobiety, które dzięki zdobytym umiejętnościom, praktyczności i oszczędności mogłyby skutecznie wpływać na obraz nowej generacji społeczeństwa polskiego, ale Urszuli zależało także bardzo na tym, by wychodziły z niej jako wierne córki Kościoła. Nie wymagała od olafitek niczego ponad to, do czego zobowiązywał je Kościół. Jednocześnie jednak samym swym stylem życia i pracy zachęcała je do większego i coraz głębszego związania z Jezusem. Tego również wymagała od sióstr. „Przyjaźń z Bogiem — analizowała po latach swój pobyt w szkole Wiesława Lewicka — polegała na tym, aby «tego samego chcieć, co Bóg, i tego samego nie chcieć». Wydaje mi się, że właśnie w «Olafie» zrozumiałam, czym jest moralność chrześcijańska. (...) Zrozumiałam, że tolerancja jest bardzo ważnym elementem stosunków międzyludzkich, że jest ona fundamentem postawy chrześcijańskiej. Życie religijne w naszej szkole toczyło się według planu, którego myśmy w ogóle nie odczuwały. W praktykach religijnych czuło się specyficzny urszulański styl. Jak powiedziała nie-

dawno jedna z moich koleżanek o siostrach wychowawczy-
niach: one po prostu takie były, a myśmy ich cechami na-
siąkały”.

Nasiąkały ich pobożnością i nasiąkały ich dobrocią. Ur-
szuli bardzo zależało na tym, żeby olafitki umiały zawsze
dojrzeć obok siebie ludzi potrzebujących. Szkoła — przez
swoją specyficzną atmosferę — miała ich nieustannie uwrażli-
wiać na Drugiego. Uczennice pomagały więc w nauczaniu
i wychowywaniu przebywających na terenie klasztoru dzieci,
urządzały przedstawienia, loterię fantową i bufet, by wspo-
móc chłopców kształcących się na księży, organizowały
obiady dla bezrobotnych w Pniewach, myślały o ubogich
urszulańskich placówkach na Kresach Wschodnich. *Dzwonek Św. Olafa* zamieszczał co jakiś czas wzruszające podzię-
kowania. „Drogie, kochane Olafitki — pisała siostra Maria
Januszkiewicz z dalekiego Bereźna na Wołyniu. — Choć
nie znam Was wszystkich, jednak do głębi wzruszona jestem
dobrocią Waszą dla dzieci moich w Bereźnie. W tym roku
też tak obfite dary przysłałyście, że nie wiem, jak Wam dzie-
kować... Każde dziecko dostało, dzięki Wam, nowe ubran-
ko. Z choinki i łącznie z nią urządzonej loterii z przysłanych
przedmiotów korzystały nie tylko dzieci z domu dziecka,
ale i uboższe dzieci z miasta. Zazdroszczą inne ochronki
takich opiekunek...”

Nie wiadomo dokładnie, ile ich jeszcze zostało. W każdym
razie dwukrotnie w ciągu roku pokaźna ich gromada spo-
tyka się ze sobą w Pniewach — na Zesłanie Ducha Świętego
i na Niepokalane Poczęcie. I mimo że niektóre z nich są
już w daleko posuniętym wieku, szukają wzrokiem swych

dawnych wychowawczyń i nauczycielek — zwłaszcza siostry Urszuli Anieli Puczyłowskiej, dyrektorki jeszcze z czasów Błogosławionej — by ją, już staruszkę, serdecznie przywitać, a może nawet — jak za dawnych wspaniałych czasów bywało — jeszcze się do niej przytulić. By podziękować za otrzymaną wizję życia. By móc razem zaśpiewać *Olaficki Hymn*, który tak dobrze oddaje ducha założonej przez Urszulę szkoły:

Pójdziemy naprzód, naprzód wciąż,
Choć drogę skryje zmrok,
Zdobywać pracą chcemy świat,
Do słońca wznosząc ufny wzrok.

Niech blaski jasnych zórz
Nie gasną w chwilach burz!
Młodzieńczy zapał wpośród nas,
Choć morze życia grzmi,
Nie straszny dla nas gromu czas,
Gdy ideału gwiazda lśni.

Radośnie w życia bój
Na pracę, trud i znój!
Nasz olaficki zwarty huf
Niech błogosławi Bóg,
Miłości, wiary z naszych dusz
Nie wydrze żaden, żaden wróg!
Niech blaski jasnych zórz
Nie gasną w chwilach burz!

Droga Krzyżowa

Kaplica w Pniewach to Najświętszy Sakrament, Sarkofag Błogosławionej i Droga Krzyżowa. Nie ma niemal chwili, w której by zabrakło jakiejś siostry adorującej Wystawionego, klęczącej przy grobie Założycielki, czy też powoli idącej śladami Skazańca. Tajemnica modlitewnego charyzmatu urszulanek szarych ujawnia się tutaj w sposób szczególnie uderzający. Jest to charyzmat wyznaczony przez Urszulę. Każda z jej duchowych córek wstępuje po prostu w jej ślady, odkrywając w swym osobistym życiu przedziwną mądrość tej właśnie drogi do Oblubieńca. Mądrość i skuteczność. Jej nieomylnym znakiem jest radość wypisana na ich twarzach. Tej radości się nie nakaże ani nie wyćwiczy. Jest to bowiem radość, której swoim oblubienicom udziela Umiłowany. Jest to jednocześnie radość, którą się zdobywa wytrwałym podążaniem za Nim. Ta radość łączy się z wdzięcznością wobec Urszuli — że nauczyła tak wspólnie drogi życia.

Kochała Drogę Krzyżową. Znajdowała w niej pokrzepienie i siły. 22 października 1914 roku, podczas swego sztokholmskiego wygnania, pisała do Włodzimierza: „Wiem, że wygnanie strasznie ciężkie dla mnie: siedzę w tych czterech ścianach, daję lekcje, (...) dużo modłę się. A jak serce boli, że aż się kurczy, nigdy nikomu nie mogę słówka powiedzieć — idę do kościoła i odprawiam Drogę Krzyżową, nie tyle modląc się, jak cierpiąc z Panem Jezusem...”

Jej nabożeństwo do Ukrzyżowanego kształtowało się przez całe życie, ale na pewno jeszcze bardziej się wzmogło, gdy rzymska Kongregacja, dla odróżnienia Zgromadzenia założonego przez Urszulę od istniejącej już gałęzi urszulańskiej pod tym samym mianem, zmieniła projektowaną nazwę „Urszulanki Serca Jezusowego” na nazwę „Urszulanki Serca Jezusa Konającego”. Jak pisze siostra Brygida Rodziewicz, Urszula, „chcąc wprowadzić nas w mękę Jezusa, napisała medytacje na każdy piątek miesiąca i specjalne na okres Wielkiego Postu — pełne ducha miłości nie uczuciowej, ale w czynie się objawiającej. Ułożyła nadto Drogę Krzyżową dla sióstr. Zachęcała nas w naukach i pismach swoich do codziennego odprawiania Drogi Krzyżowej, choćby 5–7 minutowej, by uczyć się w krzyżu znajdować «szczęście nieba wśród cierpień ziemi» — jak się wyrażała”. To wspomnienie uzupełnia siostra Edwarda Wojno: „Specjalnie dla odprawiania Drogi Krzyżowej miała koronkę z czternastoma krzyżkami i paciorkami do odprawiania jej w podróży. Koronka ta dostała mi się po śmierci Matki i trzymam ją jako drogą dla mnie relikwię”.

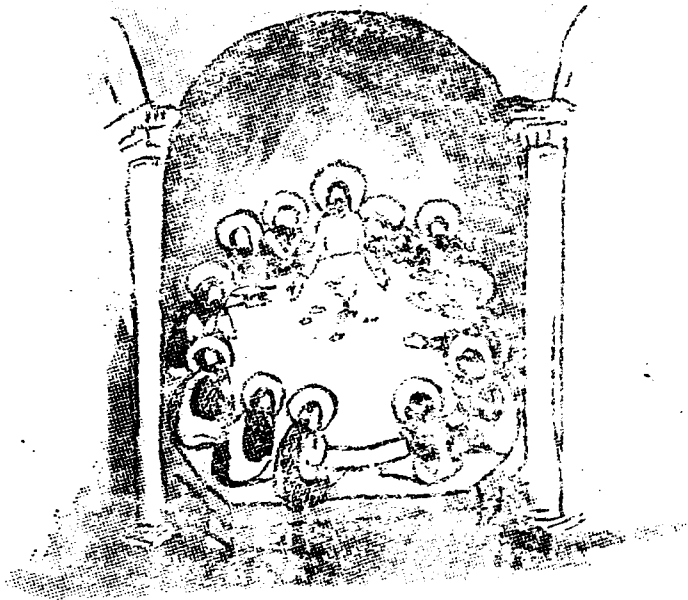
Będąc w kaplicy w Pniewach nie sposób nie zagłębić się w urszulańską modlitwę i nie wyruszyć za Skazańcem. Wówczas — gdy przed oczyma z wolna przesuwiają się piękne obrazy namalowane przez Annę Grocholską — ma się przedziwną świadomość jedności z Nim i z Błogosławioną. Świadomość tej samej Drogi.

Ostatnia Wieczerza

Do końca ich umiłował. I dlatego, biorąc do ręki chleb, powiedział, że jest to Jego Ciało, które za nich będzie wydane. I dlatego, biorąc do ręki kielich z winem, powiedział, że jest to Jego Krew, która będzie wylana na odpuszczenie ich grzechów.

Zapowiadał, co Go niebawem spotka, a jednocześnie podkreślał, że nie jest to żadne fatum ani też wynik zdrady ucznia i tajemnego spisku wrogów. Owszem — też. Ale nie przede wszystkim. Przede wszystkim bowiem ich umiłował — i dlatego sam siebie wyda za nich. Dla zbawienia świata.

Miłość, która wzywa do podobnej miłości.



My, służebnice Serca Jezusa Konającego zwróćmy wzrok nasz do krzyża, żeby zrozumieć pragnienie tego Serca Konającego. Wpatrujmy się w to Serce! Otoczone płomieniami miłości, które nam przypominają: „Kochajcie, jak ja Was kochałem”, ciernie Je okalają i zdają się na nas wołać: „Czyńcie pokutę, tak jak ja pokutowałem”. Miłość, pokuta, oto nasz obowiązek, nasza służba Boża! Duch miłości, pokuty w modlitwie, w pokorze, w miłości bliźniego, w pracy twardej często niemilej, w krzyżu życia zakonnego, w cierpieniu, miłość, pokuta od rana do wieczora, zawsze i wszędzie! (Dyrektorium)

Stacja I

„Oto Człowiek” — rzekł Piłat wyciągając rękę w stronę ubiczowanego Jezusa z cierniową koroną na głowie. Oto prawda o człowieku, która staje się największym i nieustannym wyzwaniem dla całej ludzkiej historii.

Jest to prawda przez wielu odrzucana — żadne najbardziej nawet oczywiste argumenty, żadne wyświadczone dobro nie pomniejszą nienawiści: są ludzie, którzy nie zadowolą się Chrystusem umęczonym, owszem, będą domagać się Jego całkowitego unicestwienia.

Jest to prawda przez wielu przyjmowana z wdzięcznością, ponieważ pozwala do końca zrozumieć sens naszych wysiłków, sens cierpienia, sens poświęcenia. Ponieważ pozwala przyjąć tajemnicę śmierci. Ponieważ pozwala jeszcze żywić nadzieję.

Trzeba uwierzyć w Chrystusa, aby pojąć wielkość własnego człowieczeństwa.



Gdybyśmy mieli silną wiarę, taką wiarę, co nie tylko wierzy, ale z pewnością wie, że Pan nie opuści, bylebyśmy prosili gorąco, ufnie i wytrwale — cuda ujrzelibyśmy, cuda łaski, miłości, miłosierdzia Jezusa, który nas więcej kocha, aniżeli my Go kochamy, który chce naszego dobra więcej, szczerzej, goręcej, aniżeli my go chcemy. Ufności nam potrzeba, tej dziecięcej ufności, która serca napęlnia pogodą i spokojem i która z serca wydobywa modlitwę wiary, przenoszącą góry. (Dzwonek Św. Olafa)

Stacja II

Na barki Jezusa zwalają ciężki krzyż. Przyjmuje go z pokorą i całkowitym poddaniem się woli Ojca. On się przecież

na to narodził i na to przyszedł na świat, aby — gdy nadejdzie pełnia czasu — wziąć go i donieść aż na Golgotę: dla zbawienia świata. Teraz właśnie nadeszła pełnia tego czasu.

Formuje się przedziwny orszak. Najpierw Jezus ze swoim krzyżem, dalej oprawcy, następnie sędziowie i oskarżyciele Jezusa czuwający nad sprawnym przebiegiem Jego egzekucji. Na koniec Bliscy, przyjaciele, współczujący.

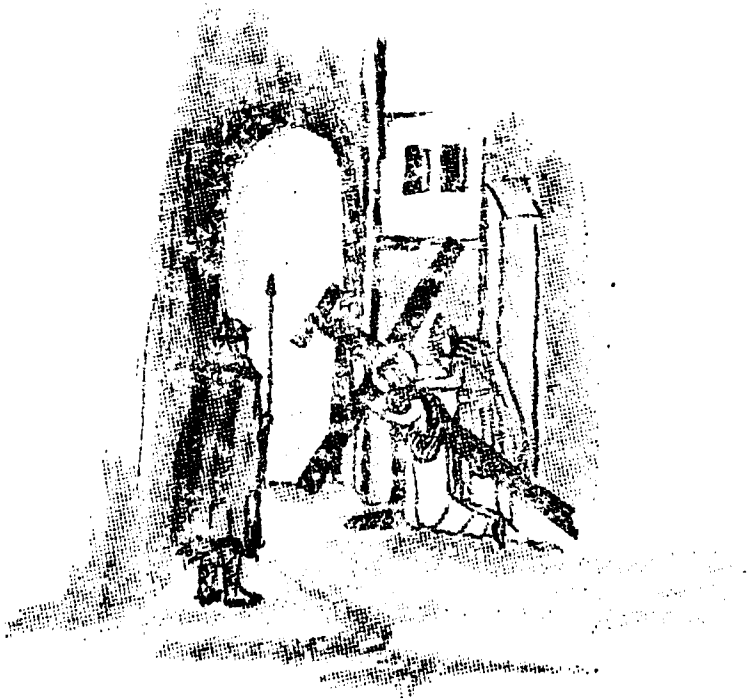
Jest to orszak, który idzie przez całe dzieje świata. Każdy z nas ma w nim właściwe sobie miejsce. Jakie? Oto najważniejsze pytanie naszego życia.



I dlatego niektóre dusze, dusze zakonne, zobowiązują się (...) iść za ubogim Jezusem, spracowane za spracowanym, krzyż dźwigające za dźwigającym. (...) I dlatego dla duszy zakonnej krzyż całym szczęściem, całą miłością, krzyż wszystkim! Porzuciła świat i wszystko, co świat dać może, a w zamian otrzymała krzyż, a w nim wszystko, czego człowiek pożądać może. (Testament)

Stacja III

Już po kilku krokach okazało się, jak bardzo ciężki to krzyż. Już po kilku krokach wyszło na jaw całe Jego osłabienie. Wystarczyło niewiele — bardziej wystający kamień na drodze — by stracić równowagę i boleśnie upaść na kolana. I nagle — nieoczekiwanie — Jezus poczuł na swym ramieniu czyjąś rękę. Rękę żołnierza, który Go podtrzymał i uchronił przed całkowitym zwałeniem się twarzą na bruk. Ten niespodziewany i pomocny gest pokazał, że chyba nikt nie jest do końca oprawcą Drugiego. Że — co więcej — w doświadczeniu osobistej słabości można i należy liczyć na Drugiego. Nawet tego, który wydaje się bardzo daleki.



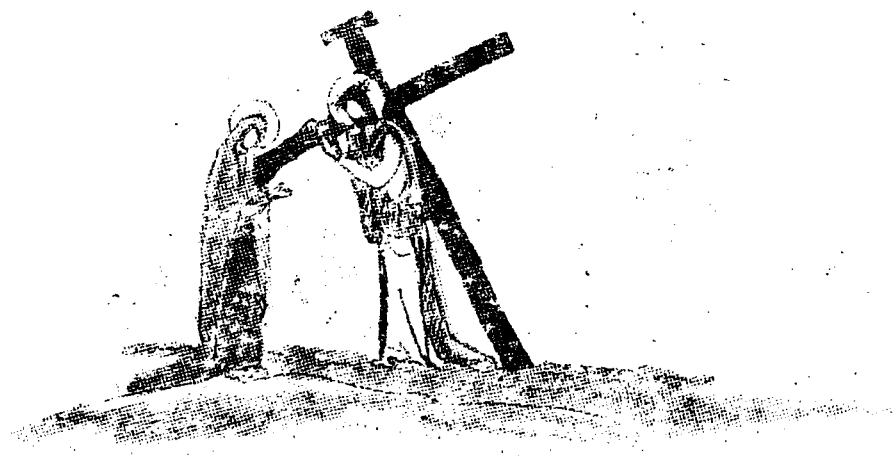
*Żyćcie, Dzieci moje, dla szczęścia innych, na pociechę Ko-
jącego Serca Jezusa, a tak cicho ćwicząc się w miłości*

siostrzanej wyrobicie w sobie taką siłę miłości, która uczyni Was zdolnymi do heroicznych ofiar, gdyby Pan Jezus takich od Was się domagał. (Testament)

Urszulanki Serca Jezusa Konającego pójdą chętnie pracować tam, gdzie pachną rynsztoki. (W odpowiedzi na zaproszenie biskupa Wincentego Tymienieckiego do pracy w Łodzi)

Stacja IV

To nieprawda, że pojawiła się dopiero w tym momencie. Ona była z Nim od początku. To tylko żołnierze, oskarżyciele, tłum gapiów oddzielali Ją fizycznie od Niego. Ale Ona była zawsze razem z Nim. Tak jak Matka jest zawsze ze swoim Dzieckiem. Matczyne serca nikt i nic nie jest w stanie oderwać od Tego, którego wydała na świat i któ-



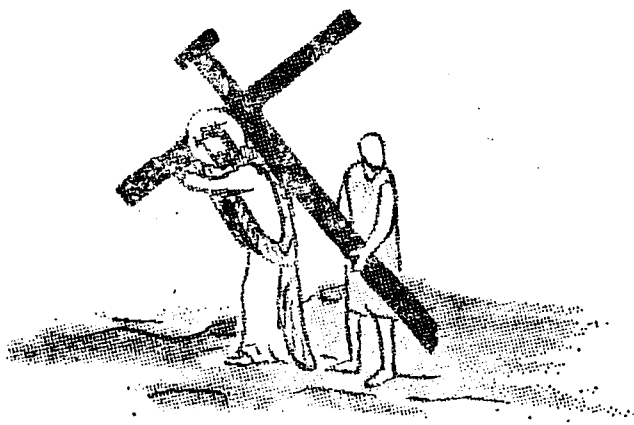
rego wykarmiła. „Błogosławione łono i błogosławione piersi”. Kiedy jednak nadarzyła się wreszcie sposobność, by stanąć twarzą w twarz wobec Niego, tylko rozłożyła ręce. Milczała. A Jej gorejące spojrzenie mówiło Mu: „Synku, tak trzeba. Tak trzeba dla zbawienia świata”.

O jak bardzo męstwa mi potrzeba! Jak bardzo jestem jeszcze słabą w cierpieniu, jak miękką dla siebie. (...) Wstyd to i hańba — ta miękkość dla siebie, te łzy, którymi oplakuję swoje krzyżyki, swoje malusieńkie przykrości, niewygody, te jęki niezadowolenia, gdy nie wszystko udaje się według woli mojej; to serce pełne współczucia dla mojego ja, a twarde, zimne jak lód i obojętne dla cierpień Jezusa i Maryi. Matko Bolesna, miej litość nade mną, módl się za mną, uprosz mi męstwo, odwagę, hart ducha, daj zrozumieć świętość cierpienia, wzniosłość cierpienia, daj zrozumienie tych wspaniałych słów św. Pawła: „Przepelniony jestem radością we wszystkich moich przeciwnościach”. Chcę, o Matko, być twardą dla siebie, zapomnieć o sobie, by kochającym sercem odczuwać cierpienia Jezusa i Twoje. (Rozmyślenia)

Stacja V

Przymusili go. Cyrenejczyk ma dźwigać krzyż Skazańca. Potraktował to jako osobistą krzywdę. Bronił się. Co go to w ogóle obchodzi? Co go On obchodzi? Biorąc pod przymusem na swe krzepkie ramiona Jezusowy krzyż jeszcze oglądał się na ludzi, by się za nim ujęli i wybronili przed

tak niewdzięcznym zadaniem. Ale oni byli równie obojętni zarówno na los Jezusa, jak i na jego sytuację. Pozostał więc sam ze Skazańcem i Jego krzyżem. I tak wraz z Nim zaczął iść w stronę Końca. I w tej wspólnej drodze z Jezusem zaczął odkrywać swoje życiowe powołanie. Swoje powołanie życia. To, że się narodził do tego właśnie współdzwigania krzyża.

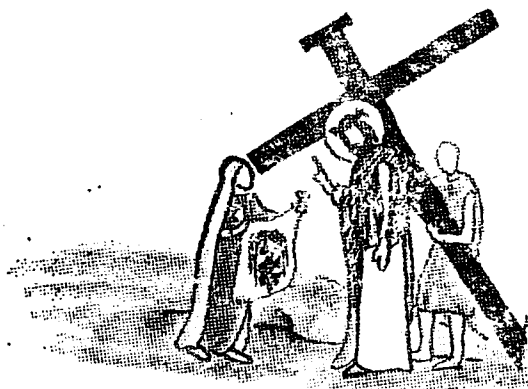


Jeżeli o co, to bym prosiła: więcej krzyżów, Panie. (...) Bo jeżeli nawet zawiniłam, jeżeli moje prace i trudy były złe, to oczywiście Pan Jezus chce dać możliwość odpokutowania i nie potępia..., ale przyciąga oczyszczając krzyżem. Czuję się złamaną, Ojczulku, — straciłam wiarę w swe dzieło — ale myślę, że jak zobaczę moje małe dzieci, to wszystko wróci. Ale nie czuję się nieszczęśliwą i jestem gotowa na dalszą via dolorosa. (List do Włodzimierza, 15 VI 1920)

Stacja VI

Przedarła się przez kordon żołnierzy, dotąd nikomu nie znana, prosta kobieta. Zrobiła tylko tyle, ile mogła i ile potrafiła: otarła Jezusowi Jego pokrytą krwią, potem i pyłem twarz. Z radością spojrzała na Jego oblicze: było na powrót czyste, promienne. Zapatrzona w Skazańca nie widziała tego, co nagle ze zdumieniem dostrzegł Szymon Cyrenejczyk: na chuście Weroniki pozostało odbicie Chrystusowej twarzy.

Odtąd nasze życie polega na odsłanianiu w innych zamazanej przez upadki i grzechy twarzy Jezusa. Tej twarzy, którą każdy z nas nosi od momentu chrztu świętego. Tej twarzy, która w sposób szczególny powinna być wyryta na obliczach kapłanów.

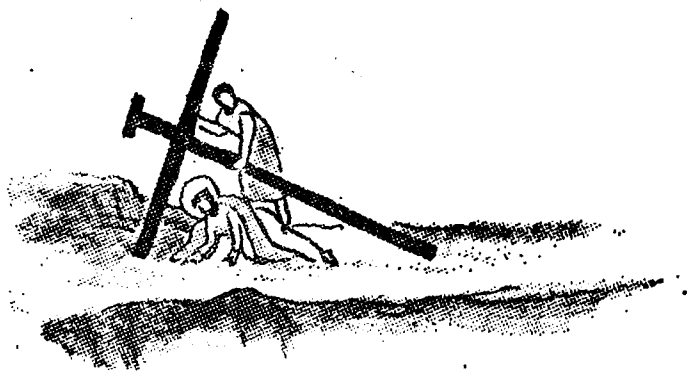


Więc odważnie, Dzieci moje najdroższe, odważnie do dzieła! Powinnaś być ofiarą całopalną, która się cicho, ale nieustannie pali — czy w pracy, czy w modlitwie, czy w cierpieniu — w celu wyproszenia łask dla dusz kapłańskich. Każdy

krzyżyk lżejszy się stanie, każdy ból mniejszy, każda ofiara słodsza, jeżeli ją opromieni myśl: Jezu, przyjmij to jako ofiarę błagalną, wołającą do nieba — Panie, daj nam dobrych, świętych kapłanów! (Testament)

Stacja VII

Oslabienie pogłębia się. Sił brak coraz bardziej. I mimo że życzliwy Cyrenejczyk stara się umniejszyć ciężar krzyża, Jezus chwieje się, słania i upada po raz drugi. Ktoś z idących za Nim pragnie Mu pomóc, ale żołnierze tworzą wokół Niego złowrogi kordon. Nie wolno. Sam upadł, niech sam powstaje. To Jego sprawa.

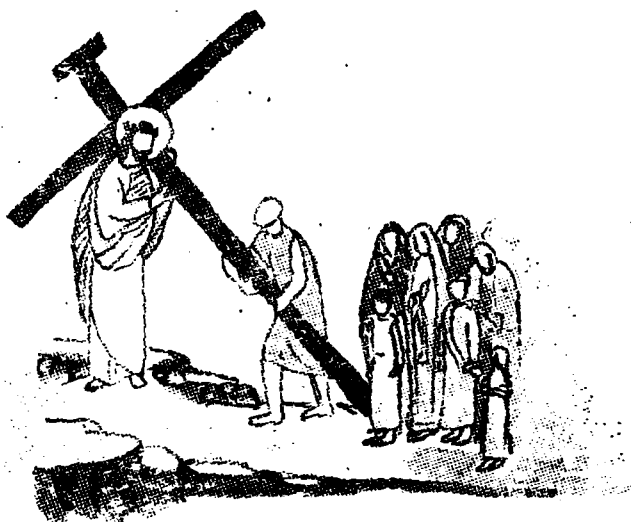


Dopóki słyszę rozpaczliwy krzyk zapłakanych matek, wołających o chleb dla swych dzieci — póty moje sumienie nie może nie reagować. (...) Muszę pracować dla mego ludu, dla biednych dzieci, które mrą tysiącami, dla mego kraju walczącego ze śmiercią. Robię to, choć można mnie odepchnąć jako zbyt natarczywą i nie dość delikatną, ale nie mogę po-

stępować inaczej. Dlatego znów stoję przed Wami — z włosiem jeszcze bielszym, z czołem bardziej pomarszczonym niż wtedy, ale z tym samym sercem płonącym miłością swego kraju, wypełnionym jedyną myślą, by pomóc biednym dzieciom w umiłowanej Polsce. (Odczyt wygłoszony w Kopenhadze 5 XI 1917)

Stacja VIII

Dopiero co powstał z upadku, a już przychodzi na Niego kolejna próba. Tym razem próba serca. Spotyka się ze współczuciem, z płaczem jerozolimskich niewiast. Ale ten płacz osłabia. Wcale nie pomaga iść do Celu. Jest powierzchowny, ponieważ ujmuje tylko zewnętrzną stronę Jego dramatu. A przecież za Jego cierpieniem, za Jego męką zna-



czoną strużkami krwi spływającej po twarzy kryje się istotny dramat każdej ludzkiej duszy. Duszy, która zgrzeszyła i która nie pojmuje ogromu popełnionego zła. Która nie pojmuje ogromu krzywdy wyrządzonej samemu Bogu. I dlatego Jezus raz jeszcze okazuje swoją wielkość: „Nie płaczcie nade Mną, płaczcie raczej nad sobą...” I niech ten płacz nad własną grzesznością budzi zapal do poświęceń dla innych.

Tak, przygotuj się do ślubów wiecznych, opierając się coraz bardziej na Bogu. Rozumiem, że to biedne serduszko czasem tęskni za kimś, co by się Tobą zajmował, trochę pieścił, boś bardzo sama. Ale to dobra szkoła, to Ciebie hartuje, uczy Ciebie dawać pełnymi rękami i nie brać. (...) To boli czasem, malutka moja, ale zbliża do Boga. Nauczysz się do Niego udawać we wszystkim — w radościach i krzyżkach — i przekonasz się, że „Bóg sam starczy za wszystko”! A w tym nasz spokój i nasza radość. A do Matuchny pisz o wszystkim i to wiedz, że Matuchna sercem i modlitwą przy Tobie, malutka moja, i pragnie dla Ciebie świętości! (List do siostry NN. 9 VI 1936)

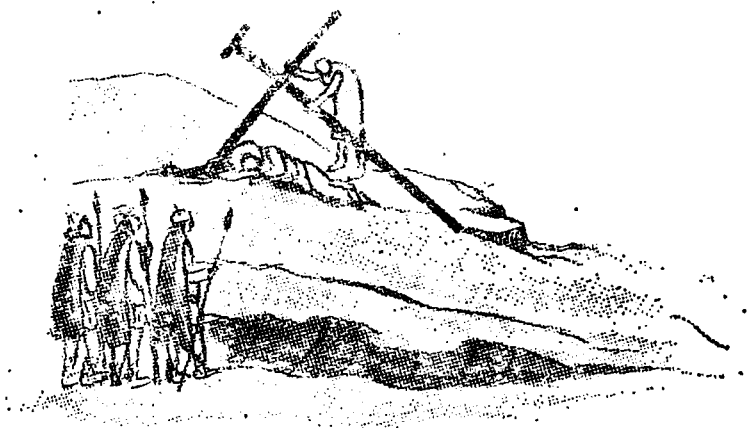
Stacja IX

Na szczyt Golgoty było już tak niewiele, zaledwie kilkanaście kroków. Ale nie było już sił, aby je pokonać. Jezus bezwładnie przewraca się na ziemię. Leży wyciągnięty na niej, jakby w nią wtulony. Ostre kamienie Wzgórza Trupiej Czaszki wydają się prawdziwym ukojeniem i gościnnym

przyjęciem. Gdy zabrakło ludzkich serc, Jezusa przygarnęły kamienie Golgoty. Kiedyś powiedział: „Lisy mają nory i ptaki powietrzne — gniazda, lecz Syn Człowieczy nie ma miejsca, gdzie by głowę mógł oprzeć”. Teraz znalazł to miejsce. Lecz nie było to miejsce człowieka. Nie było to miejsce w sercu człowieka.

Kamienie Golgoty wołają o ludzkie serca gotowe przyjąć Boga.

Kamienie Golgoty wołają o ludzkie serca gotowe innym zanieść Boga.



Kresy trzeba ratować. Proszę się nie obawiać, że wkrocze w dziedzinę polityki. (...) Nasza polityka — to miłość Boga, to miłość Ojczyzny. I dla tej polityki miłości gotowe jesteśmy poświęcić i siły, i czas, i życie. Na kresach pracują (...) emisariusze bolszewizmu, bałamucąc prosty lud i odciągając go od miłości Ojczyzny — Polski. (...) A co na to poradzić? Pracować, nie bać się pracy tam, w warunkach ciężkich,

prymitywnych, cichą pracą zneutralizować pracę nieprzyjaciół Boga i Ojczyzny. Podkreślam to słowo: cichą pracą. (...) Tam na kresach potrzeba cichej pracy, potrzeba ręki kobiety o sercu macierzyńskim, która ten lud nieoświecony, ciemny za rękę prowadzić może po drodze wiary i obowiązku. (Odczyt wygłoszony w Kaliszu w 1926 roku)

Stacja X

Żołnierz zrzucił już wierzchnią suknię Jezusa. Pozostało jeszcze tylko jedno szarpnięcie, by Go zupełnie огоłocić. By przed światem stanął w całej swej prawdzie Bóg-Człowiek.

Za chwilę ludzie o czystym sercu zachwycą się Jego królewskim majestatem. Jego pięknem. I będą Go adorować. I tak będzie aż do końca świata.



Za chwilę ludzie o sercu zbrukany będą w swych myślach plugawić to Ciało Boga-Człowieka, tak jak plugawili inne ciała, nie chcąc w nich dostrzec cudu dokonanego przez Stwórcę. I tak będzie aż do końca świata.

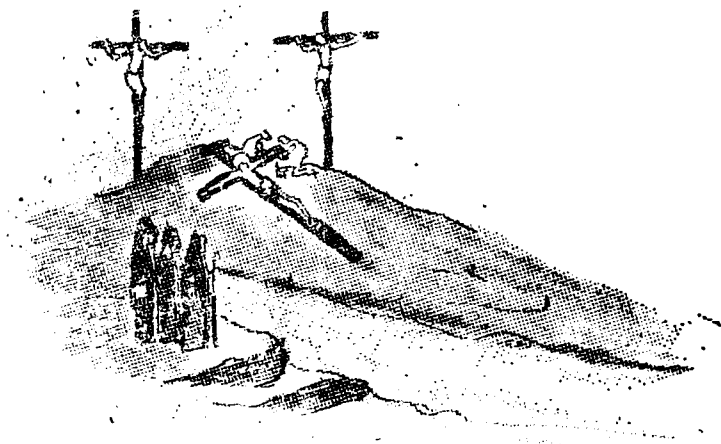
Dramat człowieka stojącego przed Chrystusem to dramat jego czystości.

Nie ma, Dziecino, nic cudowniejszego na tej ziemi, jak serce niewinne i czyste, w którym niebo się odbija jak w spokojnej powierzchni bezbrzeżnego morza. (...) Dziecino, chciałabym — gdyby tylko Bóg łaskę tę mi dał — rozbudzić w Twym sercu pragnienie życia czystego, niewinnego — zrozumienie, że nie ma nic cudowniejszego na ziemi jak dusza biała. A dusza taka jest nie tylko cudownej piękności, ale szczęście Boże jest jej zapewnione, bo spoczywa w Bogu, bo wznosi się ponad to, co ziemskie, małe, bo nie przejmują się krzyżkami, których pełno na świecie, bo nawet wśród łez cierpienia umie wolać w uniesieniu miłości: „Bóg mój i wszystko moje”! Czuwaj nad czystością serca, Dziecino, a będziesz mogła powiedzieć z Oblubienicą z „Pieśni nad Pieśniami”: „Miły mój mnie, a ja Jemu”. (Przemówienie na Zjeździe Sodalisek w Poznaniu w 1928 roku)

Stacja XI

Na Golgocie położyli krzyż, a następnie kazali położyć się nań Skazańcowi. Teraz pozostało już tylko jedno: sprawić, by Skazaniec i krzyż stanowili jedno. Sięgnęli więc po

gwoździe. Chwilę później na Golgocie słyhać było głuchoe uderzanie młota. Za moment następne. A potem jeszcze raz. I na koniec już tylko cisza. Między jednym a drugim przybijaniem — tego stojący za żołnierzami nie mogli dostrzec — był pokorny, pełen całkowitego poddania się woli Najwyższego gest Jezusa, który po kolei wydawał swe członki katom, by zaraz potem wyprężyć się pod wpływem przenikającego ręce i nogi bólu. Aż znieruchomiał na kształt krzyża.

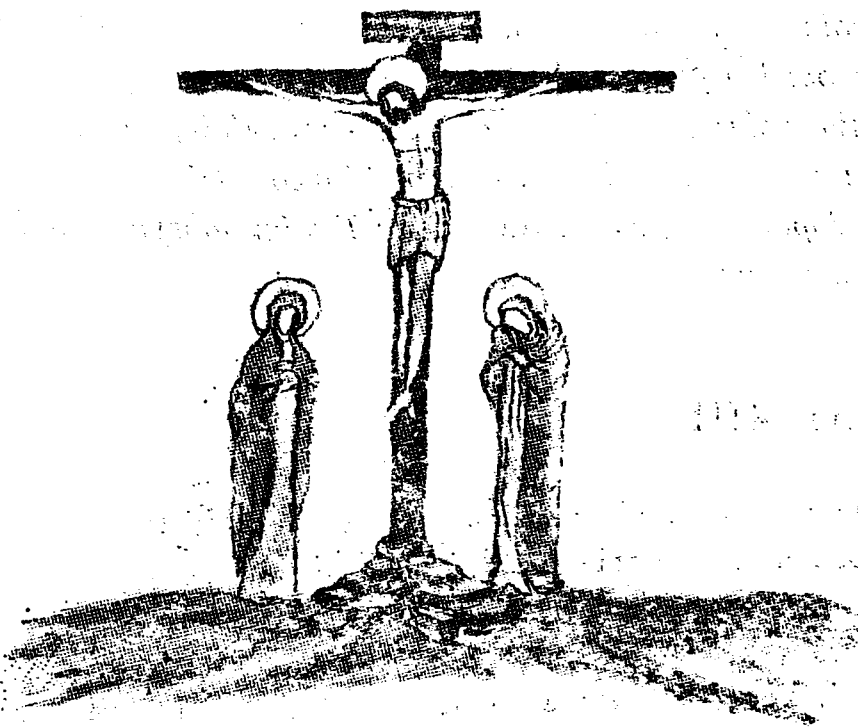


Ja nie odejdę od Ciebie, dlatego że ślubami zakonnymi przybiłam się do Twego Krzyża, byśmy zawsze, zawsze byli razem. (...) Wpatrując się w Ciebie, o Jezu Ukrzyżowany, widzę, jaką sama być powinnam. Uczę się ubóstwa. Chcę być ubogą tak jak Ty, o Jezu na krzyżu — nic nie mieć, nic nie posiadać, serce uwolnić od wszystkiego, co ziemskie. Uczę się anielskiej czystości, czystości, która kocha tylko Boga samego, a wszystko inne tylko dla Niego, w Nim i z Nim. (...) Uczę się zupełnego wyrzeczenia się ziemi. (...) Uczę się zaparcia zupełnego swojej woli, bo czyżbym chciała rozporządzać

sobą, gdy widzę Pana mego pozbawionego nawet ruchu w tym posłuszeństwie bez granic, aż do śmierci? (Rozmyślenia)

Stacja XII

W tych ostatnich minutach życia liczyli się już tylko Najbliżsi i Ukochani: Maryja i Jan. Matka i umiłowany uczeń. To ich wtedy związał węzłem najściślejszej jedności: jednością miłości macierzyńskiej i synowskiej. Trzeba było, aby Jan wytrwale siedł za Skazańcem, trzeba było, aby Jan trwał wiernie pod krzyżem, by mógł się on stać spadkobier-



ca Testamentu Jezusa i by Jego Matka stała się także i jego Matką.

Na to wyjątkowe synostwo trzeba sobie zasłużyć.

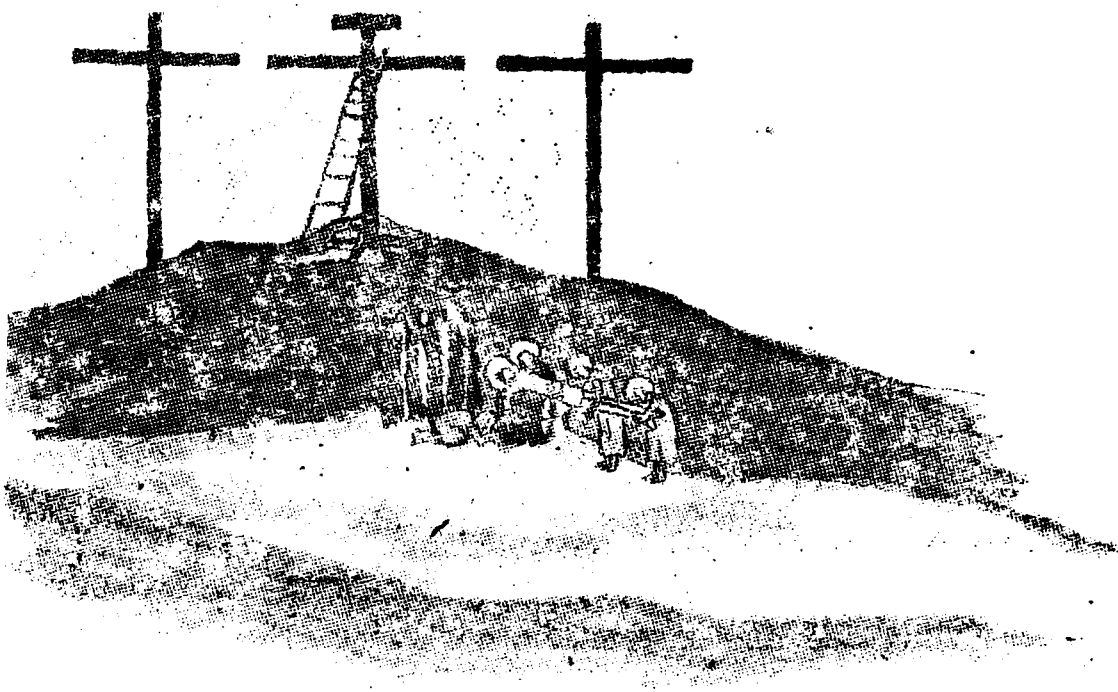
Słowa Jezusa do Jana są jednocześnie wypowiedziane do mnie i do każdej duszy. Mam więc i ja obowiązki względem Tej, którą Jezus mi dał za Matkę. Muszę być dla Maryi prawdziwie dobrym dzieckiem. Muszę więc kochać Ją wielką, czułą miłością, a miłość tę wyrabiać w sobie przez rozważanie Jej świętości, dobroci i piękności. Muszę wyrabiać w sobie wielką ufność ku Maryi. (...) Muszę naśladować Jej cnoty, bo dobre dziecko chce być podobne do swej Matki. Muszę służyć Jej wiernie, modlić się do Niej, prosić o pomoc w każdej potrzebie i wołać o ratunek w czasie pokusy. (...) O Maryjo, ja tak bardzo pragnę słuchać Jezusa i wiernie wykonać Jego ostatnią wolę! Przecież to dla mnie szczęście, że mogę mieć Ciebie za Matkę, że jestem, o Matko, dzieckiem Twoim. A Ty dopomagaj, bym była zawsze Twoim dobrym dzieckiem!
(Rozmyślenia)

Stacja XIII

Kiedy oskarżyciele odeszli, kiedy żołnierze wrócili do koszar, a namiestnik zezwolił, ciało Chrystusa uwolniono z krzyża i delikatnie złożono na kolanach Jego Matki. Kiedyś, jako dziecko, sam się na te matczyne kolana wdrapywałem. Teraz spoczywa na nich — dziwnie daleki, martwy. To prawda, nikt bardziej niż Ona nie miał prawa do tego,

by w tym momencie przygarnąć do siebie Jezusa. Ale też nikt bardziej niż Ona nie przeżywał bólu, odkrywając ślady zadanych Mu ran.

W Jej niemym cierpieniu znalazło się cierpienie wszystkich matek świata, które trzymają na rękach martwe ciała swych dzieci i które nie chcą ich nikomu oddać. Którym przypadł ten sam los co Jej — los Piety.



Cierpienie nie czyni Ją obojętną dla innych. Im bardziej sama cierpi, tym bardziej chce być Pocieszycielką wszystkich strapionych dzieci Ewy, dla których Ona stała się Matką Pocieszenia. Serce Jej złączone z Sercem Boskiego Syna, wznosząc się nieustannie ku niebu, sprowadza na ziemię jasne pro-

mienie Bożego szczęścia i Bożej miłości. O Maryjo, od Ciebie chcę się nauczyć reagować na własne cierpienia współczuciem dla cierpień innych, i tak jak Ty szukać pociechy dla siebie — w niesieniu pociechy bliźnim. (Rozmyślenia)

Stacja XIV

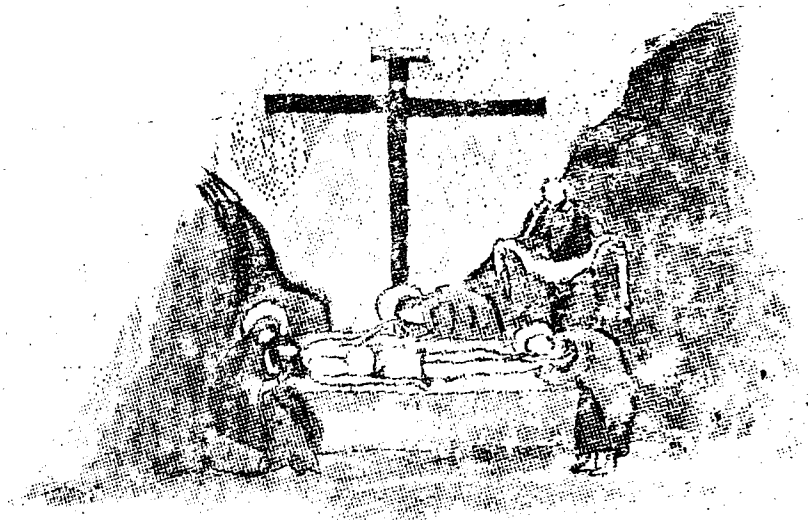
Zanim zostanie zamknięty grób, zanim zatoczą wielki kamień, jest jeszcze chwila, by po raz ostatni oddać Mu hołd. By Jego ciało namaścić. By ucałować Jego stopy. By podziękować za wszystko.

Potem zamkną grób i wielki kamień zostanie zatoczony. A oni odejdą do swych zajęć, do swego zwątpienia, do swych rozczarowań, do przekonania, że nic nie jest trwałe i wszystko na tym świecie przemija. Nawet Prawda i Dobro. Że trzeba będzie opuścić Jerozolimę i udać się do Emaus, by na nowo urządzić sobie życie. Nie można przecież trwać przy grobie, który ostatecznie zamknięto i którego strzeże wielki kamień.

Tylko dla nielicznych ten zamknięty grób był mimo wszystko znakiem nadziei.

W imię tego grobu — znaku nadziei powstały później inne groby — groby męczenników, świętych, znanych i nie znanych z imienia wiernych chrześcijan. W imię tego grobu Chrystusa powstał Sarkofag Błogosławionej.

Ten Chrystusowy grób nieustannie każe walczyć o nadzieję i godne życie dla innych.



Dziś otacza nas jeszcze noc ciemna; najsilniejsi, najodważniejsi drżą pełni zwątpienia, czy który z synów polskich przeżyje te straszne czasy. Umierają jedni po drugich. (...) Czyż imię Polski ma być wymazane z księgi żywota? Czyż naród polski ma zginąć jak ta trawa polna, która dziś jest a jutro już jej nie ma? O, proszę mi wierzyć, że myśl o tym jest zbyt ciężkim krzyżem, pod którym my upadamy. Nie chodzi o nas — my możemy cierpieć, jesteśmy gotowi na śmierć, ale naród polski nie powinien zginąć! My musimy uratować dzieci, uratować je od śmierci fizycznej i moralnej, ażeby one mogły potem cierpieć, walczyć i umrzeć za Polskę. (Odczyt wygłoszony w Kopenhadze 26 X 1917 roku)

Zmartwychwstanie

Zatoczony kamień okazał się dziwnie bezsilny. Zbrojna straż — bezradna. Prawa przyrody i ludzka przemyślność zostały złamane „pierwszego dnia tygodnia” — gdy Jezus zmartwychwstał. Nad światem zaświtało Słońce Sprawiedliwości. W Jego blasku świat ukazał się w nowym świetle, a człowiek uzyskał nadzieję. I według niej próbuje odtąd kształtować swe życie.

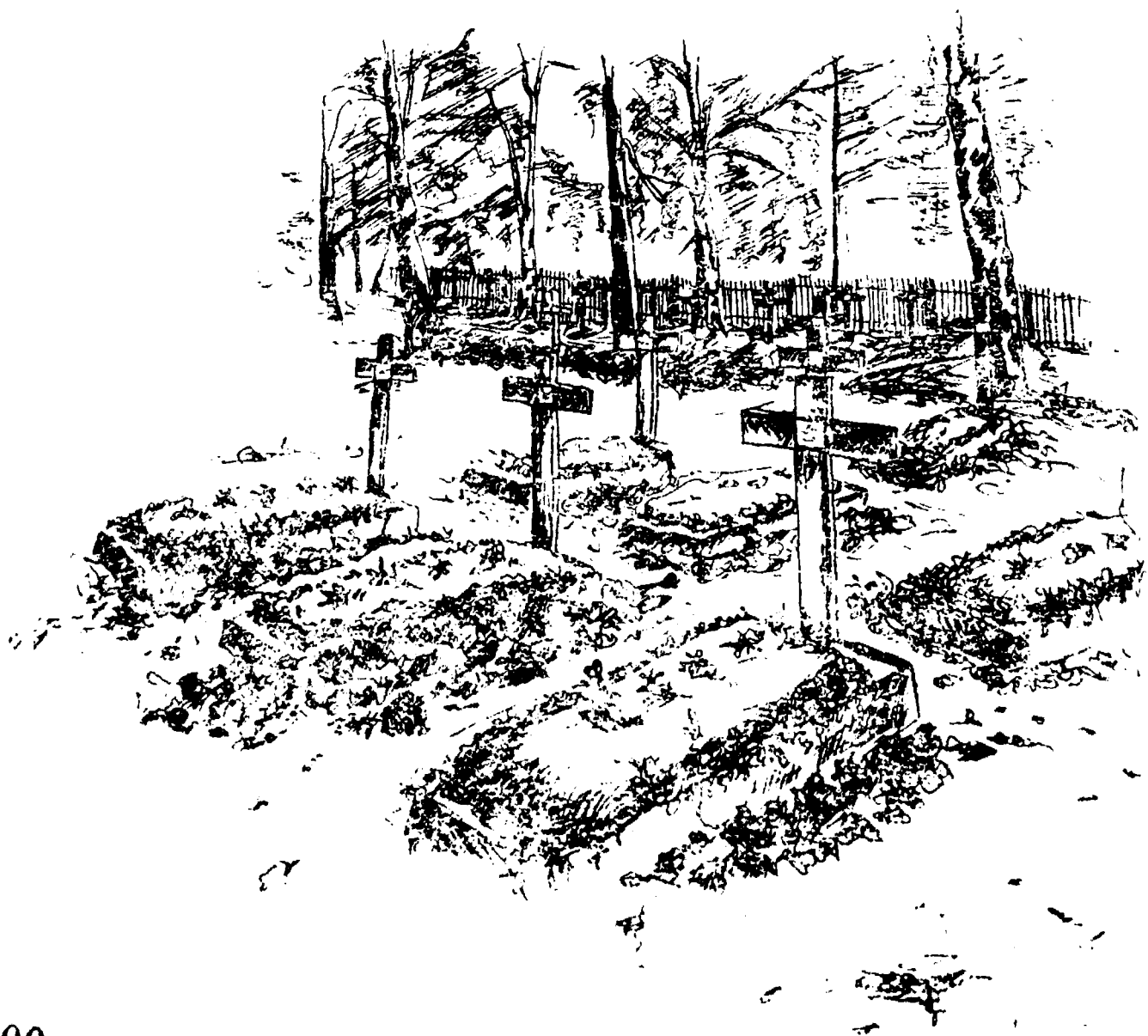


Kocham Cię, o Jezu, i dlatego cieszę się, żeś wielki, żeś potężny, święty. Ty sam najwyższy, Ty Pan mój i Bóg mój. Cieszę się, że cały świat jest u stóp Twoich, że Ty, którego przybito do krzyża, unosisz się dziś ponad tę nędzną ziemię, że nią odtąd rządysz, a ten mały świat jest podnóżkiem stóp Twoich, o Jezu ukochany. Raduję się Twoją wielkością, bi

Ciebie ponad wszystko kocham, bo chcę, o Jezu, coraz bardziej zapominać o swoim nędznym ja, by żyć zawsze w Tobie, z Tobą i przez Ciebie. (Rozmyślenia)

Cmentarz

Jeszcze do niedawna na cmentarz sióstr prowadziła wiejska, brukowana droga. Wychodziło się z boku klasztoru, przy budynkach gospodarczych, mijano przejazd kolejowy i od razu wkraczało w pola. Z oddali, po prawej stronie widać było kępę wysokich drzew. To właśnie był cmentarz. Dzisiaj droga stała się asfaltową szosą, cywilizacja zostawiła więc swój ślad, ale ciągle jeszcze pozostało wrażenie nagle otwierającej się przestrzeni. Wystarczyło tylko opuścić klasztorne mury.



Jest to przestrzeń za każdym razem odmienna, wyznaczona odmiennością pór roku. Śniegiem, błotem, zielenią. Ostatni raz szedłem na cmentarz w pierwszych dniach sierpnia. Pogoda była typowo letnia, spiekota dawała się we znaki. Pola szumiały dojrzałym już zbożem. Ciężkie kłosa uginały się pod brzemieniem ziaren. Czekwały na godzinę ścięcia.

Wyłaniający się spośród nich urszulański cmentarz sprawiał wrażenie pola, na którym żniwa już się zakończyły. To tylko dookoła szumiało jeszcze zboże. Na cmentarzu panowała cisza. Prawdziwy Campo Santo. Równym szeregiem wyrastają proste, drewniane krzyże. Dopełnił się już bowiem czas spoczywających pod nimi urszulanek. Te krzyże wyrażają całą tajemnicę ich życia: ich powołania, ich zmagania, ich pracy, ich ukochania Najwyższego. Są owocem ich życia — ziarna rzuconego w ziemię. Bo trzeba sobie zasłużyć, by móc być tu pochowaną, bo trzeba oddać całe swe życie Panu, by mógł wyrosnąć tu krzyż. Tych urszulańskich krzyży jest już około stu pięćdziesięciu. Obecnie powoli odchodzi już druga generacja — tych, które jeszcze pamiętają Matuchnę. Pionierki, te, które były tu u samych początków Zgromadzenia, odeszły 20-30 lat temu.

Na każdym krzyżu widnieje napis „S. Maria...” Każda urszulanka otrzymuje bowiem imię Maryi. Po nim następuje imię własne, a przedtem jeszcze, bywało, imię zakonne. To związanie z Maryją jest tajemnicą urszulańskiego życia. „Służebnicą Pańską jest każda Urszulanka Serca Jezusa Konającego” — tak właśnie zaczyna się *Dyrektorium* pisane

ręką Błogosławionej w roku 1932. Idąc wzdłuż krzyży, odnosi się wrażenie, że mamy do czynienia ze zwielokrotnioną przez liczbę spoczywających tu sióstr historią Nazaretańskiej Dzieweczki. Każda z nich usłyszała przecież głos Wzywającego, każda odpowiedziała swoim świadomym przyzwoleniem, każda włączyła się w tajemnicę Krzyża, każda wyczekiwała chwili spotkania z Oblubieńcem.

12 października 1889 roku Urszula pisała z Krakowa do swej siostry Marii Teresy: „6. XI. będą obłóczyny jednej z postulantek. Uroczystość ta niesie z sobą wiele radosnych przeżyć, pięknych, miłych wspomnień. To wspaniały dzień — a jednak cieszę się, że te wszystkie wielkie dni są już poza mną, że tylko jeden wielki dzień czeka mnie jeszcze w życiu — wielki, i wierzę mocno, wspaniały dzień, w którym Boski Oblubieniec zawoła: Przyjdź do Mnie”. Gdy to pisała, miała zaledwie 24 lata; była dopiero u progu swego zakonnego życia. Po latach sama będzie przyjmować dziewczyny do swego Zgromadzenia. Ten akt musiał być także i dla niej czymś bardzo wielkim i wzruszającym. „Wczoraj wieczorem — pisała 15 sierpnia 1908 roku z Petersburga do Marii Teresy — przyjąłm Alinę — S. Marię do nowicjatu. Dziś rano odmówiła w naszej kapliczce swój akt oddania się Bogu — po cichu. Prześladowanie się wzmaga, dlatego też człowiek boi się wszystkiego, co może nas narazić. Wzruszająca była ta ceremonia o godz. 10 wieczorem. Dzieci już spały, więc niczego nie zauważyły. Przypomniały się czasy katakumb”. A przecież nie pozwalała swoim duchowym córkom na nostalgiczne odwracanie się wstecz. Stąd ustawiczne przynaglania *Dyrektorium* i *Testamentu* do kochania krzyża.

Bo „czyż nie jest radością, że krzyż ochoczo dźwigany jest najprostszą drogą do nieba?”

1 kwietnia 1926 roku, w Wielki Czwartek, leżała w Rzymie, zmożona chorobą. Właśnie doszła do niej wieść o śmierci siostry Zofii. Pisała więc — mimo osłabienia — do sióstr: „Dzień dobrej śmierci jednej z Sióstr powinien być dniem radości w klasztorze, wszak na tośmy przyszły i radość, gdy dusza do celu swego doszła, radość dla nas, dzieci moje, bo napełnia nas nadzieja, że idąc tą cichutką, pokorniotką drogą powołania naszego i my do szczęśliwej śmierci dojdziemy. Ale zarazem w śmierci nauka dla nas, byśmy przypominały sobie, po cośmy przyszły i usilnie dążyć do świętości nie przywiązując się do ziemi, nie zajmując się, martwiąc się, gryząc się głupstewkami ziemskimi, nie przywiązując wagi do tego, czego szuka nasza pycha, ambicja, miłość własna, miękkość. Wyżej serca, Jezusa szukajmy, On nam starczy za wszystko!” List kończyła matczyną uwagą: „Mnie zawsze ciężko, gdy nie mogę sama ekspediować moich dzieci do nieba, ale widocznie Pan Bóg mi tej pociechy nie chce dać, więc i tak dobrze”.

Na cmentarzu pniewskim z tęsknoty za Oblubieńcem wyrosły urszulańskie krzyże. A szum pochylonych nad nimi drzew zdaje się nieść echo *Pieśni nad Pieśniami*: „Powstań, przyjaciółko ma, piękna ma, i pójdź!”

Nota bibliograficzna

Pisząc *Obrazki z Pniew* — które w żadnej mierze nie roszczą sobie pretensji do miana jakiegoś wyczerpującego opracowania i które są przede wszystkim zapisem moich osobistych przeżyć i refleksji — opierałem się na następujących publikacjach dzieł błogosławionej Matki Urszuli Julii Ledóchowskiej: *Rozmyślenia dla Sióstr Urszulanek Serca Jezusa Konającego*, t. 2, Sieradz 1930, t. 1, Łódź 1931, t. 3, Sieradz 1931, t. 4, Sieradz 1931; *Dyrektorium*, Pniewy 1932; *Listy*, Rzym 1981; *Wybór przemówień 1915-1939*, Rzym 1981; *Wybór artykułów*, Rzym 1982; *Wybór pism M. Urszuli Ledóchowskiej*, w: *Polscy święci*, t. 4, Warszawa 1984; *Testament*, Poznań 1987; *Historia Kongregacji*, Poznań 1987; *Bł. Urszula Ledóchowska o Eucharystii (wybór tekstów)*, w: *Odrodzenie jest możliwe. W nurcie zagadnień posoborowych*, t. 18, Warszawa 1988; *W drodze z Maryją*, Kalwaria Zebrzydowska 1989; *Miłość krzyża się nie lęka...*, Warszawa 1991.

Ponadto korzystałem z różnych opracowań dotyczących Błogosławionej. Najważniejszym z nich jest książka s. Józefy Ledóchowskiej *Życie i działalność Julii Urszuli Ledóchowskiej*, Poznań 1975. Ograniczam się tutaj do wymienienia tylko tej jednej pozycji, ponieważ pełną, niezwykle starannie opublikowaną bibliografię można znaleźć w: S. A. Kosicka SJK: *Błogosławiona Urszula Julia Ledóchowska 1865-1939. Bibliografia 1879-1989*, Kraków 1991.

Cytując wypowiedzi Błogosławionej Urszuli, zachowałem stosowane przez nią skróty i interpunkcję, a przede wszystkim jej styl. Dzięki temu został zachowany koloryt jej języka sprzed przeszło pół wieku, który jest odbiciem tamtej epoki. Jednocześnie pozwala on nam dostrzec i podziwiać — mimo niektórych potknięć — piękno jej polszczyzny. Jest to fakt godny podkreślenia, wskazujący na jej olbrzymią osobistą pracę także w tej dziedzinie. Jej matka nie była przecież Polką, w domu mówiło się także po niemiecku, a ona sama władała biegle wieloma innymi językami, co na pewno nie sprzyjało doskonałemu opanowaniu polskiego języka literackiego.

Na koniec pragnę serdecznie podziękować wszystkim Siostram Urszulankom Szarym SJK z Domu Macierzystego w Pniewach, które swoim życiem, a także radami i życzliwą pomocą przyczyniły się do powstania tej książki.